

REDAGUJE
PROFESOR
JAN ŻARYN



W SIECI

Nr 11 (66)
LISTOPAD 2018

CENA: 9,90 zł (w tym 8% VAT)

W SIECI

HISTORII

MIESIĘCZNIK O POLSCE,
HISTORII I KULTURZE

ORLETA NIEPODLEGŁEJ

1918: JAK POLACY WYWALCZYLI WOLNĄ OJCZYZNĘ

INDEKS 297127 ISSN: 2300-6803



9 772300 680800

11

Jesienna promocja

Zamów subskrypcję tygodnika „Sieci”
w wersji elektronicznej



a dodatkowo **otrzymasz GRATIS:**

- ✓ **wSieci Historii** – dostęp do e-wydań miesięcznika w okresie subskrypcji
- ✓ **Sieci EXTRA** – specjalne e-wydanie przygotowane dla czytelników Sieci Przyjaciół
- ✓ **Newsletter** – najlepsze artykuły z portalu wPolityce.pl bezpośrednio na e-mail

1 miesiąc

~~19,99 zł~~

9,99 zł

12 miesięcy

159,99 zł

+

Koszulka

o wartości
103zł

gratis!



www.SiećPrzyjaciół.pl

DLACZEGO CELEBRUJEMY DZIEŃ 11 LISTOPADA?

Tego dnia w 1918 r. na froncie zachodnim zakończyła się Wielka Wojna, czyli I wojna światowa. Zakończyła się dla nas, Polaków, szczęśliwie. Niemcy zostały pokonane, a pokój europejski miał być stanowiony – po raz pierwszy od czasów spotkania w Wiedniu w 1815 r. – nie przez naszych zaborców, lecz potęgi Zachodu: Francję, Anglię i Stany Zjednoczone, których byliśmy sojusznikami. My, czyli kto konkretnie? My, to znaczy Polska reprezentowana przez Komitet Narodowy Polski z prezesem Romanem Dmowskim na czele.

Tego samego dnia w Warszawie, bo w innych miastach wcześniej, np. w Tarnowie, Zakopanem, na Śląsku Cieszyńskim, rozbrajano skorych do oddania broni Niemców. W tle tego spektakularnego wydarzenia odbywały się spotkania i negocjacje dotyczące przekazania przez Radę Regencyjną władzy w ręce Józefa Piłsudskiego. Fakt ten, szczególnie po zamachu majowym, urosł do rozmiarów mitu założycielskiego II RP, podobnie jak utworzenie rządu Ignacego Daszyńskiego, a następnie Jędrzeja Moraczewskiego. Ten ostatni, mimo że posiadał władzę dzięki Piłsudskiemu, jego uczynił następnie Tymczasowym Naczelnikiem Państwa, udając przed zachodnimi aliantami, iż jego władza w Polsce nie pochodzi od niemieckich okupantów. Wysłano nawet, z datą 16 listopada, noty dyplomatyczne m.in. do państw zachodnich informujące o powstaniu państwa polskiego. Nikt jednak ze zwycięzców w I wojnie światowej nie zareagował pozytywnie na ten akt. Rząd socjalistów z Warszawy został uznany jedynie przez Niemców. Groziła totalna izolacja Polski – jako państwa sprzymierzonego z pokonanymi, jak Węgry, Bułgaria, Turcja. Socjaliści jednak nie chcieli ustąpić, mimo licznych manifestacji antyrządowych w Warszawie, mimo nacisków politycznych, a przede wszystkim fatalnej sytuacji ekonomicznej wyniszczonego wojną kraju. Nikt nie zamierzał przegranym w wojnie otwierać linii kredytowych, nieść pomocy finansowej.

Mimo to rząd socjalistów z Tymczasowym Naczelnikiem Państwa na czele nie zamierzał ustępować. Nie zamierzał się dzielić władzą w sposób realny. Oferta Wojciecha Korfanteo, by powierzyć mu szefostwo rządu w zamian za utrzymanie stanowiska Naczelnika Państwa przez Piłsudskiego, została w listopadzie 1918 r. przez przyszłego Marszałka odrzucona. Zdawał sobie sprawę ze swej siły politycznej wynikającej nie tyle z poparcia społecznego, ile ze skutecznego szantażu. Oto bowiem na zapleczu socjalistów niepodległościowych stały masy rozbuchanego bolszewickimi obietnicami chłopstwa, gotowego do rewolty. Socjaliści u władzy ze swoimi hasłami społecznymi stawali się zatem beneficjentami zagrożenia komunizmem.

Piłsudskiemu nie udało się jednak ominąć KNP i – jak się okazało po wynikach wyborów do Sejmu Ustawodawczego – zdecydowanej większości aktywnych politycznie Polaków (wybory relatywnie wygrali zwolennicy polityki Dmowskiego i Paderewskiego, i oni sami startujący z listy ZLN). Na szczęście dla sprawy polskiej do Warszawy przybył w styczniu 1919 r. Ignacy Jan Paderewski, któremu Piłsudski

zdecydował się powierzyć zadanie formowania rządu. Stanowiło to czytelny sygnał dla państw Zachodu i dla KNP w Paryżu, że Polska zdecydowała się zostać sojusznikiem zwycięskich mocarstw. Na nasze szczęście! Zaczynały się bowiem obrady wersalskie i cały dyplomatyczny wysiłek Romana Dmowskiego oraz Ignacego J. Paderewskiego z czasów wojny oraz utworzenie Armii Błękitnej jako formacji zwycięskiej w wojnie zostałyby zmarnowane.

Świętując dzień 11 listopada, zastanówmy się zatem, czy wiemy tak dokładnie, dlaczego ten dzień jest dla nas, Polaków, taki ważny. Ano dlatego, że ostatecznie w styczniu 1919 r. znaleźliśmy się wśród państw, które wygrały 11 listopada I wojnę światową. I zapamiętajmy, komu to zawdzięczamy w pierwszym rzędzie. A komu w drugim...

JAN ŻARYN



HISTORII

10

EUROPA ŚRODKOWO-WSCHODNIA JESIENIĄ 1918 r. BYŁA PRÓŻNIĄ GEOPOLITYCZNĄ. NIEMCY I ROSJA STAŁY SIĘ „ZDEGRADOWANYMI MOCARSTWAMI”, ZWYCIĘSKIE ROZGRYWAŁY WŁASNE INTERESY W SPRAWIE POLSKI – **WSKAZUJE MAREK KORNAT**

22

JAK ZACHOWYWALI SIĘ ZWYKLI RODACY, KTÓRYCH JESIENIĄ 1918 r. ZASKOCZYŁ WYBUCH POLSKI NIEPODLEGŁEJ, POŚRÓD CODZIENNYCH TROSK, POZOSTAŁOŚCI WOJNY I OKUPACJI – **ANALIZUJE PAWEŁ SKIBIŃSKI**

3

GŁOS NACZELNEGO
JAN ŻARYN

FELIETONY

9

WOJNA KULTUROWA
GRZEGORZ GÓRNY

47

PO PIERWSZE – DOBRO WSPÓLNE
MAREK JUREK



51

1935
PAWEŁ SKIBIŃSKI

77

CO GRA „TRĘBACZ Z SAMARKANDY”?
RYSZARD CZARNECKI

84

O MARSZAŁKU DLA NAJMŁODSZYCH
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

95

CZY WARTO ŚWIĘTOWAĆ NIEUDANE?
PAWEŁ KOWAL

95

ROTMISTRZ SOSNOWSKI
ANTONI DUDEK

98

ŻYWA PAMIĘĆ
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

W STULECIE NIEPODLEGŁOŚCI

10

SPRAWA POLSKA NA ARENIE MIĘDZYNARODOWEJ. JEŚIEN 1918 r.
MAREK KORNAT

16

KIEDY POLSKA SIĘ ODRODZIŁA
MAŁGORZATA GMURCZYK-WROŃSKA

20

KIM BYŁ PUŁKOWNIK HOUSE?
WITOLD ORZECZOWSKI

22

ODZYSKANIE NIEPODLEGŁOŚCI W OCZACH POLAKÓW
PAWEŁ SKIBIŃSKI

25

OSIEM WSPANIAŁYCH W SEJMIE USTAWODAWCZYM
JOANNA PUCHAŁSKA

28

RODZINA POLSKICH BONDÓW
ANDRZEJ FEDOROWICZ

31

W SERCU MIAŁ POLSKĘ
KAROL KALINOWSKI

34

ANKIETA: CO TO ZNACZY DLA MNIE BYĆ POLAKIEM W 2018 r.?

WEHIKUŁ CZASU

38

LISTOPAD
MICHAŁ KOMUDA

KALENDARZ AGAD

42

DWAJ PRAWOSŁAWNI METROPOLICI KIJOWSCY, 9 LISTOPADA 1663 r.
JACEK KROCHMAL

DAWNO TEMU

44

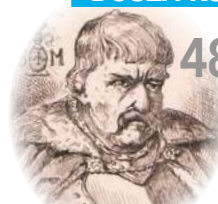
BISKUP SOŁTYK. NIEDOSZŁY MAŻ OPATRZ-NOŚCIOWY
PIOTR HAPANOWICZ



DUSZA KONTUSZA

48

HUSARZA DZIEJE. SAMUEL MASZKIEWICZ I JEGO DIARIUSZ
HENRYK LITWIN



ZDARZYŁO SIĘ

52

ZGRUPOWANIE Z BARANIEJ GÓRY
TOMASZ GRENIUCH

55

„DARDANEŁ”. DZIAŁALNOŚĆ DELEGATURY ZAGRANICZNEJ WiN
PIOTR RÓŻAŃSKI

58

RADZIECKA SPRAWIEDLIWOŚĆ W SŁUŻBIE ŚWIATA
GRZEGORZ SZYMBORSKI



61

ZANIM ZOSTAŁ PAPIEŻEM
KS. JÓZEF MARECKI

BOHATEROWIE POLSKIEGO SPORTU

64

IGRZYSKA ZAMIAST CHLEBA
MICHAŁ MUZYCZUK

66

KAZIMIERZ DEYNA: NIE TYKAĆ KAZIKA!
MICHAŁ MUZYCZUK

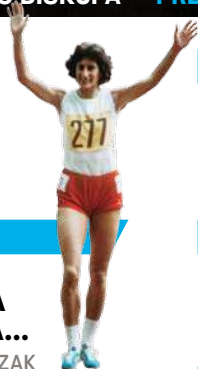
31

PIUS XI BYŁ PIERWSZYM NUNCJUSEM APOSTOLSKIM W POLSCE, KTÓRA ODZYSKAŁA NIEPODLEGŁOŚĆ. PAPIEŻ BRONIŁ CYWILIZACJI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ PRZECIWKO BARBARZYŃSTWU IDEOLOGII TOTALITARNYCH. DO KOŃCA ŻYCIA UWAŻAŁ SIĘ ZA „POLSKIEGO BISKUPA” – PRZYPOMINA KAROL KALINOWSKI

67

IRENA SZEWIŃSKA: PIERWSZA DAMA BIEŻNI

MICHAŁ MUZYCZUK



CZYM STRZELAĆ

87

PUSTYNNY KRZYŻOWIEC, CZYLI CZOŁG CRUSADER

KACPER GROCHOCKI

DIABEŁ NIE MÓGŁ

88

PANI PADEREWSKA

JOANNA PUCHALSKA

SZLACHETNE ZDROWIE

90

WIELKA KARIERA FARMACJI

KRZYSZTOF ŻARYN

ARCHIWUM AKT NOWYCH

92

„SZANOWNY PANIE ROMANIE!”

KATARZYNA WYSOCZYŃSKA

NAC PREZENTUJE

93

„NAKRYĆ SIĘ PRZESCIERADŁEM” – PRZYSPOSOBIENIE OBRONNE W PRL

ŁUKASZ KAROLEWSKI

ZE ZBIORÓW MPW

94

KORDZIK SA-MANNA

PAWEŁ BRUDEK

HISTORIA OKŁADKI

96

DZIECI NA BARYKADACH

MICHAŁ KORSUN

OPOWIEŚCI IPN

99

NOWY MARSZAŁEK NA ROCNICĘ ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

PAWEŁ ZIELONY

eprasa.pl 3e97be12fa

PRASPORT

68

BO FETA BYŁA ZBYT HUCZNA...

GRZEGORZ MAJCHRZAK

POLITYKA HISTORYCZNA

71

DZIEŃ NIEPODLEGŁOŚCI

GRZEGORZ WALIGÓRA

POLONIA

74

HISTORYCY GIEDROYCIA

KRZYSZTOF TARKA

WŁADCZYNI

78

GRZYMISŁAWA

MAREK BARAŃSKI

PEŁNA KULTURA

80

GOLGOTA Z KALIFORNIJSKIEGO WZGORZA

KS. TOMASZ JACEK SEWERYN

82

W KRĘGU KLIO

RAFAŁ ŁATKA

85

WOJNA NA EKRANIE

KAROL MAZUR

PUPILE HISTORII

86

SZCZUR, KTÓRY STAŁ SIĘ PSEM (2)

MAGDALENA SZCZEPANIAK



I Bieg „Rodziny Zakroczymskiej”

9 września w Zakroczymiu miał miejsce I Bieg „Rodziny Zakroczymskiej”, który został objęty patronatem narodowym prezydenta RP Andrzeja Dudy w stulecie odzyskania niepodległości. Oprócz promocji zdrowego trybu życia i biegania miał on na celu przedstawienie szerszemu gronu odbiorców historii „Rodziny Zakroczymskiej” niezwykłych dzieł pomocy niesionej przez podwarszawską społeczność ofiarom niemieckich wywózek ludności cywilnej walczącej stolicy z 11 września 1944 r. Inicjatywa miała więc przypomnieć, że w czasach, gdy nad Polską unosił się złowrogi cień śmierci, w Zakroczymiu ludzie nie zapomnieli, czym jest człowieczeństwo. Uczestnicy biegu chcieli w ten sposób podziękować tym, którzy ratowali życie rodakom i upamiętnić ich w roku stulecia odzyskania niepodległości. Organizatorem wydarzenia był Komitet Organizacyjny I Biegu „Rodziny Zakroczymskiej” pod przewodnictwem Kamila Janczarka, współorganizatorem – Stowarzyszenie na rzecz Rozwoju Sportu w Gminie Czosnów. Partnerem wydarzenia została Gmina Zakroczym. Sponsorem głównym została firma ILS.

IX edycja konkursu o Katyniu

20 września w Muzeum Katyńskim w Warszawie odbyło się podsumowanie IX edycji konkursu dla młodzieży „Sprzączki i guziki z orzełkiem ze rdzy...”. W ramach projektu uczniowie przygotowywali karty albumowe przedstawiające historię osób pomordowanych przez NKWD z tzw. list katyńskich w kwietniu i maju 1940 r. W tegorocznej edycji uczestniczyło ponad 450 osób. 66 laureatów zostało nagrodzonych wyjazdem edukacyjnym do miejsc związanych z historią Polski na Litwie. W trakcie uroczystego podsumowania konkursu, oprócz wręczenia dyplomów i nagród, miała miejsce prezentacja pięciu odcinków miniseriale „Sztafeta” produkcji Narodowego Centrum Kultury oraz spotkanie z głównym bohaterem serialu – Kacprem Ciesielskim. Wykład poświęcony Archipelagowi SŁON wygłosił Adam Hlebowicz, dyrektor Biura Edukacji Publicznej IPN. Odbyły się także warsztaty z zastosowaniem teczek edukacyjnej „Śledztwo katyńskie” z udziałem Karola Madaja, legendarnego projektanta gier planszowych. Organizatorem konkursu był Instytut Pamięci Narodowej, partnerem strategicznym i fundatorem nagród – Fundacja PKO Banku Polskiego, partnerem – Muzeum Katyńskie.

Uroczystości z okazji rocznicy bitwy pod Falenicą

19 września odbyły się uroczystości z okazji 79. rocznicy bitwy pod Falenicą połączone z obchodami Dnia Patrona Szkoły Podstawowej nr 76 w Warszawie im. 13. Dywizji Piechoty Strzelców Kresowych. Rozpoczęły się one od złożenia kwiatów pod pomnikiem żołnierzy walczących pod Falenicą. Następnie została odprawiona msza św. w kościele pw. Wieczerzy Pańskiej w Aleksandrowie. Kolejnym elementem programu był apel poległych i złożenie kwiatów na aleksandrowskim cmentarzu wojennym. W ramach obchodów miała miejsce także historyczna gra terenowa dla uczniów. Uroczystości zorganizowały SP nr 76 oraz Stowarzyszenie „Bitwa pod Falenicą 19 IX 1939”.



FOT. URZĄD DZIELNICY WAWER

„Mój pierwszy zeszyt”. Akcja IPN dla pierwszoklasistów z okazji 100-lecia odzyskania Niepodległości

W celu upamiętnienia 100. rocznicy odzyskania Niepodległości z okazji rozpoczęcia roku szkolnego 2018/2019 Instytut Pamięci Narodowej przekazał pierwszoklasistom zeszyty z wizerunkami Ojców Niepodległości: Romana Dmowskiego, Ignacego Paderewskiego, Józefa Piłsudskiego,

Ignacego Daszyńskiego, Józefa Hallera i Wojciecha Korfanteo oraz długopisy i ołówki z nadrukiem nawiązującym do tej okoliczności. Akcję organizują oddziały IPN w całej Polsce. W poszczególnych regionach zestawy przekazanych gadżetów są zróżnicowane m.in. w zależności od historii danej ziemi. W wielu miejscach przekazaniu materiałów towarzyszyły okolicznościowe imprezy.



Podsumowanie projektu „Paderewski w służbie Niepodległej”

4 października w warszawskim Domu Polonii odbyło się uroczyste podsumowanie projektu „Paderewski w służbie Niepodległej” połączone z recitalem fortepianowym. Po informacji o przebiegu i efektach inicjatywy, którą przedstawili organizatorzy, zebrani wysłuchali recitalu fortepianowego w wykonaniu młodego muzyka wirtuoza Szymona Drabińskiego. Celem projektu było budowanie świadomości historycznej poprzez przypomnienie osoby i działalności Ignacego Jana Paderewskiego jako postaci, która bezpośrednio przyczyniła się do powrotu Polski na mapę świata i premiera rządu niepodległej Rzeczypospolitej, co wpisuje się w obchody 100-lecia odzyskania niepodległości. Organizatorem projektu była Fundacja Służba Niepodległej kierowana przez przedstawicieli młodego pokolenia Polaków, a partnerem – Regionalny Ośrodek Debaty Międzynarodowej w Warszawie. Akcję dofinansowano ze środków Programu Wieloletniego „Niepodległa”.



„Dryndą na Pragę” „w służbie Niepodległej”

5 października w Muzeum Warszawskiej Pragi odbyło się spotkanie z autorami jednej z najpoczytniejszych książek wydanych w serii wydawniczej UKSW „W służbie Niepodległej”, „Dorożkarstwo warszawskie w XIX wieku”, autorstwa potomków stołecznych dorożkarzy Łukasza Lubryczyńskiego i Karoliny W. Gańko. W serii tej wydano już ponad 20 pozycji – głównie monograficznych – powstałych na bazie prac magisterskich i doktorskich obronionych w Instytucie Nauk Historycznych UKSW. Redakcja zachęca do lektury tych wyśmienitych książek (zob. recenzja dr. R. Łatki na str. 82 tego numeru „wSieci Historii”).



Ciepielów: koncert w hołdzie Polakom ratującym Żydów

W ramach ogólnopolskiego projektu autorskiego Roberta Grudnia „Zrozumieć Niepodległą” 23 września w kościele pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Ciepielowie odbył się koncert „Heroizm Polaków ratujących Żydów pod okupacją niemiecką”, dedykowany pamięci rodzin Kowalskich, Obuchniewiczów, Skoczylasów, Kosiorów oraz wszystkich Polaków, którzy zostali zamordowani za pomoc niesioną Żydom w trakcie okupacji niemieckiej. Wśród artystów biorących udział w wydarzeniu byli: Anna Seniuk, Anna Zagdańska, Marcin Obuchowski, Robert Grudzień, a także Chór Vlodavensis i uczniowie Zespołu Szkół w Ciepielowie. Organizatorem wydarzenia była lokalna parafia, partnerami – Urząd Gminy w Ciepielowie, tamtejszy Zespół Szkolno-Przedszkolny, Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Radomiu, Klub Inteligencji Katolickiej w Radomiu, Zakład Doskonalenia Zawodowego w Radomiu, ZDZ Szkoła Muzyczna Radom, Diecezjalny Instytut Akcji Katolickiej Diecezji Radomskiej, Radio Lipsko. Sponsorem koncertu była Fundacja Energi.

Enigma trafi do Muzeum Historii Polski

12 września Muzeum Historii Polski podpisało list intencyjny z amerykańską firmą Prescient. Dzięki wsparciu finansowemu tego przedsiębiorstwa muzeum zakupi unikatowy egzemplarz niemieckiej maszyny szyfrującej Enigma. W uroczystości podpisania dokumentu uczestniczył dyrektor MHP Robert Kostro oraz prezes zarządu Prescient Satyen Patel. „Złamanie kodu Enigmy przez polskich matematyków jest jednym z kluczowych elementów współczesnej historii Polski i świata. W naszym muzeum znajdzie się największa w kraju ekspozycja o historii Polski i nie byłaby kompletna bez maszyny Enigma. Chcielibyśmy podziękować Prescient za zobowiązanie się do sfinansowania przyszłego zakupu” – powiedział Robert Kostro. „Prescient jako innowacyjna firma technologiczna ma zaszczyt oddać hołd wszystkim polskim naukowcom, którzy złamali niemiecki kod Enigmy oraz sfinansować zakup maszyny do Muzeum Historii Polski. Jesteśmy przekonani, że Enigma będzie punktem kulminacyjnym tego ambitnego projektu” – mówił zaś Satyen Patel. Maszyna, która



trafi do MHP, została wyprodukowana na początku lat 30. Jest to egzemplarz przedseryjny i jedna z pierwszych maszyn szyfrujących, jakie trafiły na wyposażenie armii niemieckiej. Zabytkowy eksponat to maszyna z niemal kompletnym wyposażeniem. Jest w doskonałym stanie, a jej zewnętrzny wygląd odpowiada oryginalnej, dobrze zachowanej maszynie Enigma I. Maszyna przez lata użytkowania przechodziła wiele modernizacji i napraw, co wskazuje na intensywne jej wykorzystywanie przez okres lat 30. oraz II wojny światowej.

XIII Festiwal Polonijny „Losy Polaków”

3 listopada w Centrum Prasowym Foksal odbędzie się uroczyste podsumowanie XIII Festiwalu Polonijnego „Losy Polaków”. Wydarzenie to stanowi coroczny przegląd profesjonalnych i amatorskich działań multimedialnych o tematyce polonijnej w następujących kategoriach: filmu fabularnego, dokumentalnego, amatorskiego, programów telewizyjnych, programów radiowych i multimedialnych oraz stron internetowych. Organizatorem festiwalu jest Fundacja Polska-Europa-Polonia. Honorowym patronatem objęli go marszałek Senatu RP Stanisław Karczewski oraz wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński. W Komitecie honorowym zasiadają m.in. senator RP prof. Jan Żaryn, szef KPRM Michał Dworczyk, minister Anna Maria Anders. Wydarzenie sfinansowały: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Polski Instytut Sztuki Filmowej, Senat RP i Fundacja PZU. Więcej informacji o festiwalu można znaleźć na stronie internetowej: www.warszawa.mazowsze.pl.

Zbiórka na rzecz upamiętnienia żołnierzy wykłętych

W okolicach 1 listopada odbędzie się zbiórka publiczna „Przywracamy pamięć o żołnierzach wykłętych”. Jej celem jest pozyskanie środków potrzebnych do upamiętnienia żołnierzy polskiego podziemia niepodległościowego poprzez: nagrobki, pomniki, tablice pamiątkowe, publikacje, murale, uroczystości, spotkania otwarte, rajdy, turnieje i wiele innych inicjatyw, które upamiętnią i upowszechnią wiedzę o bohaterach drugiej konspiracji. Organizatorem zbiórki jest Fundacja im. Kazimierza Wielkiego. Więcej informacji można znaleźć na stronie internetowej: <https://fkw.edu.pl>.



„wSieci Historii” w Radiu Warszawa...

16 października (wtorek) o godz. 9.30 Radio Warszawa oraz miesięcznik „wSieci Historii” zapraszają na wspólną audycję. Gościem Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma.



...i w Radiu dla Ciebie

20 października 2018 r. (sobota) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika.



Lublin: dyskusja o historii korporacji akademickich

20 października w godz. 11–14 w sali Wykładowej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego przy ul. Rynek 18 w Lublinie odbędzie się konferencja „Korporacje akademickie w 100-letniej historii KUL”. Wśród prelegentów znajdują się: prof. Maciej Jońca, sędzia Trybunału Stanu mec. Maciej Miłosz i dr Arkadiusz Adamczuk. W trakcie wydarzenia nastąpi także promocja książki „O wielkość i potęgę Rzeczypospolitej. Polska Akademicka Korporacja Astrea 1923–1939” autorstwa Michała Dworskiego, Bartosza Czajki i Mateusza Wesołowskiego. Organizatorami sesji są Regionalny Ośrodek Debaty Międzynarodowej w Lublinie oraz Polska Akademicka Korporacja Astrea Lublinensis.



Senat w Niepodległej Rzeczypospolitej

23 października odbędzie się w Senacie RP kolejna konferencja naukowa zorganizowana przez wyższą izbę oraz naukowców z INH UKSW z dyr. instytutu, ks. prof. Waldemarem Graczykiem na czele, tym razem w 550. rocznicę polskiego parlamentaryzmu i 100. rocznicę odzyskania niepodległości. W programie m.in. wykład prof. Ewy Dubas-Urwanowicz (UwB) o roli senatu podczas aktywności politycznej królowej Bony, dr. hab. Roberta Kołodzieja (UWr) o senacie w dobie panowania Jana III Sobieskiego. Ostatnim akordem konferencji będzie panel prowadzony przez prof. Jana Żaryna, z udziałem m.in. prof. Antoniego Dudka (UKSW) i prof. Zbigniewa Stawrowskiego (UKSW) o dziedzictwie senatu I i II RP.

POD PATRONATEM „wSIECI HISTORII”

Rajd szlakiem żołnierzy „Bartka”

W dniach 17–18 listopada Fundacja im. Janusza Kurtyki organizuje Górski Rajd Śladami kpt. Henryka Flamego „Bartka”. Będzie on stanowić część II edycji projektu pod nazwą „Rajd śladami żołnierzy wykłętych”. Wydarzenie odbędzie się w rejonie masywu Beskidu Żywieckiego w okolicach takich miejscowości jak: Czechowice-Dziedzice, Wisła, Szczyrk, Żywiec. Rajd będzie miał charakter autokarowo-pieszy. Uczestnicy odwiedzą miejsca ściśle związane z działalnością zgrupowania „Bartka”. Kulminacyjnym punktem wydarzenia będzie wyjście na Baranią Górę, u podnóża której w okresie walk kwaterowało zgrupowanie. Przewodnikiem podczas rajdu będzie dr Tomasz Greniuch – autor wielu prac poświęconych osobie kpt. Henryka Flamego i jego Zgrupowaniu Partyzanckiemu VII Okręgu Narodowych Sił Zbrojnych (tekst dr. Greniucha o zgrupowaniu sił NSZ „Bartka” publikujemy na str. 56). Więcej informacji o wydarzeniu znajduje się na stronie internetowej: www.fundajakurtyki.pl. Współorganizatorem II edycji projektu jest Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, a partnerem głównym – PKN ORLEN.



Wojna kulturowa



**GRZEGORZ
GÓRNY**

Pierwszym państwem na świecie, które przyjęło protestantyzm jako oficjalną religię, były Prusy Książęce. Stało się to w 1525 r. W Polsce kojarzymy tę datę głównie z hołdem, jaki Albrecht Hohenzollern złożył Zygmuntowi Staremu i nadajemy temu wydarzeniu głównie wymiar polityczny. Jego długofalowe znaczenie było jednak przede wszystkim religijne.

Od tamtego czasu luteranizm stał się jednym z podstawowych składników pruskiej ideologii państwowej. Z czasem zaczął nabierać coraz bardziej antykatolickiego charakteru. Wrogość wobec „religii rzymskiej” ujawniła się szczególnie po Wiośnie Ludów. Połączyła ona protestantów z narodowcami i liberałami promującymi idee oświeceniowe. Wspólnie rozpoczęli oni walkę z Kościołem katolickim, by ograniczyć jego obecność w państwie.

Apogeum konfliktu przypadło na lata 70. XIX w. Po zjednoczeniu Niemiec i proklamowaniu cesarstwa w 1871 r. kanclerz Otto von Bismarck zainicjował politykę „dekatoizacji” państwa, zwaną Kulturkampf. Szef rządu obawiał się, że katolicy, którzy po przyłączeniu Bawarii stanowili 36 proc. ludności kraju, będą elementem rozbijającym jedność narodu, na dodatek nielojalnym, bo posłusznym papieżowi w Rzymie, a nie władzy w Berlinie. W rezultacie w Reichstagu uchwalono wiele antykościelnych ustaw, np. zakaz działalności jezuitów, a później wszystkich zakonów, z wyjątkiem tych, które opiekowały się chorymi. Nowe prawo poparł cesarz Wilhelm I, który stwierdzał: „Obskurantyzm emanujący z zakonów, ich tajemne machinacje i służalczość ich członków, sprawiają, że

wydają się one być szczególnie niebezpieczne, a nawet obrzydliwe”.

Na mocy kolejnych ustaw państwo przejęło kontrolę nad szkolnictwem kościelnym oraz przyznało sobie wyłączne prawo do kształcenia, mianowania i odwoływania duchownych. Wysocy rangą urzędnicy państwowi, którzy deklarowali swój katolicyzm, byli masowo zwalniani ze stanowisk. Uchwalono też prawo przewidujące kary więzienia dla księży, którzy słowem lub pismem „zagrożą porządkowi publicznemu”. Z tego powodu aresztowano i uwięziono nawet kilku biskupów.

Dla Polaków żyjących w zaborze niemieckim Kulturkampf miał nieco inne znaczenie niż dla pozostałych obywateli Rzeszy. Była to nie tylko walka w obronie religii, lecz także tożsamości narodowej, ponieważ katolicyzm był dla nich nierozdzielnie związany z ich rozumieniem i przeżywaniem patriotyzmu.



**Abp Mieczysław
Ledóchowski,
prymas Polski**

Dlatego działalność antykatolicka była równoznaczna z działalnością antypolską. Tak też była traktowana przez władze niemieckie.

Symbolem oporu wobec ówczesnej polityki Berlina stała się postać Mieczysława Ledóchowskiego – arcybiskupa gnieźnieńskiego i poznańskiego oraz prymasa Polski w latach 1866–1886. Początkowo zachowywał on ugodowe stanowisko wobec władz pruskich. Gdy jednak zaczęto wprowadzać antykatolickie ustawodawstwo, stawiał zdecydowany opór. W efekcie został w 1874 r. aresztowany i osadzony w więzieniu w Ostrowie Wielkopolskim. Rok później papież Pius IX nadał mu godność kardynalską. Ponieważ niemieckie prawo zabraniało więzienia kardynałów, hierarcha został zwolniony i musiał wyjechać do Rzymu. Tam został jednym z najbliższych współpracowników Leona XIII oraz prefektem Kongregacji Rozkrzewiania Wiary.

Władze aresztowały kolejnych biskupów: Jana Janiszewskiego i Józefa Cybichowskiego, oraz licznych księży. Wielu wygnano też z kraju. W 1881 r. aż 262 parafie w zaborze pruskim nie były obsadzone i brakowało 690 kapłanów. Mimo szykan i represji Polacy nie dali się jednak zastraszyć. Wierni bronili swoich kapłanów, pisali petycje w ich obronie, organizowali manifestacje i zbiórki pieniężne. Bojkotowano księży niemieckich lub starokatolickich przysyłanych na miejsce polskich. W końcu władze zorientowały się, że poniosły klęskę. Nie udało się złamać Kościoła. Z antykatolickiej polityki wycyfano się ostatecznie w 1886 r.

W myśl powiedzenia Nietzschego, że „Co mnie nie zabija, to mnie wzmacnia”, Kulturkampf sprawił, iż Kościół i Polacy nabrali nowych sił do wyzwania, przed którymi mieli wkrótce stanąć. ■

W STULECIE NIEPODLEGŁOŚCI

SPRAWA POLSKA NA ARENIE MIĘDZYNARODOWEJ

JESIEŃ 1918 r.

**„WISI NADE MNĄ ZMORA HEGEMONII NIEMIEC” – ZAPISAŁ
W SWOIM „DIARIUSZU” CZOŁOWY RZECZNIK ORIENTACJI
PROAUSTRIACKIEJ PROF. WŁADYSŁAW L. JAWORSKI 4 GRUDNIA 1917 r.
I RZECZYWIŚCIE RODZIŁ SIĘ WÓWCZAS PAX GERMANICA W EUROPIE
ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ: SYSTEM BRZESKI**



Konferencja pokojowa
w Versalu pod Paryżem,
styczeń 1919 r.

FOT. EAST NEWS


**MAREK
KORNAT**

Rosja została przez Niemcy pobita. W listopadzie 1917 r. zwycięski zamach stanu w Piotrogradzie przyniósł władzę bolszewikom. Rychło później Rosja opuściła koalicję mocarstw sprzymierzonych. Stała się od tej chwili *quantité négligeable* w jej systemie. Nowa Rosja podjęła rozmowy pokojowe z Niemcami. Lenin oddał im olbrzymie obszary na zachodnich krańcach imperium, nad którym przejął władzę. Zbysław państwa bałtyckie, Białoruś, Ukrainę i Polskę (czyli Królestwo Kongresowe). Godził się na niepodległość narodów kaukaskich (Gruzji, Azerbejdżanu i Armenii). „Czerwona Rosja” zrzekła się terytoriów w olbrzymiej części nabytych w następstwie rozbiorów Rzeczypospolitej. 29 sierpnia 1918 r. Rada Komisarzy Ludowych uchwaliła unieważnienie rozbiorów Polski, których współsprawcą było imperium carskie. W ten sposób rząd sowiecki zrzekł się terytoriów, które oddał już Niemcom.

Tam „nie chcą Polski”

Niemiecka wizja Mitteleuropy dochodziła do skutku. Pokój w Brześciu Litewskim podpisano 3 marca 1918 r. W tych okolicznościach Niemcy planowali rzuć wszystkie siły na front zachodni, aby uzyskać jeśli nie zwycięstwo to chociaż kompromisowy pokój. Jeszcze jesienią 1914 r., kiedy ofensywa niemiecka przeciw Francji zdawała się osiągać powodzenie, ówczesny kanclerz Bethmann-Hollweg sformułował w tajemnicy cele wojny, a zakładał wśród nich następujące warunki: „Francja musi zostać osłabiona, by już nie mogła się na nowo podźwignąć jako wielkie mocarstwo; Rosja musi być o ile możliwości odepchnięta od niemieckich granic i jej panowanie nad nierosyjskimi ludami wasalnymi musi zostać złamane”. Szef rządu Rzeszy utrzymywał, że konieczne będzie „osiągnięcie ustanowienie środkowoeuropejskiego związku gospodarczego drogą wspólnych układów celnych, obejmujących Francję, Belgię, Holandię, Danię, Austro-Węgry, Królestwo Polskie oraz ewentualnie także

Włochy, Szwecję i Norwegię. Związek ten, wprowadzając bez wspólnej konstytucyjnej nadbudowy i przy zachowaniu zewnętrznej równości swoich członków, ale faktycznie pod niemieckim kierownictwem, będzie musiał utrwalić panowanie gospodarcze Niemiec nad środkową Europą”. Wiosną 1918 r. warunki te – z wyjątkiem osłabienia Francji – zdawały się być w zasięgu spełnienia.

Jeszcze raz warto oddać głos Jaworskiemu. „Niemcy nie chcą Polski zdolnej do życia” (*ein lebensfähiges Polen*). „Wzmą nas w kleszcze, bo Litwy nie puszcza. Nadzieja na Ententę upada. Włochy rozbite, Francja przedstawia obraz ponury, a w Rosji bolszewicy nienawidzą to, co jest polskie, bo polskie są: inteligencja, kultura, zamożność. Przegraliśmy [...]”. Tylko bezwzględnie podporządkowane Niemcom małe państewko polskie, wkomponowane w projekt Mitteleuropy, odpowiadało życzeniom Berlina. Tam „nie chcą Polski, przewidując, że za 10–20 lat wyda Niemcom wojnę o Poznańskie”.

Ostatnim akordem niemieckiej polityki budowy Mitteleuropy stał się pokój brzeski. Kształtował on dla Polaków wybitnie niekorzystną perspektywę w postaci późniejszej podległości, a więc czegoś gorszego niż niewola, a dużo gorszego niż egzystencja jako duże i niezawisłe państwo. Byłoby to małe państwo zależne od Niemiec. Bez dostępu do morza, bez Wielkopolski z Poznaniem i bez Górnego Śląska. Taki los zdawał się czekać Polaków.

„Très grande et très forte”

Ale losy Wielkiej Wojny rozstrzygnąć się miały nie przy stole rokowań, lecz na froncie zachodnim. Te zmagania Niemcy przegrali. „System brzeski” nie stał się rzeczywistością.

3 czerwca 1918 r. zebrani w Wersalu szefowie rządów trzech sprzymierzonych mocarstw koalicji (Clemenceau, Lloyd George i Orlando) uchwalili deklarację, która głosiła, że „Polska niepodległa i zjednoczona, z wolnym dostępem do morza, stanowi konieczny warunek trwałego i sprawiedliwego pokoju oraz rządów prawa w Europie”. Decyzja o tym, że będzie powołane do życia niepodległe państwo polskie, została wydana. Dwie wielkie niewiadome nadal trapiły Polaków. Po pierwsze, jak miał wyglądać ów obiecany dostęp do morza: poprzez inkorporację Pomorza czy też przyznanie

praw do użytkowania Portu Gdańskiego? Po drugie, jaka będzie zachodnia granica państwa polskiego?

Revolucja bolszewicka w Rosji wywołała doniosłe przewrót w myśli politycznej. Upadł wiązany z nazwiskiem wpływowego w MSZ Philippe’a Berthelota plan wspierania Wielkiej Rosji, w której składzie pozostałyby Finlandia, upominające się o niepodległość narody bałtyckie, a nadto przyłączona zostałaby do niej jeszcze Galicja Wschodnia.

W liście do przedstawiciela Komitetu Narodowego Polskiego Maurycego Zamoyskiego z 12 sierpnia 1918 r. premier Georges Clemenceau obiecywał wolną Polskę na miarę jej aspiracji narodowych „i w ramach jej granic historycznych” (*et dans le cadre de ses limites historiques*). Oczywiście te zastanawiające słowa nie oznaczały woli Francji, aby odbudować Polskę w granicach z 1772 r.

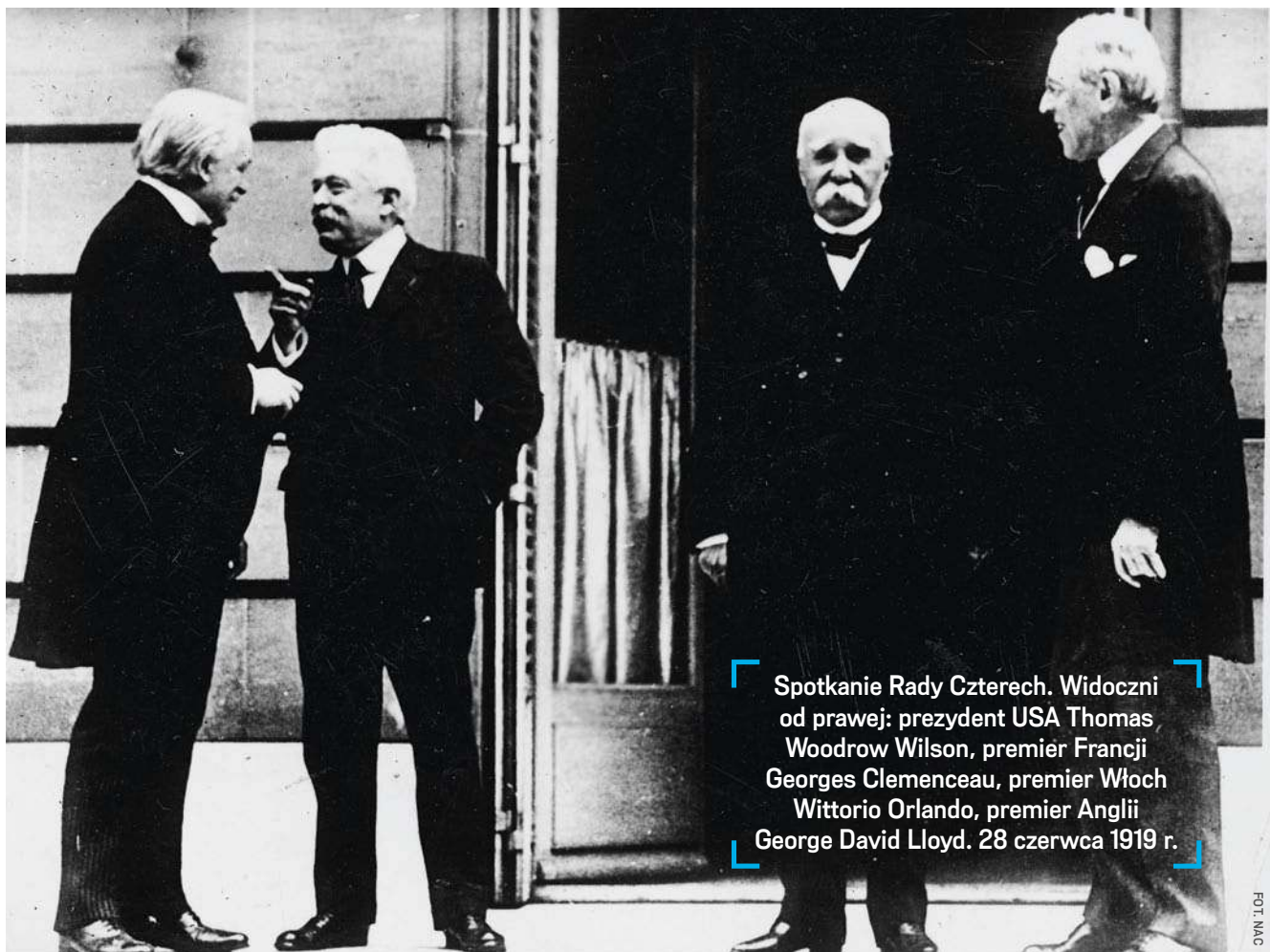
Od końca 1917 r. kształtował się francuski program stworzenia Polski, która będzie „bardzo wielka i bardzo silna” (*très grande et très forte*). W sporządzonym na Quai d’Orsay 20 grudnia 1918 r. memorandum w sprawie Polski padło wyraźne stwierdzenie, że „bezpieczeństwo Francji wymaga, aby u wschodnich granic Niemiec znajdowało się silne mocarstwo”, a „Polska stanowi obecnie przegrodę między bolszewizmem a rewolucją niemiecką”.

Po pierwsze, Francuzi byli mocno przywiązani do swojej tezy o konieczności istnienia antyniemieckiej „bariery wschodniej”. Skoro kandydatura Rosji do tej roli upadła, potrzebny był nowy podmiot tego programu. Mogła być nim tylko Polska. Po drugie, tylko ona mogła stać się kluczowym komponentem „kordonu sanitarnego”, który zablokuje ekspansję bolszewizmu.

Francuska koncepcja silnej Polski była bardzo korzystną okolicznością kończącej się wojny. Nie jest wszakże znany konkretny dokument francuski określający postulowaną jej granicę z Niemcami. Powtarzano jedynie, że niezbędna jest „silna Polska z dostępem do morza”. Tyle i tylko tyle.

„Some kind of home rule”

Znamienną ewolucję w sprawie polskiej przeszła brytyjska dyplomacja. Przekonanie o niepotrzebności Polski niepodległej zastąpił program małej Polski >>



Spotkanie Rady Czterech. Widoczni od prawej: prezydent USA Thomas Woodrow Wilson, premier Francji Georges Clemenceau, premier Włoch Vittorio Orlando, premier Anglii George David Lloyd. 28 czerwca 1919 r.

>> – „etnograficznej” w swych granicach, nieprzeszkadzającej Niemcom i niewchodzącej w drogę Rosji. W przemówieniu na kongresie związków zawodowych 5 stycznia 1918 r. premier Lloyd George porzucił tezę głoszącą, że w interesie Europy jest jedynie „jakiś rodzaj samorządu dla Polski” (some kind of home rule for Poland) – jak widział to minister spraw zagranicznych lord Balfour w swoim memorandum przedłożonym rządowi 4 października 1916 r.

A więc byłyby to „Polska etnograficzna”, w granicach Królestwa Kongresowego, może z Wielkopolską. Premier Lloyd George, którego rola w polityce brytyjskiej była decydująca, a w urządzaniu Europy po I wojnie światowej znacząca, upatrywał w aspiracjach terytorialnych „nowej Polski” główne źródło niepokoju i kłopotów dla „twórców pokoju” (peacemakers). To postępowanie Lloyda George’a miała pokazać dopiero konferencja pokojowa, a zwłaszcza batalia o dostęp państwa polskiego do morza,

ale już na początku 1918 r. nie mogło być wątpliwości, że argumentacja Romana Dmowskiego o potrzebie stworzenia silnej Polski, skutecznie blokującej niemieckie starania o hegemonię kontynentalną – w Londynie nie chwyciła.

„La Polonia indipendente e unità”

W powikłany sposób kształtował się stosunek Italii do kwestii polskiej. Kiedy w czerwcu 1916 r. Włochy przystępowały do wojny z Niemcami, minister spraw zagranicznych Bissolati nakreślił program celów wojennych swej ojczyzny i mówił: „Należy zabić wielogłowego potwora austriacko-węgierskiego, z jego martwego ciała winny się żywe wyłonić wszystkie narody, boleśnie stłoczone w jego sztucznej jedności, winny się złączyć ze swą macierzą, jak Włosi Trydentu i Adriatyku, jak Rumunii i Jugosłowianie, lub też winny się wskreszyć w swej indywidualności etnicznej, jak Czesi albo Polacy.

Żywy mur ludów wolnych zmusi Niemcy do wyzbycia się brutalnego szalu panowania nad światem”.

Piastujący to samo co Bissolati stanowisko Sidney Sonnino wspominał w Izbie Deputowanych 20 czerwca 1917 r. Mazziniego i Garibaldiego jako orędowników przebudowy Europy, a w niej musi być miejsce dla wynagrodzenia przemocy użytej wobec Belgii i dla „odbudowania Polski zjednoczonej i niepodległej”. Był pierwszym alianckim ministrem spraw zagranicznych, który oświadczył się tak jednoznacznie w sprawie polskiej, nie wspominając oczywiście prezydenta Woodrowa Wilsona. W związku z obchodami stulecia śmierci Kościuszki Sonnino powtórzył 25 października 1917 r. te same co powyżej słowa.

Jednak odmowa Wilsona w sprawie uznania postanowień traktatu londyńskiego z 26 kwietnia 1915 r. wywołała w Rzymie prawdziwą konsternację. Kiedy więc 8 stycznia 1918 r. amerykański mąż stanu przedstawił swój 14-punktowy pro-

gram przebudowy świata – Włosi podszli doń z wielką rezerwą. Od początkowo entuzjastycznego poparcia dla koncepcji samostanowienia narodów ewoluowała włoska polityka w kierunku dużego sceptycyzmu w tej sprawie. Samostanowienie narodów było dobre, byle nie dotyczyło terytoriów będących obiektem aspiracji Italii nad Morzem Adriatyckim.

Amerykański sentyment do Rosji

Dobrze znane zaangażowanie Wilsona na rzecz sprawy polskiej i jakże dobroczynne dla Polaków nie oznaczało zgody rządu amerykańskiego na budowę wielkiej Polski, o której myśleli zarówno Piłsudski, jak i Dmowski (inaczej tę wielkość rozumiejąc). Rygorystyczne przywiązanie prezydenta do teorii samostanowienia narodów nie pozwalało uznać, że nowej Polsce należy się Gdańsk. Amerykański przywódca pragnął możliwie najszerzej zastosować instrument plebiscytu, aby doprowadzić do rozgraniczenia wszędzie tam, gdzie występuje spór narodów o to samo terytorium. Na terytoriach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, mających wybitnie skomplikowaną strukturę etniczną, nie było szans, aby to rozwiązać nie zastosować.

Wilson i jego ministrowie nie rezygnowali z koncepcji włączenia Rosji do rokowań pokojowych. Memorandum sekretarza stanu Roberta Lansinga 21 września 1918 r. wśród swoich 29 punktów zawierało m.in. ideę ustanowienia Konfederacji Rosyjskiej, a więc organizmu dającego narodom imperium rosyjskiego jakiś rodzaj samorządu, ale w ramach Rosji. Oczywiście Polacy dostaliby prawo oderwania się od niej, ale z pewnością nie inaczej jak w granicach Królestwa Kongresowego.

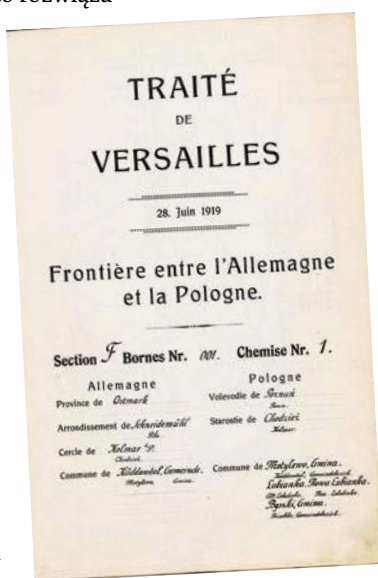
„Dopóki Rosja nie stanie się żywą częścią Europy – nie będzie ani pokoju, ani zwycięstwa” – powtarzał główny doradca polityczny Wilsona płk House. Na początku 1919 r. powiedział powyższe słowa w Paryżu ówczesnemu pierwszemu lordowi admiralicji Churchillowi. Przepowiadał także, że jeśli w przyszłości Rosja i Niemcy się

sprzymierzą, to „wszystkie narody na wschód od Renu zostaną rzucone przeciwko Francji, Wielkiej Brytanii i Stanom Zjednoczonym”.

Polska w gronie zwycięzców

Jesienią 1918 r. Niemcy stały się areną rewolucji. Przegrały wojnę nie w jej skutek, ale na froncie zachodnim. Rząd ks. Maksymiliana Badeńskiego postanowił uwolnić z Magdeburga Piłsudskiego. Nie ulega wątpliwości, że w Berlinie kalkulowano, iż należy doprowadzić do sytuacji, kiedy stanie on do walki o władzę w rodzącej

LENINOWSKIE HASŁO PRAWA NARODÓW DO SAMOOKREŚLENIA SWEJ PRZYSZŁOŚCI BYŁO WIELKIM OSZUSTWEM



się Polsce przeciw narodowej demokracji. Rozmowy opuszczającego Niemcy Piłsudskiego z Harrym Kesslerem pozostają nam nieznane, ale nie jest możliwe, aby przyszły Naczelnik Państwa poczynił jakiegokolwiek korzystne dla nich zobowiązania. Gdyby tak było, musiałyby powstać pisany do-

kument, a ten stałby się później orężem rządu Rzeszy w walce o zmianę wytyczonej traktatem wersalskim granicy z Polską. Musiałby więc zostać wyjawiony.

Sowieci już dwa dni po zawieszeniu broni w Compiègne, a więc 13 listopada 1918 r., Rada Komisarzy Ludowych w Moskwie unieważniła pokój brzeski. Rosja Sowiecka przystąpiła do tworzenia

rządów komunistycznych dla tych narodów imperium, które usiłowały skorzystać z dobrodziejstwa chwili i sięgnąć po niepodległość, jak Białorusini, Ukraińcy. Rząd sowiecki nie godził się z egzystencją niepodległej Polski, chociaż głośno o tym nie mówił. Stalin nazwał ją „przepierzeniem” między Rosją a światem kapitalistycznym. Leninowskie hasło prawa narodów do samookreślenia swej przyszłości było wielkim oszustwem. W rzeczywistości bolszewikom chodziło o zadeklarowanie, że każdemu narodowi imperium carskiego przysługuje prawo do wolności. Ale zaraz potem miało nastąpić ustanowienie nad nimi rządów komunistycznych i „zjednoczenie” w nowym imperium.

Tylko z jednym ze zaborców kończyli Polacy swoją „przygodę” – z Austrią. Ogłoszony 16 października 1918 r. w Wiedniu manifest cesarza Karola I „Do moich wiernych austriackich ludów” obiecywał federalizację imperium. Nie mógł on powstrzymać biegu wypadków ku całkowitemu rozpadowi państwa. Można było sobie wyobrazić okrojone Austro-Węgry – np. bez Galicji lub też Siedmiogrodu, albo bez Chorwacji, ale z chwilą, kiedy o niepodległość upomnieli się Czesi i powstał program budowy Czechosłowacji, los imperium habsburskiego był przesądzony.

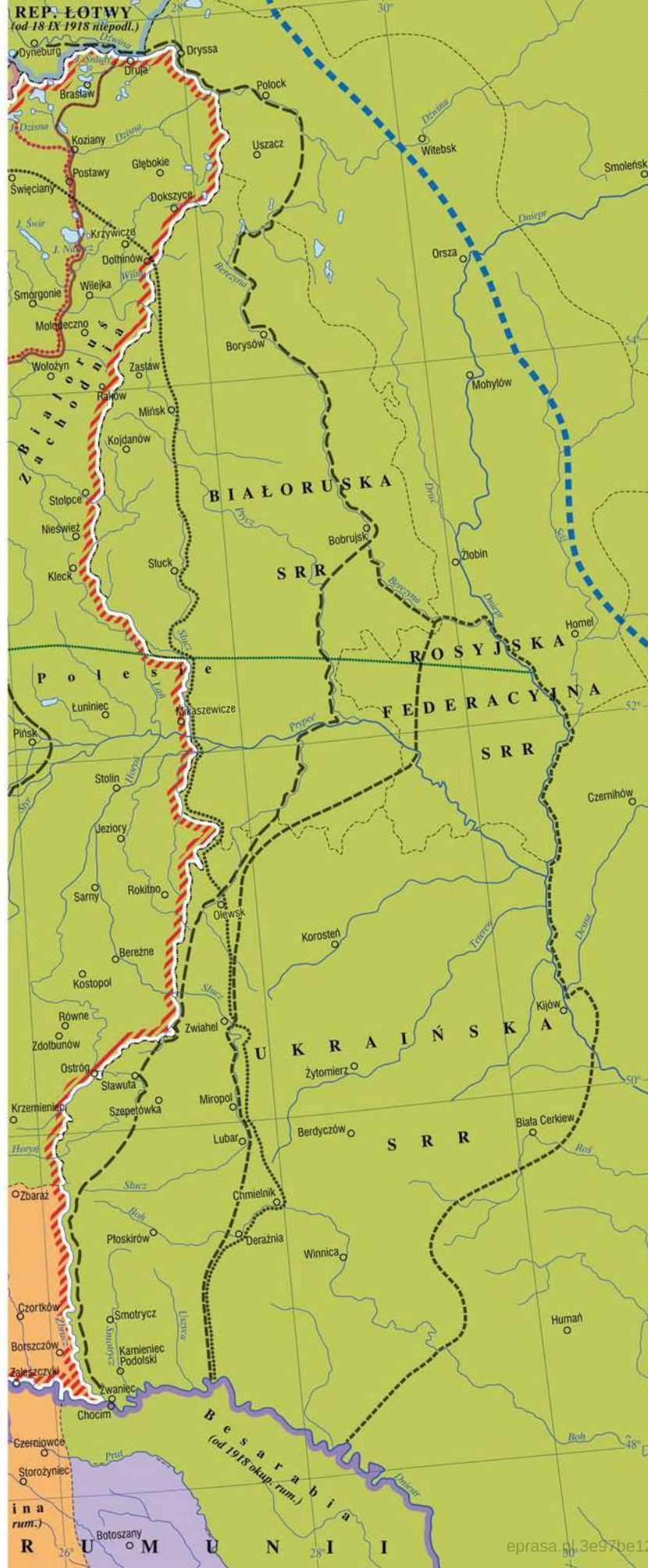
„Cud wskrzeszenia Polski spełnił się dzięki serii katastrof” – napisał Carlo Sforza, życzliwy Polsce polityk włoski. Europa Środkowo-Wschodnia jesienią 1918 r. przedstawiała wielką próżnię geopolityczną. Niemcy i Rosja stały się „zdegradowanymi mocarstwami”.

Każde z mocarstw zwycięskich miało własne interesy i w ich świetle podchodziło do sprawy polskiej. Trafnie uważał Dmowski, że „Alianci zrobili w czasie wojny wielki błąd”, gdyż „ukrywali przed ludźmi prawdziwy powód, dla którego walczą, utrzymując, że chodzi o demokrację, sprawiedliwość, dobro, lecz nigdy o interesy ekonomiczne i polityczne ich kraju, zawsze abstrakcyjne, które zwykli ludzie błędnie interpretują”.

Kapitulacja mocarstw centralnych przynosiła zwycięstwo koalicji. Poczynając od 11 listopada 1918 r., świat oczekiwał obrad i uchwał konferencji pokojowej. Nie miał to być kongres pokojowy z udziałem zwycięzców i pokonanych, ale konferencja rozumiana jako narada zwycięzców. Dzięki dyplomacji Dmowskiego Polska otrzymała na nią zaproszenie. ■



NARODZINY DRUGIEJ RZECZYPOSPOLITEJ (w latach 1918–1923)



- Obszary państw zaborczych według granic 1914 r.
- Granica okupacji austriackiej i niemieckiej w Królestwie Polskim w latach 1915–1918
- Północna i zachodnia granica Ukrainy ustalona traktatem brzeskim 9 II 1918 r.
- Najdalszy zasięg wojsk niemieckich pod koniec 1918 r.
- Piotrków Ośrodki rewolucyjne (Rady Delegatów)
- Tarnobrzeg Miejsce proklamowania chłopskiej Republiki Tarnobrzezkiej
- Ośrodki władzy polskiej i daty ich powstania w 1918 r.
- Ogniska powstań polskich
- Tereny wyzwolone w dniach 31 X–7 XI 1918 r.
- Tereny wyzwolone w dniach 11 XI–22 XI 1918 r.
- Terytorium podporządkowane władzy Rządu Centralnego w Warszawie pod koniec XI 1918 r.
- Część Wielkopolski wyzwolona do 16 II 1919 r.
- Okręg Białostocki i Suwalszczyzna zajmowane od 9 II do 9 IX 1919 r.
- Części Pomorza, Wielkopolski i Dolnego Śląska przyznane Polsce traktatem wersalskim (28 VI 1919 r.) i zajęte od 17 I do 10 II 1920 r.
- Położenie wojsk polskich:**
 - IV 1919 r.
 - pol. V 1920 r.
 - k. IX 1919 r.
 - 12 VIII 1920 r.
 - III 1920 r.
 - pol. X 1920 r.
- Linia Curzona (z 11 VII 1920 r.)
- Obszary, na których odbyły się plebiscyty
- Obszary, na których nie przeprowadzono uzgodnionych plebiscytów
- Części Śląska Cieszyńskiego, Orawy, Spisza, Mazur i Powiśla przyznane Polsce przez Radę Ambasadorów 28 VII, 12 i 15 VIII 1920 r.
- Ziemie wschodnie przyznane Polsce traktatem ryskim (18 III 1921 r.)
- Granice obszaru, na którym odbyły się wybory do Sejmu Wileńskiego (9 I 1922 r.)
- Granice terytorium tzw. Litwy Środkowej, inkorporowanej 24 II 1922 r.
- Część Górnego Śląska przyznana Polsce uchwałą Rady Ambasadorów 20 X 1921 r. i zajęta w dniach 17 VI–12 VII 1922 r.
- Ostateczne granice II Rzeczypospolitej ustalone w latach 1919–1923 r.
- Zaślubiny Polski z Bałtykiem 10 II 1920 r.

50 0 50 100 km



NIEPODLEGŁOŚĆ 1918

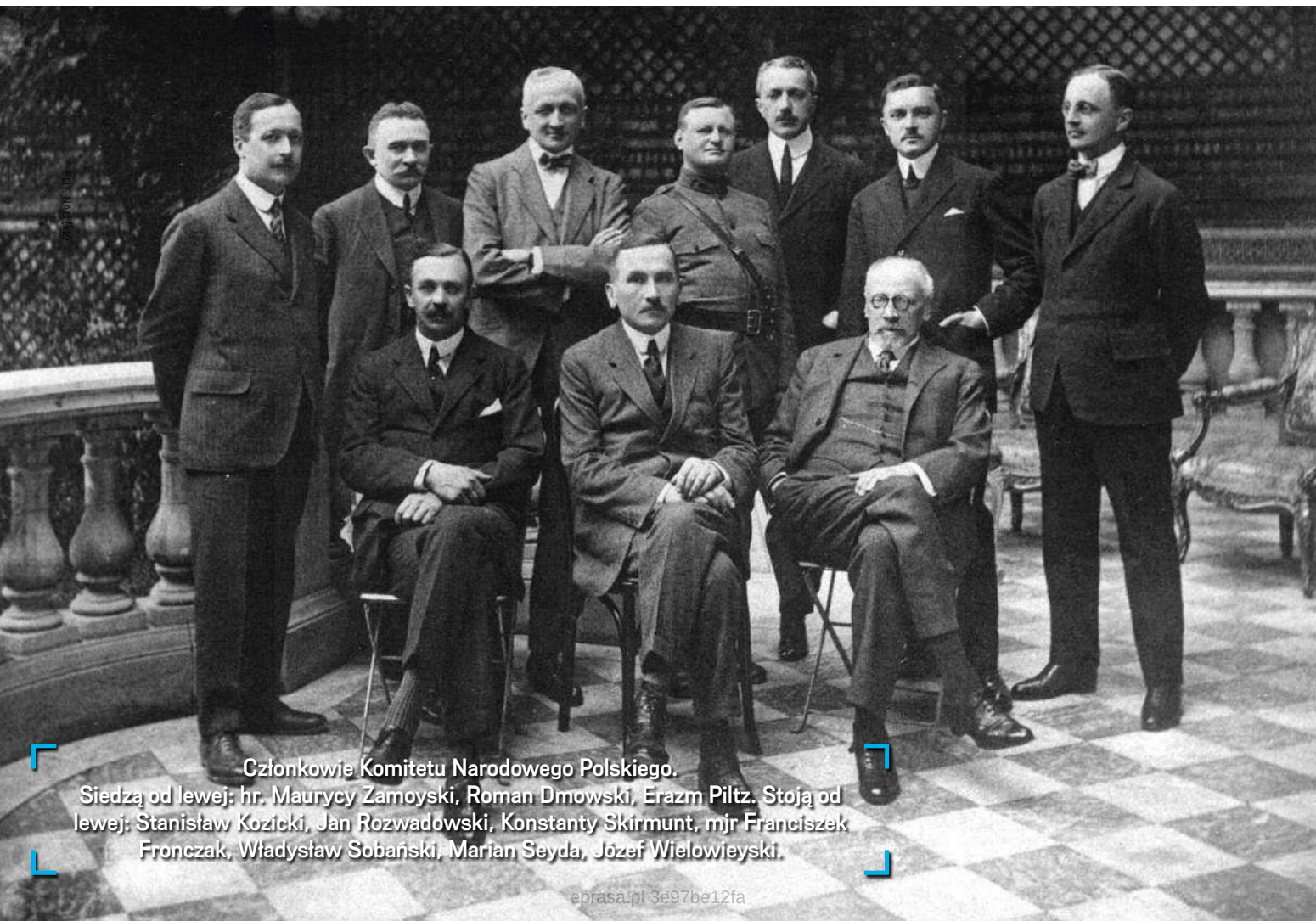
KIEDY POLSKA SIĘ ODRODZIŁA

PAŃSTWO POLSKIE
NIE POWSTAŁO
Z DNIA NA DZIĘŃ.
TO PROCES I WYSIŁEK
CAŁYCH ZASTĘPÓW
ZDETERMINOWANYCH
PATRIOTÓW, CHOĆ
CZĘSTO RÓŻNIĄCYCH
SIĘ WIZJAMI I IDEAMI

MAŁGORZATA
GMURCZYK-WROŃSKA

Był 10 listopada 1918 r. O godz. 7.30 przybył do Warszawy pociągiem z Berlina zwolniony z więzienia w Magdeburgu komendant Józef Piłsudski. Został przyjęty na dworcu przez członków Polskiej Organizacji Wojskowej oraz Zarządu Zrzeszenia b. Wojskowych Polskich. Z dworca Piłsudski udał się na spotkanie z członkiem Rady Regencyjnej księciem Zdzisławem Lubo-

mirskim. Potem w pensjonacie na ul. Mo-niuszki prowadził rozmowy z różnymi delegacjami, w tym przedstawicielami ugrupowań politycznych, a także, a może przede wszystkim, ze współtowarzyszami walk legionowych. W czasie tych rozmów tłumy warszawiaków gromadziły się wokół budynku. Piłsudski z balkonu udekorowanego w barwy narodowe, sztandary z Orłem Białym, powiedział: „Obywatele! Bardzo gorąco dziękuję Wam za to przyjęcie tak serdeczne, któreście mi zgotowali. Po raz już trzeci wita mnie Warszawa, a wita mnie jako tego, który krew i życie swojej każdej chwili Ojczyźnie i Ludowi



Członkowie Komitetu Narodowego Polskiego.
Siedzą od lewej: hr. Maurycy Zamoyski, Roman Dmowski, Erazm Piltz. Stoją od lewej: Stanisław Kozicki, Jan Rozwadowski, Konstanty Skirmunt, mjr Franciszek Fronczak, Władysław Sobański, Marian Seyda, Józef Wielowieyski.

polskiemu oddać gotów”. I od tej chwili wszystko zaczęło toczyć się bardzo szybko.

Data symboliczna

Następnego dnia, czyli 11 listopada, Rada Regencyjna przekazała Piłsudskiemu „władzę wojskową i naczelne dowództwo wojsk polskich”. Podjęto ustalenia, że to Piłsudski będzie tworzył rząd narodowy. Tego samego dnia komendantem Warszawy został brygadier Henryk Minkiewicz. Rozpoczął się proces rozbijania Niemców, przejmowania przez Polaków amunicji, instytucji i tworzenia zrębów niepodległej Polski. W Warszawie i w innych miejscowościach polskich panował w większości entuzjazm. Kończyła się nie tylko I wojna światowa. Przypomnijmy, że 11 listopada 1918 r. Niemcy podpisały z państwami Ententy zawieszenie broni i jest to także data zakończenia I wojny światowej. Europa wkraczała w epokę pokoju, Polacy zaczynali odbudowę utraconej w końcu XVIII w. niepodległości.

W II Rzeczypospolitej 11 listopada został ustanowiony jako święto narodowe. Obchodzone przez cały czas jej trwania, czyli jeszcze w czasie II wojny światowej, zostało ono zdeprecjonowane przez władze komunistyczne po 1945 r. Dopiero po 1989 r. powrócono do obchodów Święta Niepodległości 11 listopada.

Możemy powiedzieć, że 11 listopada jest w dużym stopniu dniem symbolicznego odzyskania niepodległości. Ale tak naprawdę odzyskanie niepodległości było długim procesem, a data 11 listopada 1918 r. wieńczyła wysiłki przede wszystkim walk i działań prowadzonych przez Polaków w czasie I wojny światowej, ale także tych od końca XVIII w.

Działania Józefa Piłsudskiego, jego obozu i wszystkich tych, którzy czynnie na ziemiach polskich włączyli się w proces odzyskiwania niepodległości, okazały się kluczowe w 1918 r. Piłsudski w pierwszej fazie wojny działał u boku państw centralnych. Uważał, że współdziałanie z Austro-Węgrami będzie pomocne w starciach z głównym zaborcą, czyli Rosją. W tym celu tworzył na początku oddziały strzeleckie, a potem Legiony, które włączyły się czynnie do walk na froncie z państwem carów. Czyn legionów okazał się ważny pod względem militarnym. Zapoczątkował także tworzenie się obozu piłsudczyków, niezwykłych więzi ludzi uznających autorytet komendanta i przesiąkniętych duchem walki do końca, do zwycięstwa. Lu-

dzi tych łączyły też ból i cierpienie, ofiara, ale i poświęcenie wynikające również z pewnego romantycznego szaleństwa. Jak inaczej bowiem możemy dzisiaj, a także z perspektywy właśnie 1918 r. określić ten niezwykle zapal legionistów, którzy w imię idealistycznych marzeń o wolnej ojczyźnie rzucili się w wir historii. Już jednak latem 1917 r. zapłacili za to cenę upokorzenia i odosobnienia, kiedy odmawiając przysięgi na wierność cesarzom Niemiec i Austrii, zostali razem z Piłsudskim osadzeni w więzieniu. Czyn legionowy na ziemiach polskich został wtedy przerwany.

Nadal działali jednak ludzie skupieni m.in. w instytucjach polskich powołanych na mocy aktu 5 listopada 1916 r., czyli w Tymczasowej Radzie Stanu i potem Radzie Regencyjnej, a także na licznych szczeblach administracji. Już w czasie wojny zaczął się proces odzyskiwania niepodległości w sensie instytucjonalnym. Tworzono je na ziemiach polskich, ale też na zachodzie Europy. Podkreślimy jednak – w procesie tym brały udział różne, często zwaśnione z sobą obozy.

Komitet Narodowy Polski

Roman Dmowski i osoby skupione głównie wokół obozu narodowo-demokratycznego, jak chociażby Erazm Piltz, prowadziły w państwach Ententy właściwie przez całą wojnę intensywną działalność na rzecz odzyskania niepodległości przez Polskę. Politycy ci mieli duże znajomości we Francji i w Wielkiej Brytanii w kręgach polityczno-dziennikarskich. Od połowy 1917 r. Piltz zaangażował się razem z Wacławem Gąsiorowskim i Adamem Mokiejewskim w przygotowania do realizacji planów tworzenia armii polskiej we Francji. Po uznaniu przez Francję Komitetu Narodowego Polskiego Piltz został jego reprezentantem przy rządzie nad Sekwaną. Należy jednak podkreślić, że to przede wszystkim Dmowski postawił sobie cel związania sprawy polskiej z polityką państw zachodnich. Po uznaniu we wrześniu 1917 r. przez Francję, a potem inne państwa Ententy, Komitetu Narodowego Polskiego za „oficjalną organizację polską” wzmogły się jego kontakty z francuskimi politykami. Sukcesem obozu Dmowskiego i popierającej go Francji było niewątpliwie oświadczenie z 3 czerwca 1918 r., wydane przez premierów Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch, w czasie konferencji międzysojuszniczej w Wersalu, w którym stwierdzono, że: „Utworzenie Polski zjednoczo-

nej, niepodległej, z dostępem do morza, stanowi jeden z warunków trwałego i sprawiedliwego pokoju oraz przywrócenia prawa w Europie”. Dmowski z dumą mógł pisać, że odbudowanie Polski stało się celem wojny.

Dmowski najprawdopodobniej już jesienią 1915 r., kiedy podjął decyzję o wyjeździe na Zachód, był przekonany, że los Polski zostanie ustalony przez Francję i Wielką Brytanię. Przyznawał, że to rok 1917 okazał się kluczowy dla postawienia spraw polskich na forum międzynarodowym. Kolejnym mocnym akcentem było utworzenie we Francji armii polskiej, choć pozostającej pod dowództwem francuskim. 4 czerwca 1917 r. prezydent Raymond Poincaré wydał w tej sprawie stosowny dekret. Wypadki toczyły się teraz już szybko. W sierpniu 1917 r. w Lozannie powstał wspomniany Komitet Narodowy Polski, jego siedzibą stał się Paryż. W końcu sierpnia Komitet wystosował do państw sprzymierzonych noty, w których ogłosił swoje powstanie i prosił państwa Ententy o uznanie go za oficjalnego przedstawiciela Polski. Tak też się stało. Tak więc jeszcze przed faktycznym odzyskaniem niepodległości KNP był już uznawany za przedstawiciela właściwie nieistniejącego w sensie formalnym i nieuznanego jeszcze państwa. KNP stał się ważnym ośrodkiem politycznym pełniącym niejako funkcje „rządu” polskiego w zakresie ministerstwa spraw zagranicznych i częściowo ministerstwa wojny. I to właśnie KNP był przewidywany i popierany przez państwa Ententy, szczególnie Francję, jako przyszły rząd niepodległego państwa polskiego. Sprawy jednak potoczyły się zupełnie inaczej i faktyczne odzyskanie niepodległości dokonało się na ziemiach polskich z udziałem istniejących i powstających instytucji oraz związanych z nimi polityków.

Deklaracja niepodległości

Faktem jest, że po raz pierwszy w formie oficjalnego aktu prawnego słowo „niepodległość” padło na ziemiach polskich 7 października 1918 r. W tym bowiem dniu Rada Regencyjna wydała orędzie do narodu polskiego głoszące, iż „zbliża się pokój, a wraz z nim ziszczenie nigdy nie przedawnione dążeń narodu polskiego do zupełnej niepodległości”. Cały tekst będący de facto deklaracją niepodległości i odwołujący się do 14 pkt prezydenta Wilsona został wydrukowany w tymże dniu w „Monitorze Polskim”, a 21 października >>

» w „Dzienniku Ustaw”. Specjalnie wspominam o tych dwóch periodykach prawnych, gdyż warto pamiętać, że oba zostały ustanowione mocą decyzji Rady Regencyjnej i ukazują się do dziś. Wkład prawny Rady Regencyjnej, a wcześniej Tymczasowej Rady Stanu, w budowanie niepodległej Polski dotyczył kilku płaszczyzn bytu państwowego przyszłej Rzeczypospolitej: administracyjnej (właściwie stworzenie podstaw administracji II RP), dyplomatycznej (tworzenie załączków przedstawicielstw dyplomatycznych) oraz wojskowej (budowanie struktur przyszłej armii). Najważniejsza jednak, obok wspomnianej deklaracji niepodległości, jest brzemienna decyzja wydana 27 października 1918 r. (a ogłoszona 29 października w numerze 13. Dz.U.), czyli tymczasowa ustawa o powszechnym obowiązku obrony głosząca, że „służba wojskowa jest obowiązkiem każdego obywatela Państwa Polskiego”. Oczywiście można powiedzieć, że te decyzje były podyktowane próbą samorehabilitacji przez osoby wchodzące w skład Rady Regencyjnej, instytucji powołanej przez zaborców, ale te akty prawne stanowiły ważny, także z prawnego punktu widzenia, etap tworzenia polskiej państwowości.

Pierwsze gabinety

Akty prawne wydawane w 1918 r. przez Radę Regencyjną miały charakter legitymizujący powstawanie państwa polskiego. Powtórzmy, że to właśnie Rada Regencyjna przekazała Piłsudskiemu władzę nad wojskiem i dała przyzwolenie na tworzenie rządu. Piłsudski skorzystał z tego, bo to oznaczało legalne przejście władzy. Dodajmy także, że niejako w kontrze do tych wydarzeń i działań bardzo krótko funkcjonował powołany 7 listopada 1918 r. w Lublinie, przez środowiska lewicy niepodległościowej, Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej z Ignacym Daszyńskim. Ośrodek o dość radykalnym charakterze lewicowym, ale nie rewolucyjnym, mógł się stać konkurencją dla władz w Warszawie. Kiedy jednak Piłsudski 11 listopada przystąpił do organizowania ośrodka decyzyjnego w Warszawie, podjął rozmowy z Daszyńskim i zaproponował mu kierowanie rządem polskim. Wprawdzie Daszyńskiemu nie udało się tego zrealizować i w konsekwencji to Jędrzej Moraczewski przystąpił do tworzenia rządu, ale należy podkreślić wysiłki Piłsudskiego w tworzeniu jednego

ośrodka władzy w Polsce. I udawało mu się, nie bez problemów oczywiście, tworzyć go już w tych pierwszych dniach po powrocie do Warszawy.

Pozostał jeszcze ośrodek paryski, czyli Komitet Narodowy Polski. Wprawdzie porozumienie z nim było dla Piłsudskiego bardzo trudne, ale niezmiernie ważne. Zbliżała się konferencja pokojowa w Paryżu, na której miano ustalać nowy porządek powojenny. Polska oczekiwała uznania przez zwycięskie mocarstwa swej podmiotowości w stosunkach międzynarodowych. Na przełomie 1918 i 1919 r. doszło do porozumienia między władzą w Warszawie skupioną wokół Piłsudskiego, a KNP w Paryżu. Objęcie w styczniu 1919 r. funkcji premiera i ministra spraw zagranicznych przez Ignacego Paderewskiego zakończyło proces tworzenia jednego ośrodka władzy w Polsce.

Proces z sukcesem

Dopełnieniem procesu odzyskiwania przez Polskę niepodległości było uznanie de iure państwa polskiego przez zwycięskie mocarstwa. I właściwie dopiero wtedy możemy mówić o zakończeniu procesu odzyskiwania niepodległości. Podkreślmy jednak, że proces ten zapoczątkowali sami Polacy już w czasie wojny. Mocno akcentując ten fakt, chciałabym się powołać na stanowisko polskiego prawnika Stanisława Bukowieckiego, członka Tymczasowej Rady Stanu i kierownika działającego w niej Departamentu Sprawiedliwości. W 1930 r. pisał on na łamach „Niepodległości”, że proces budowy państwowości polskiej przez obywateli zaczął się 15 stycznia 1917 r., czyli w dniu rozpoczęcia działalności przez Tymczasową Radę Stanu Królestwa Polskiego, a następnie przez Radę Regencyjną składającą się z osób wskazanych

przez Komisję Przejściową TRS. Bukowiecki wymienia ustawę Rady Regencyjnej o organizacji władz naczelnych z 3 stycznia 1918 r. jako jeden z ważniejszych aktów prawnych, a także przekazanie władzy naczelnikowi państwa. W jego ocenie był to „wewnętrzny legalny akt państwowy” i tym samym ciągłość państwowa polska istniała niezaprzeczalnie i nieprzerwanie od roku 1917”. Dodaje jednak, iż do listopada 1918 r. „władztwo kraju” pozostawało w rękach rządów okupacyjnych, „państwowość polska w okresie od 15 stycznia 1917 r. do 10 listopada 1918 r. była państwowością ułamkową, a o pełnej suwerenności, osobliwie zaś niepodległości, w owym okresie mowy być nie mogło”. Okres państwowości ułamkowej Bukowiecki określa mianem tworzenia państwowego fragmentarycznego. Kilkakrotnie podkreśla jednak, iż należy właśnie mocno akcentować udział sił wewnętrznych w tworzeniu polskiej państwowości. Przyznaje jednak, iż wysiłek państwowotwórczy podejmowany od 1917 r. był niezmiernie trudny. Wiązało to się bowiem z przełamywaniem oporów samych Polaków, pozbawionych w okresie poprzednim dostępu do wyższych i średnich stanowisk w „działach zarządu państwowego”, do angażowania się czynnie w życie państwowe.

* * *

Trudnego dzieła tworzenia zrębów państwowości podjęła się generacja ludzi niezwykle utalentowanych, zdeterminowanych ideą odzyskania swojego państwa. I to musiało się udać. Pozostaliśmy więc przy dacie 11 listopada – dacie symbolicznej odzyskania niepodległości, ale pamiętajmy, że był to długi proces, w który zaangażowali się Polacy na ziemiach polskich i za granicą. ■



Członkowie Rady Regencyjnej: książę Zdzisław Lubomirski, arcybiskup Aleksander Kakowski i hrabia Józef Ostrowski przed intromisją, 27 października 1917 r.

FOT. MAC

Autopromocja

**WYJĄTKOWE DODATKI
EDUKACYJNE W TYGODNIKU**

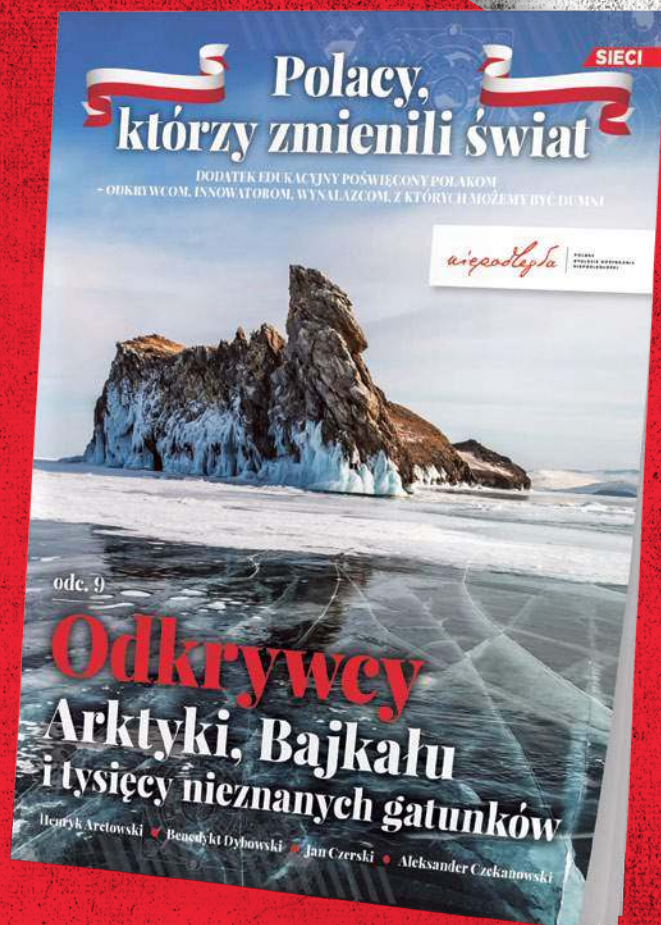
SIECI

29 PAŹDZIERNIKA

i w każdy ostatni
poniedziałek miesiąca

Bohaterowie Niepodległej

seria o niezwykłych ludziach,
którym Polska zawdzięcza
Niepodległość



5 LISTOPADA

i w każdy pierwszy
poniedziałek miesiąca

Polacy, którzy zmienili świat

seria o polskich wynalazcach,
odkrywcach, innowatorach,
którzy uczynili świat lepszym

JEGO POMNIK STANĄŁ W 1932 r. W PARKU SKARYSZEWSKIM W WARSZAWIE. ZNALAZŁ SIĘ TU Z INICJATYWY IGNACEGO JANA PADEREWSKIEGO, KTÓRY ZAMÓWIŁ PROJEKT U RZEŹBIARZA FRANCISZKA BLACKA I SFINANSOWAŁ WYKONANIE ODLEWU Z BRĄZU

KIM BYŁ PUŁKOWNIK HOUSE?



WITOLD
ORZECHOWSKI

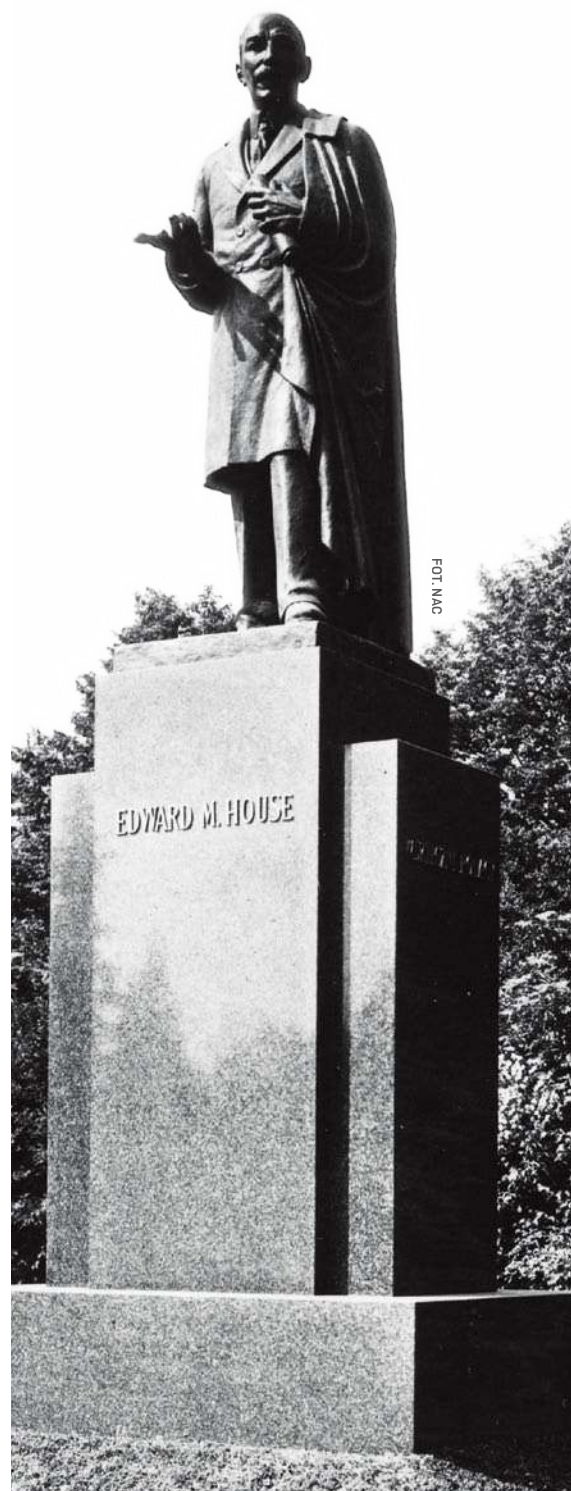
Edward Edward Mandell House (1858–1938) był amerykańskim politykiem i dyplomata, najbliższym doradcą prezydenta USA Thomasa Woodrowa Wilsona w latach 1910–1924 i najbardziej wpływowym człowiekiem w Waszyngtonie. Był wówczas szarą eminencją Białego Domu i ważnym politykiem do tego stopnia, że przyćmił członków rządu oraz sekretarza stanu Roberta Lansinga. Po Waszyngtonie krążył nawet dowcip: „Jak się literuje nazwisko Lansing? Odpowiedź: H-O-U-S-E”.

I właśnie z tym wpływowym i zręcznym politykiem zaprzyjaźnił się polski wirtuoz i kompozytor Ignacy Paderewski, częsty gość Waszyngtonu i Nowego Jorku, od 1915 r. mieszkający w Stanach Zjednoczonych. Miało to mieć wiekopomne skutki w sprawie odzyskania niepodległości przez Polskę w 1918 r. House bowiem pod wpływem Paderewskiego stał się gorącym orędownikiem i przyjacielem Polski, której wówczas od ponad 100 lat nie było na mapie Europy. Później dyplomatyczne talenty umożliwiły Paderewskiemu przy pomocy płk. House’a dotarcie do Białego

Domu i przekonanie prezydenta Wilsona do sprawy polskiej.

USA jako nowe mocarstwo

Uzyskanie poparcia Stanów Zjednoczonych na przyszłej konferencji pokojowej w Wersalu po zakończeniu I wojny światowej wcale nie było łatwe ani oczywiste. Jak zwykle w USA opinia publiczna wymuszała na rządzie federalnym izolacjonizm, tzn. niemieszanie się do konfliktu w Europie. Rzeczywiście, gdy w 1914 r. na Starym Kontynencie wybuchła wojna i wielomilionowe armie toczyły okrutne, krwawe boje, gdy na frontach pojawiały się nowe śmiertelne bronie: karabiny maszynowe, gazy trujące, czołgi, samoloty – Ameryka popierała i kredytowała finansowo Anglię i Francję, ale trzymała się z daleka od akcji militarnych. Dopiero w 1917 r. zapadła w Waszyngtonie decyzja o włączeniu się do wojny. Zdecydowało o tym zatopienie kilku parostatków pasażerskich, w tym głośny przypadek „Lusitanii”. Niemiecka łódź podwodna zaatakowała statek pasażerski z użyciem torpedy, śmierć poniosło wtedy 128 Amerykanów. W ostatniej fazie wojny w odwecie amerykańskie łodzie podwodne zniszczyły niemiecką flotę wojenną i ocaliły Anglię, uwalniając ją od blokady morskiej i umożliwiając transporty z Europy i Ameryki.



FOT. NAC

Jednak bezpośrednim powodem przystąpienia USA do wojny była, ujawniona przez wywiad brytyjski w „The Times”, tzw. depesza Zimmermana, która wzbudziła wielkie społeczne oburzenie Ameryki. W tajnej depeszy dyplomatycznej Niemcy proponowały Meksykowi uderzenie na USA, obiecując po wojnie zdobycze – Teksas i Kalifornię. Ameryka poszła więc na wojnę, a wojna światowa dała szansę na restytucję państwa polskiego, gdy starły się mocarstwa, które dokonały rozbioru Polski. Temu zadaniu poświęcił się Ignacy Jan Paderewski, zawieszając swoje występy i prace muzyczne na pięć lat. Stał się dyplomata i politykiem, delegatem w USA Komitetu Narodowego Polskiego, którym w Paryżu kierował Roman Dmowski.

Edward House, nieformalny minister spraw zagranicznych, pod wpływem żarliwego polskiego patrioty Ignacego Paderewskiego doręczył prezydentowi Wilsonowi memorandum w sprawie niepodległości Polski i wytyczenia jej nowych granic nawiązujących do granic przedrozbiorowych. Ponieważ w rezultacie działań wojennych wszyscy nasi zaborcy byli przegrani, a w Rosji upadł carat i wybuchła rewolucja bolszewicka, Stany Zjednoczone wysyłając do Europy broń, sprzęt, pieniądze, żywność, lekarstwa, stały się de facto nowym mocarstwem światowym.

Ponad milion (!) amerykańskich żołnierzy wsparło Anglików i Francuzów, co doprowadziło do upadku cesarstw – niemieckiego i austro-węgierskiego. Powstała nowa koniunktura dla zapomnianej przez wszystkich Polski. W przeciwieństwie do innych polskich polityków tego okresu Ignacy Jan Paderewski wizjonersko postawił swoje starania i swe nadzieje i wysiłki – na Amerykę.

Przyjaciele Polski – Wilson i House

Cud odzyskania niepodległości przez Polskę – po 123 latach zaborów – nastąpił. Bez woli Stanów Zjednoczonych nie byłoby to możliwe. Francja i Anglia – dwa pozostałe mocarstwa – nie zdobyły się na decyzję utworzenia nowego porządku w Europie i nowego wytyczenia granic dla wolnej i odrodzonej Polski. Istniały imperialne kalkulacje, walka o wpływy po klęsce Niemiec i Austrii, walka o terytoria kolonialne. Rosja carska przestała istnieć, po rewolucji bolszewicy z Leninem na czele objęli władzę, a Anglicy wciąż wierzyli, że komunizm nie utrzyma się i wróci system carski. Z tego

powodu trzymali dla równowagi ziemie polskie w garści. Jak oświadczył Paderewskiemu minister spraw zagranicznych Anglii lord Artur Balfour: „Minęło 100 lat i świat o Polsce zapomniał”.

Uratowali nas Ameryka i prezydent Woodrow Wilson. Wilson był byłym rektorem uniwersytetu w Princeton – intelektualistą, nie zaś zawodowym politykiem. Został prezydentem w 1913 r., a jego najbliższym doradcą ds. polityki międzynarodowej był płk Edward House, syn milionera z Teksasu i doskonale wykształcony znawca europejskich problemów, wizjoner nowego „porządku” po Wielkiej Wojnie.

Paderewski wykorzystał swoje znaczenie i sławę, jaką cieszył się w Ameryce. Jego poglądy znajdowały słuchaczy, a jego przyjaźń z płk. House'em miała kluczowe znaczenie. Od Paderewskiego House dowiedział się wiele o historii Polski. Opowieść o wielkiej i znaczącej Rzeczypospolitej, z nowoczesnym systemem parlamentarnym i demokratycznym sposobem obioru monarchy znajdowała uznanie w oczach Amerykanów.

Golf i wielka polityka

W 1915 r., gdy wojna w Europie trwała w najlepszym, płk House bardzo dyplomatycznie doprowadził do spotkania Paderewskiego z Wilsonem. Stało się to na polu golfowym w Waszyngtonie, niby przypadkiem. Prezydent Wilson zachwycony poznaniem słynnego artysty zaprosił go do występu w Białym Domu. Paderewski zagrał utwory Chopina dla najbliższego grona rodziny prezydenta, a potem barwnie opowiadał o zwycięstwie pod Wiedniem Jana III Sobieskiego i jego husarii, która zatrzymała inwazję Turków na chrześcijańską Europę. Wilson był pod ogromnym wrażeniem patriotyzmu Paderewskiego. Podzielił jego opinię o niesprawiedliwości historycznej, jaka dosięgła Polskę. Będąc idealistą, postanowił to naprawić i stał się wielkim orędownikiem niepodległości Rzeczypospolitej. Jako jeden z nielicznych kierował się poczuciem sprawiedliwości i ładu moralnego w polityce. Stał się gorącym orędownikiem Polski w Wersalu, co ujął w swoim 14-punktowym „Memorandum”, w którym żądał powstania Polski z dostępem do morza.

Ignacy Paderewski, mianowany w styczniu 1919 r. premierem rządu polskiego, został delegatem pełnomocnym na konferencję pokojową wraz z Romanem Dmowskim. I znów z pomocą nieocenionego House'a umiał przekonać niechętnych

konceptji niepodległej Polski premiera Anglii Lloyd-George'a i prezydenta Francji Clemenceau do konieczności sprawiedliwej zmiany granic Europy po wojnie. Przy okazji „sprawy polskiej” niepodległość uzyskały też Czechosłowacja i państwa bałtyckie.

Edward House, dżentelmen w europejskim stylu, syn milionera z Teksasu, doskonale wykształcony prawnik, wytrawny dyplomata, człowiek obdarzony czarującym sposobem bycia – przez wiele lat dominował jako wpływowy polityk w Waszyngtonie. Przyjaźnił się z bankierami J.P. Morganem i Johnem D. Rockefellerem, ale też z pisarzami – Henrym Jamesem i Rudyardem Kiplingiem. Zauroczony sztuką wirtuoza fortepianu Ignacego Paderewskiego, stał się naszym największym sojusznikiem w Ameryce.

Jego pomnik stanął w 1932 r. w parku Skaryszewskim w Warszawie. Znalazł się tu z inicjatywy Ignacego Jana Paderewskiego, który zamówił projekt u rzeźbiarza Franciszka Blacka i sfinansował wykonanie odlewu z brązu.

Paderewski bez swojej ulicy, House z pomnikiem na uboczu

Pomnik House'a został w 1951 r. zniszczony przez komunistyczne władze Warszawy. Odbudowano go po 40 latach, w 1991 r. z inicjatywy konserwatora zabytków Feliksa Ptaszyńskiego. Rekonstrukcji dokonał rzeźbiarz Marian Konieczny na podstawie zachowanych fotografii. Myślę, że przyjacielowi Polski należałoby się bardziej okazałe miejsce – w centrum miasta. Władze stolicy winny także nadrobić gigantyczne i skandaliczne zaniedbanie, a mianowicie nazwać jedną z głównych ulic Warszawy imieniem Ignacego Jana Paderewskiego. Ten wielki artysta, a później premier rządu polskiego w 1919 r., nie ma bowiem swojej ulicy w sercu Warszawy (najbliższa jest w Rembertowie). To zadanie stanie z pewnością przed nowymi władzami Warszawy.

Szanujmy historię i ludzi, którzy pomogli nam odzyskać utracony kraj i niepodległość. Powinniśmy pamiętać o płk. Edwardzie Housie, gdy zbliża się setna rocznica odzyskania niepodległości w 2018 r. Nie mieliśmy bowiem w swoich dziejach wielu takich sojuszników.

Edward House stanie się jednym z bohaterów filmu fabularnego zatytułowanego „Paderewski”, którego produkcję przygotowuje autor tych słów. ■



STO LAT TEMU MY, POLACY ODZYSKALIŚMY NIEPODLEGŁOŚĆ. TRZEBA BY ZAPYTAĆ, JAK TO PRZYJĘLI NASI PRZECIĘTNI, PODNOSZĄCY SIĘ Z NIESZCZĘŚĆ WOJNY RODACY, ZAJĘCI CODZIENNYMI TROSKAMI, ODDALENI OD ELIT POLITYCZNYCH

ODZYSKANIE NIEPODLEGŁOŚCI W OCZACH POLAKÓW

Euforia

Żebyśmy mogli zrozumieć, jaka tym wydarzeniom towarzyszyła atmosfera w podwawelskim grodzie, zacytujmy wspomnienia polityka, który jest uważany za pierwszego premiera niepodległej Rzeczypospolitej, Jędrzeja Moraczewskiego, a który w tych dniach przebywał w Galicji: „Niepodobna oddać tego upojenia, tego szalu radości, jaki ludność polską w tym momencie ogarnął. Po 120 latach przysły kordony! Nie ma »ich«! Wolność! Niepodległość! Zjednoczenie! Własne państwo! Na zawsze! [...] Będzie dobrze! Wszystko będzie, bo jesteśmy wolni od pijawek, złodziei, rabusiów, od czapki z bąkiem [bąk to popularna nazwa godła austriackiego – przyp. P.S.], będziemy sobą rządili. W ciągu dwu dni nie było śladu po symbolach panowania Austrii. Kto tych krótkich dni nie przeżył, kto nie szalał z radości w tym czasie wraz z całym narodem, ten nie doznał w swym życiu najwyższej radości. Cztery pokolenia nadaremno na to czekały, piąte doczekało. Od rana do wieczora gromadziły się tłumy na rynkach miast; robotnik, urzędnik porzucał pracę, chłop porzucał rolę i leciał do miasta, na rynek, dowiedzieć się, przekonać się, zobaczyć wojsko polskie, polskie napisy, orły na urzędach, rozczulano się na widok polskich kolejarzy, ba na widok polskich policjantów i żandarmów”. A więc Polacy byli wzruszeni, rozradowani i podnieceni.

Jak możemy sądzić na podstawie wspomnień nie tylko w miastach, lecz także na wsiach, gdzie mieszkało wówczas przecież trzy czwarte naszych rodaków. Jeden z działaczy ludowych z Kielecczyny – Wawrzyniec Cichy – w ten sposób wspominał dzień odzyskania niepodległości na jednym ze wsi w powiecie opatowskim: „I nagle – gdy grabiliśmy ściółkę – odezwały się dzwony we wszystkich okolicznych kościołach, w Bardzie, Rakowie, Ociesękach i Szumsku. [...] [Ludzie] zderwowani rozprawiali, co by to mogło się stać, że we wszystkich parafiach tak dzwonią. [...] Aż wreszcie te nasze rozmowy przerwał mój brat Michał [...] Powiedział: »Z urzędu gminnego w Rębowie przycwałował posłaniec na koniu, żeby proboszcz kazał bić w dzwony, bo Polska zmartwychwstała«. [...] A we wsi była już polska policja z białymi orzełkami na czapkach i z biało-czerwonymi opaskami na rękawach. [...] Wieczorem zaś [...] odbyło się tłumne zebranie wiejskie. [...] Podobne zebrania odbywały się w wielu tutejszych

wsiach, w których ludność chłopska okazywała niespotykaną poprzednio na naszej wsi radość z powodu wyzwolenia Polski z półtorawiekowej prawie niewoli. [...] W listopadzie 1918 r. ich gorącą miłość do Polski przejawiała się w spontanicznych manifestacjach na cześć wolności i swobody... Podobne manifestacje odbywały się w całym powiecie opatowskim”.

Stolica

Oczywiście nie tylko w Krakowie i na południu Polski Polacy masowo wylęgali na ulice, by świętować. Jeden z warszawskich radnych, o sympatiach narodowo-demokratycznych, Mieczysław Jankowski opisał, co się wówczas działo w stolicy: „Warszawa żyła w tych dniach na ulicy. Zrozumiałe podniecenie ogarnęło wszystkich. [...] Gdy 11 listopada, w historycznym dniu zawieszenia broni, wyszedłem rano na miasto, ulica miała wygląd jakiś zupełnie inny niż zwykle. [...] Ludność samorzutnie zaczęła rozbrajać żołnierzy [niemieckich], którzy poddawali się temu przeważnie bez protestu. Zaraz na ulicy Wareckiej spotkałem jakiegoś wojskowego niemieckiego, silnego, rosnącego mężczyznę, za którym biegł mały 12–13-letni uczeń. Gdy go dogonił, zatrzymał go i kazał mu oddać broń, a duży Niemiec bez słowa odpiął pas i oddał mu szablę. Takie sceny rozgrywały się wszędzie”.

Było w tej euforycznej radości polskiej stolicy nie tylko szaleństwo, ale także pewien rys nieodpowiedzialności. Miasto skłaniało się bowiem do radosnej zabawy, aby zdusić troski związane z wojennym ubóstwem i trwającymi wciąż wojnami na granicach. Jak pisał Henryk Gruber, prawnik i działacz niepodległościowy o warszawskiej atmosferze: „Panowała w Warszawie epidemia tańców w restauracjach i przy jedzeniu oblanym wódką lub piwem można było oddalić się pozornie od rzeczywistości, gdyż mechanizm maszyn drukarskich decydował o dochodach i wydatkach. Za paczkę z dziesięciu papierosami płacono półtora miliona marek”.

Troski dnia codziennego

Zbiedniałe po kilku latach wojny i niedostatku społeczeństwo ledwie przecież wiązało koniec z końcem. Płk Karol Wędziągowski, krewny Józefa Piłsudskiego i były komisarz wojskowy rosyjskiego republikańskiego Rządu Tymczasowego premiera Aleksandra Kiereńskiego, >>

Pierwsza warta polska
na odwachu krakowskim,
31 października 1918 r.



PAWEŁ
SKIBIŃSKI

Zeby odpowiedzieć na tak postawione pytanie, spójrzmy na zdjęcie zamieszczone w „Księdze 10-lecia Polski odrodzonej”, pamiątkowym wydawnictwie opublikowanym przez prasowego potentata międzywojennej Polski – Mariana Dąbrowskiego. Fotografia przedstawia krakowski rynek 31 października 1918 r. Z okien sukiennic zwieszają się gigantyczne polskie sztandary, a nad wejściem widnieje rodzime godło – biały orzeł. Pod oknami zaś tłoczy się rozradowany, zbity tłum mieszkańców miasta.

>> a także hallerczyk, przybył do Warszawy pod koniec grudnia i w następujący sposób wspominał to, co zastał w stolicy: „Na każdym kroku w oczy rzucała się powszechna bieda. Drożyzna. Artykuły pierwszej potrzeby były niesłychanie drogie i droższe jeszcze z każdym dniem, zaś rzeczy i przedmioty wartościowe sprzedawano i kupowano za psi grosz. Kilo masła było w cenie dziennego zarobku inteligenta, dochody stróża kamienicy przekraczały pobory profesora uniwersytetu. [...] Bilet kolejowy do niewyraźnych jeszcze granic państwa był w cenie kilograma słoniny. [...] Pieniądzem obiegowym była wciąż marka, galopująca nieprzytomnie w dół. Na rynkach, gdzie chłopci sprzedawali żywność, panowała zupełna samowola cen, podniecana i przez głupotę i przez chciwość bez umiaru”.

Mimo jednak biedy, jak wspominał Gruber, „do tego Eldorado-Warszawy ciągnęły tysiące ludzi w roku 1918 – z kresów i Galicji. Jedynie Poznańskie trwało na swoim gruncie”.

Ubóstwu towarzyszyło zagrożenie epidemiologiczne. Jednocześnie z odzyskiwaniem niepodległości przez ziemie polskie zbierała swoje tragiczne żniwo hiszpanka – odmiana groźnej grypy, która tym różniła się od tej zwyczajnej, że zamiast dzieci i starców, masowo zabijała młodych i dotychczas zdrowych ludzi.

Na kartach „Kuriera Warszawskiego” rzucają się w oczy nekrologi świadczące o tragicznych zgonach całych rodzin. Zmarło np. w tych dniach małżeństwo Głogowskich; ona miała lat 28, on zaś lat 37. Zmarła także trójka rodzeństwa Śliwierskich; Józef – lat 19, Leokadia – lat 18, a także najstarsza Stefania – lat 24.

Hiszpanka zabiła w 1918 r. więcej ludzi w Europie niż I wojna światowa w ciągu poprzednich czterech lat. Londyn i Paryż, nie mówiąc już o miastach amerykańskich, żyły w cieniu drakońskich zaleceń sanitarnych. Aby powstrzymać szerzenie się epidemii, zakazano m.in. wszelkich publicznych zebrań i przedstawień. Tymczasem w Warszawie trwał ciąg demonstracji, wieców, akademii patriotycznych i festynów rozrywkowych. Grypa szalała jakby niezauważona.

Bandytyzm i rewolucja

A przecież powojenna nędza i epidemia grypy nie były jedynymi problemami Polaków. Po całym kraju włóczyły się bandy maruderów lub dezertów z oddziałów

niemieckich, austriackich i rosyjskich. Jak pisał naoczny świadek na temat sytuacji w Galicji: „Linie kolejowe pełne były pociągów wypełnionych żołnierzami różnych narodowości, którzy opuścili fronty i starali się dotrzeć do swych stron ojczystych. Dworce stacji węzłowych roily się od tysięcy żołnierzy bijących się o miejsce w wagonach”.

Moraczewski dodawał do tych obserwacji: „Samowolna, dzika demobilizacja przepełniła cały kraj [autor mówi konkretnie o Galicji – przyp. P.S.] bandami żołnierzy pędzącymi na oślep do domu, rabującymi po drodze miasta, miasteczka i wsie. [...] Zrabowali Szczakową, Jaworzno, Trzebinę, Chrzanów, Krzeszowice. Bandy żołnierzy szły już na Andrychów, Kęty, Oświęcim – cofnęły się, skoro złożono im okup!”.

Zwyczajny bandytyzm nie był jedynym niebezpieczeństwem, w Europie bowiem rozpałała się fala rozruchów rewolucyjnych. Na wschodzie toczyła się straszliwa wojna domowa w Rosji. Na Zachodzie na rzecz rewolucyjnej przemocy agitowali ludzie pokroju Róży Luksemburg i Karola Liebknechta. Na południe od Polski szykował się do przejęcia władzy oślawiony Bela Kuhn.

Rewolucyjny margines

Jak pisał wspomniany już Jankowski o sytuacji w Warszawie: „Na zachodnich krańcach miasta i w dzielnicach żydowskich żywiły komunistyczne [...] zaczęły urządzać manifestacje z przemówieniami i pochody z transparentami. W wielu miejscach doszło do rozruchów i strzałów. Grupa bojowców PPS napadła na III Komisariat Policji [...] podobno wskutek nieporozumienia [...]”. Jankowski zwracał także uwagę na przejęcie siłą siedziby czasopisma „Godzina Polski” przez członków PPS, którzy zainstalowali tam redakcję dziennika „Robotnik” (redakcja przy ul. Wareckiej 7 pozostanie w rękach wydawców socjalistycznej gazety aż do wybuchu II wojny światowej).

Zdarzył się też fakt, który został potem wyeksploatowany przez propagandę PRL. Zwolennicy PPS wywiesili po manifestacji 12 listopada czerwony sztandar na Zamku



Królewskim w Warszawie. Jak pisał Jankowski: „Pepeesi wdarli się na zamek i obsadzili na dachu czerwony sztandar, który tam wisiał przez dłuższy czas, nikt bowiem nie decydował się zdjąć go”. Choć równocześnie ten sam autor wspomnień przyznaje, że „na Ratuszu [...] wywieszono sztandar o barwach narodowych”.

Ogromna większość ludzi wiązała z odradzającą się Polską nadzieje – często niezbyt precyzyjne, ale żywe. 17 listopada warszawiacy wyszli gremialnie na ulice w wielkim narodowym pochodzie, w którym maszerowało ponad 100 tys. osób, zrzeszonych w ponad 300 stowarzyszeniach. Mieszkańcy stolicy dziękowali w ten sposób za odzyskanie niepodległości. Komentator „Kuriera Warszawskiego” dzień po monumentalnym pochodzie stwierdzał: „W niedzielę [...] odbył się w Warszawie pochód narodowy, który wobec całego świata ucywilizowanego miał zaświadczyć, czym jest obecne pokolenie Polaków i czego żąda. Wzięło w nim udział mnóstwo organizacji społecznych, reprezentujących wszystkie warstwy narodu. Spoistość tych organizacji, karność i liczba uderzyć musiały historyka, który przecież wie, że przesunęło się przed jego oczami pokolenie, co to z ust władz słyszało, iż każda organizacja społeczna jest zbrodnią stanu. Jakież tedy wspinałe tradycje musiało ono pokolenie odziedziczyć, jeżeli nie tylko nie zatraciło instynktu gromadzkiego, ale tak wysoce kulturalny i estetyczny umiało dać mu wyraz!”.

* * *

Jak pisał płk Wędziagolski: „Pomimo powszechnej troski o jutro, nastroje były dobre, odświeżone i uroczyste [...]. Z pogardą i niechęcią odwracano się od niepokojących widoków na wschodzie, gdzie odbywało się ponure misterium rzekomego wyzwania ludu [...]. Wyżywano się spontanicznie w uroczystościach i przystępnych realizacjach triumfującej idei narodowej, romantycznie polskiej i wzniosłe katolickiej”.

W ten sposób bieda, hiszpanka i rewolucja przegrywały w sercach i umysłach naszych dziadków z radością z odzyskanej niepodległości. ■

OSIEM WSPANIAŁYCH W SEJMIE USTAWODAWCZYM



Gabriela
Balicka



Irena
Kosmowska



Jadwiga
Dziubińska

FOT. MAC.3



JOANNA
PUCHALSKA

We „Wspomnieniach 1910–1920” Helena Paderewska napisała: „Dzień wyborów stanowił prawdziwe święto. Prawo do głosowania było powszechne dla mężczyzn i kobiet. Polacy tego dnia po raz pierwszy od czasów rozbiorów mieli głosować według własnego wyboru, wolnego od zewnętrznych wpływów”. I dodała: „Raz jeszcze, jak to się często zdarzało, kobiety w Polsce pokazały swoją wartość i dowiodły, że godne były czynnego prawa wyborczego, które im przyznano”.

„Obowiązkiem obywatelskim każdego z nas jest dopilnować i sprawdzać w terminie oznaczonym w biurze miejscowej Komisji wyborczej, czy zapisano go na listę, zaś w razie pominięcia – reklamować. Reklamacje mogą być wnoszone ustnie lub piśmiennie do miejscowej Komisji wyborczej”

„Kobieta w Sejmie” nr 1 z 10 stycznia 1919 r.

Wyborcy płci obojga stali cierpliwie w kolejkach, aby skorzystać ze swego prawa, które przyniosła im upragniona wolność. W tych pierwszych wyborach najwięcej mandatów zdobyły zjednoczone listy centroprawicowe, największy liczebnie był endecki klub Związku Ludowo-Narodowego z Wojciechem Korfantym na czele. A więc prawica od-

niosła zwycięstwo. Ten pierwszy Sejm był jednoizbowy, a wybory – pięcioprzymiotnikowe: powszechne, równe, tajne, bezpośrednie i proporcjonalne.

Ordynacja wyborcza dawała możliwość głosowania każdemu pełnoletniemu obywatelowi bez względu na płeć. To samo dotyczyło biernego prawa wyborczego. Wcześniej niż w Polsce >>

» prawo do głosowania otrzymały kobiety w Australii, Nowej Zelandii, Finlandii, Danii, Norwegii oraz w Rosji i w państwach powstałych po upadku caratu. W tym samym roku co u nas prawa wyborcze przyznano kobietom w Niemczech i na Litwie.

26 stycznia 1919 r., zaledwie dwa i pół miesiąca po odzyskaniu niepodległości, do Sejmu Ustawodawczego wybrano pięć posłanek, później doszły jeszcze trzy. Wszystkie miały doświadczenie aktywnych i ideowych społecznych działaczek. Podobno z przyzwyczajenia Piłsudski zaczął inauguracyjne przemówienie od „Panowie!”. Udział pań był nowością i naczelnik mógł się niechcący przejęzyczyć.

Lwice prawicy

Z listy narodowej do Sejmu dostała się nauczycielka Maria Moczydłowska związana z katolickim i centroprawicowym nurtem ruchu ludowego w Królestwie. Współpracowała blisko z księdzem Wacławem Blizińskim, liderem Polskiego Zjednoczenia Ludowego, zarejestrowanego w 1919 r. już jako Narodowe Zjednoczenie Ludowe. Była pierwszą kobietą przemawiającą z trybuny sejmowej – w marcu 1919 r. wniosła projekt ustawy antyalkoholowej, w której to kwestii ściśle współpracowała z posłanką z drugiej strony sejmowej sali, Zofią Moraczewską, należącą do Związku Parlamentarnego Polskich Socjalistów. W sprawie alkoholu była nieprzejednana i wniosła nawet projekt całkowitej prohibicji, do którego zatwierdzenia zabrakło zaledwie jednego głosu. Uchwalona zaś ostatecznie ustawa o ograniczeniach w spożyciu i sprzedaży napojów alkoholowych funkcjonowała potocznie jako „lex Moczydłowska”.

Moczydłowska zajmowała się też kwestią reformy rolnej, była członkinią sejmowych komisji: ochrony pracy, oświatowej oraz opieki społecznej. Aktywnie działała na rzecz równouprawnienia kobiet i mężczyzn, uważając je za kwestię „zasadniczą dla ustroju państwa polskiego”, i dążyła do ponadpartyjnej współpracy kobiet parlamentarzystek. Podczas głosowań odznaczała się, nazwijmy to, dużą samodzielnością polityczną. W lipcu 1919 r. poparła reformę rolną wbrew swemu klubowi (Narodowe Zjednoczenie Ludowe). Po prostu w trakcie głosowania zasłała i musiała opu-

ścić salę obrad, dzięki czemu uchwała o zasadach reformy rolnej przeszła jednym głosem. W marcu 1921 r. w podobnej sytuacji opuściła salę sejmową, by „pilnie zatelefonować”. Dzięki temu przewagą trzech głosów przeszła poprawka lewicy do konstytucji marcowej na temat składu Senatu, której jej klub był przeciwny.

W listopadzie 1919 r. wraz z innymi posłankami sprzeciwiła się dyskryminacji kobiet w przyznawaniu nauczycielskiego nadzwyczajnego dodatku drożyznianego (zgodnie z ustawą z lipca 1919 r. dodatek mógł być wypłacany jedynie mężowi).

26 STYCZNIA 1919 r., ZALEDWIE DWA I PÓŁ MIESIĄCA PO ODZYSKANIU NIEPODLEGŁOŚCI, DO SEJMU USTAWODAWCZEGO WYBRANO PIĘĆ POSŁANEK, PÓŹNIEJ DOSZŁY JESZCZE TRZY

20 stycznia 1920 r. Maria Moczydłowska, Gabriela Balicka i Zofia Moraczeńska złożyły wniosek – odrzucony zresztą przez posłów – o wycofanie przepisów pozbawiających kobiety polskiego obywatelstwa z chwilą poślubienia cudzoziemców. Po 1922 r. nie uzyskawszy mandatu, przeszła do centrowego PSL „Piast”.

Franciszka Wilczkowiakowa była działaczką polonijną w zachodnich Niemczech i prowadziła tam polską księgarnię. Członkini Naczelnej Rady Ludowej i sejmu dzielnicowego w Poznaniu – gdzie reprezentowała diasporę polską z Niemiec – jako posłanka w Sejmie Ustawodawczym, należała do komisji opieki społecznej, a w drugiej połowie 1920 r. weszła w skład komisji konstytucyjnej. Występowała w obronie najuboższej ludności Pomorza i piętnowała nadużycia

oraz nieprawidłowości w działaniach nowej urzędniczej kadry na tych przejętych przez Polskę terenach.

Członkini Ligi Narodowej, jedna z pierwszych Polek z tytułem naukowym, Gabriela Balicka, wdowa po pisarzu i działaczu politycznym Zygmuncie Balickim, miała ukończone w Genewie studia i doktorat z botaniki i wykładała w Warszawie. Zakładała prawnicową Narodową Organizację Kobiet i była jedną z głównych tam postaci. Podobnie jak Moczydłowska działała na rzecz pełnego równouprawnienia kobiet i popierała ustawę antyalkoholową. W Sejmie pozostała przez kolejne kadencje aż do 1935 r., potem wycofała się z polityki.

Zofia Sokolnicka studiowała na Uniwersytecie Jagiellońskim i miała też ukończone studia muzyczne. Działała najpierw w konspiracyjnym ruchu oświatowym w Wielkopolsce i od 1903 r. należała, podobnie jak Balicka, do Ligi Narodowej. W 1909 r. była jedną z założycielek Zjednoczenia Polskich Kobietych Towarzystw Oświatowych w Rzeszy Niemieckiej. Miała duże doświadczenie polityczne i była osobą niezwykle czynną. Delegatka na Sejm dzielnicowy w Poznaniu i członkini Naczelnej Rady Ludowej, została ekspertką Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu i delegacji polskiej na konferencję pokojową. Wybrana z ramienia Narodowej Demokracji, w Sejmie Ustawodawczym współpracowała przy przygotowaniu 20 ustaw. Wystąpiła 19 razy na forum Izby, przedstawiła 14 interpelacji oraz 12 wniosków. W czasie wojny polsko-bolszewickiej należała do Komitetu Narodowego Służby Kobiet w Poznaniu i była delegatką Rady Obrony Państwa w Warszawie. Wspierała również plebiscyty na Górnym Śląsku. Z listy Związku Ludowo-Narodowego została wybrana w 1922 r. do Sejmu pierwszej kadencji. W maju 1926 r. należała do zarządu Komitetu Wojewódzkiego Organizacji Obrony Państwa w Poznaniu, opowiadającego się przeciw zamachowi Piłsudskiego.

Lwice lewicy

Pochodząca z zamożnej rodziny inteligentkiej Jadwiga Dziubińska studiowała nauki biologiczne, społeczno-pedagogiczne i historyczno-literackie w tajnym Uniwersytecie Łatającym u wykładowców tej miary, co Piotr Chmielowski,



Otwarcie sesji budżetowej Sejmu.

Od lewej: senatorowie Hanna Hubicka i Ludwik Józef Evert, posłanki Zofia Moraczewska i Maria Jaworska, 1 października 1931 r.

Wacław Nałkowski, Ludwik Krzywicki i Edward Abramowski. Po studiach uczyła w szkołach rolniczych dla dziewcząt, działała w wiejskich radykalnych stowarzyszeniach społecznych, w tym w ruchu związanym z „Zaraniem” – opiniotwórczym tygodnikiem o silnym wydźwięku antyklerykalnym. Czasopismo skupiało działaczy chłopskich, zwanych taraniarzami, i w 1915 r. utworzyli oni Stronnictwo Ludowe, jedną z formacji, z których powstanie potem PSL „Wyzwolenie”.

Właśnie z ramienia „Wyzwolenia” Dziubińska dostała się do Sejmu 1919 r. Jako parlamentarzystka zajmowała się kwestią ludowych szkół rolniczych. Pracowała w trzech komisjach: oświaty, ochrony zdrowia i opieki społecznej. Największą aktywność wykazywała w komisji oświaty, szczególnie przy przygotowaniu projektu ustawy o ludowych szkołach rolniczych. Po uchwaleniu tej ustawy przez Sejm w lipcu 1920 r. zajęła się jej realizacją. Jako przedstawicielka komisji sejmowej jeździła po Polsce, typując majątki ziemskie do założenia szkół rolniczych. W latach 1920–1922 działała w rządowej Komisji Repatriacyjnej na okręg północnej Rosji. Po 1921 r. wycofała się z polityki i skupiła się na działalności kulturalnej i oświatowej.

W ruchu zaraniarskim w Królestwie zasłużyła się także Irena Kosmowska, sekretarz redakcji tygodnika „Zaranie”, pisząca na jego łamach pod męskim pseudonimem. Przed wojną należała do piłsudczykowskiej Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, w czasie wojny była aktywną działaczką niepodległościową,

m.in. w Polskim Towarzystwie Pomocy Ofiarom Wojny, i w 1915 r. spędziła kilka miesięcy w rosyjskim więzieniu. W 1918 r. piastowała urząd wiceministra w lubelskim rządzie Ignacego Daszyńskiego. Była jedną ze współzałożycielek PSL „Wyzwolenie” i została posłanką z ramienia tej partii, tak samo jak Dziubińska. Reprezentowała Polskę w Międzynarodowej Unii Parlamentarnej. W Sejmie pozostała przez dwie kolejne kadencje do 1930 r. W 1920 r. należała do Wojewódzkiego Komitetu Obrony Narodowej w Lublinie.

Socjalistka i zwolenniczka spółdzielczości Zofia Moraczewska, żona Jędrzeja Moraczewskiego, działaczka Polskiej Partii Socjal-Demokratycznej, była jedyną kobietą w klubie Związku Polskich Posłów Socjalistycznych. W marcu 1919 r. wystąpiła z interpelacją przeciw dyskryminacji kobiet, jaką było zamierzone zwolnienie z pracy urzędniczek w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W 1921 r. wbrew stanowisku klubu zagłosowała za przyjęciem konstytucji marcowej. Dostała za to naganę partyjną i niebawem wystąpiła z klubu, a w 1922 r. odeszła z partii. Po zamachu majowym podobnie jak mąż poparła Piłsudskiego. Była współzałożycielką Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet. Z ramienia BBWR weszła jeszcze raz do Sejmu w latach 1930–1935. Tym razem mniej aktywna jako posłanka niż za pierwszej kadencji, była kierownikiem grupy w Komisji Imigracyjnej.

W 1920 r. do Sejmu doszła Anna Piaśnicka – pedagog i działaczka oświatowa. W latach 1910–1918 w ramach tajnego nauczania uczyła języka polskiego w To-

runiu. W 1919 r. założyła w Kwidzynie pierwsze polskie przedszkole, a przed plebiscytem na Warmii w 1920 r. działała w tutejszym Warmińskim Komitecie Plebiscytowym, dążącym do przyłączenia tych ziem do Polski. Posłanką na Sejm Ustawodawczy została po wyborach uzupełniających na Pomorzu, z listy Narodowej Partii Robotniczej – choć pochodziła z rodziny ziemiańskiej. Pod koniec 1920 r. przeszła do centrowego PSL „Piast”. Jako jedyna z ośmiu posłanek nie brała udziału w dyskusjach sejmowych. W Sejmie była do 1922 r.

Trochę statystyki

W latach 1919–1939 polskie obywatelki 45 razy zostawały posłankami, a 23 razy senatorkami. W sumie w ławach posełskich i senackich zasiadało 49 kobiet, część przez kilka kadencji z rządu. Posłanki (które prasa usiłowała przez czas jakiś nazywać posełkiniami albo posełkami) i senatorki II Rzeczypospolitej stanowiły niewiele ponad 2 proc. całkowitej liczby przeszło 2 tys. reprezentantów obu izb. Panie kandydowały we wszystkich wyborach do parlamentu: od pierwszych w styczniu 1919 r., do ostatnich w listopadzie 1938 r.

Większość z nich przestrzegała obowiązujących w pracy sejmowej reguł, ale były i takie, które odchodziły ze swoich klubów, jak Zofia Moraczewska głosowała wbrew dyscyplinie partyjnej, jak Jadwiga Dziubińska podejmowały własne inicjatywy czy narażały się na kary regulaminowe.

Już w Sejmie Ustawodawczym, a także w późniejszym Sejmie i Senacie pierwszej kadencji panie odnosiły całkiem konkretne sukcesy. Na pewno należały do nich przeprowadzenie oświatowych projektów Jadwigi Dziubińskiej i Zofii Sokolnickiej czy zmiany w prawie cywilnym z 1921 r. zrównujące prawa kobiet i mężczyzn.

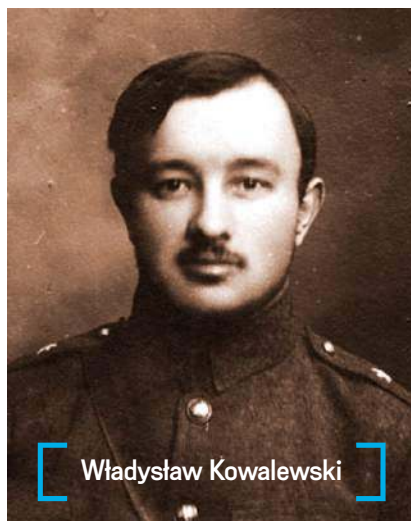
Posłanki do pierwszego Sejmu były kobietami silnymi i aktywnymi, mającymi doświadczenie w działalności społecznej i autentycznie oddanymi swojej misji – pracy na rzecz Polski. I jak pokazuje przykład pań Moczyłdowskiej i Balickiej, zawierających alians z Moraczewską – tam, gdzie jest obywatelska odpowiedzialność za swój kraj, współpraca staje się możliwa także w przypadku odmiennych poglądów politycznych.

FOT. WIKIMEDIA COMMONS



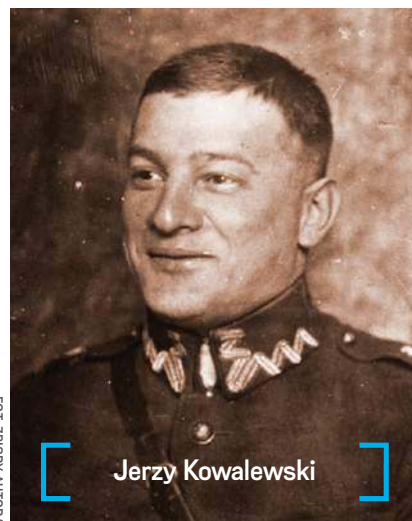
Jan Kowalewski

FOT. ZBIORY AUTORA



Władysław Kowalewski

FOT. ZBIORY AUTORA



Jerzy Kowalewski

RODZINA POLSKICH BONDÓW

NIEWIELE RODZIN MIAŁO TAK WIELE ZASŁUG DLA ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI JAK HALINA, JERZY, WŁADYSŁAW
I JAN KOWALEWSCY. WSZYSCY PRACOWALI W WYWIADZIE



ANDRZEJ
FEDOROWICZ

Latem 1918 r. na ogromnych terenach zachodniej Rosji i Ukrainy panował chaos. Podpisanie przez bolszewików w Brześciu separatystycznego pokoju z Niemcami, który alianci uznali za zdradę, spowodowało, że front wschodni praktycznie przestał istnieć. Dla założonej cztery lata wcześniej przez Józefa Piłsudskiego Polskiej Organizacji Wojskowej była to doskonała okazja, by na dawnych Kresach rozpocząć tworzenie siatki wywiadowczej.

POW w założeniach jej twórców miała być oddziałem polskiego wojska działającym na tyłach wrogiej armii. Po kryzysie przysięgowym, rozwiązaniu Legionów i uwięzieniu Józefa Piłsudskiego, za głównego przeciwnika uznano Niemców. Jednak na wschodzie – obszarze KN-3 – czyli Komendy Naczelnej POW nr 3 w Kijowie, sytuacja była bardziej skomplikowana. Tu wrogami polskiej niepodległości byli nie tylko Niemcy, ale też bolszewicy i Ukraińcy. Rodzący się polski wywiad musiał walczyć z kilkoma przeciwnikami jednocześnie.

Pierwszym szefem KN-3 w Kijowie został 22-letni błyskotliwy legionista, Leopold Lis-Kula. Pod jego komendą rozpoczęło się tworzenie polskiej siatki wywiadowczej sięgającej aż po Moskwę i Morze Czarne. Traf chciał, że stała się ona niemal „rodzinnym interesem”.

Peowiak zostaje bolszewickim sekretarzem

Jerzy Kowalewski miał wyjątkowe kwalifikacje na oficera wywiadu. Absolwent politechniki w Piotrogradzie i wydziału filozofii uniwersytetu w Moskwie, skończył też kurs w rosyjskiej Aleksiejewskiej Szkole Piechoty oraz Akademii Sztabu Generalnego. Ponieważ brał udział w budowie fabryki amunicji na terenie okręgu tyńskińskiego, świetnie orientował się w rosyjskim przemyśle zbrojeniowym. Przejawiał również talenty polityczne i po rewolucji lutowej w 1917 r. został delegatem na zjazd Sowieców. Nawiązanie przez niego kontaktu z POW w maju 1918 r. oznaczało ogromne wzmocnienie organizacji na terenie Rosji. 24-letni Jerzy Kowalewski, posługujący się odtąd pseu-

donimem Świda, został komendantem okręgu POW w Rostowie n. Donem.

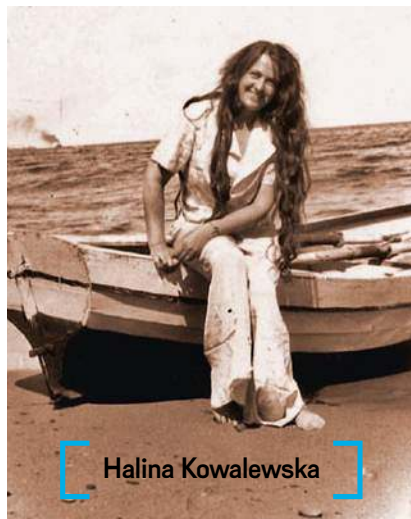
W lutym 1919 r. na trop polskiej komórki wywiadowczej wpadła CzeKa, policja polityczna bolszewików, kierowana przez Feliksa Dzierżyńskiego. „Świda” został aresztowany pod zarzutem szpiegostwa, ale już po miesiącu go zwolniono. Kowalewskiemu nie tylko udało się przekonać czekistów, że nie jest szpiegiem, ale wręcz zasugerował im, że ze swoją wiedzą i umiejętnościami może oddać nieocenione przysługi bolszewickiej władzy.

Po wyjściu z więzienia „Świda” znalazł więc pracę jako... sekretarz komisji nadzwyczajnej do zaopatrzenia Armii Czerwonej na sowieckiej Ukrainie. Tworzone w niepodległej już Polsce Biuro Wywiadowcze Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego poleciło mu zdobycie informacji na temat tajnych pertraktacji między bolszewikami a dowódcami francuskiej floty na Morzu Czarnym w sprawie zakupów broni. W zawieraniu umów handlowych pośredniczyli żydowscy kupcy z Odessy. Informacje o tajnych układach trafiały bezpośrednio na biurko Józefa Piłsudskiego, dla którego Jerzy Kowalewski stał się człowiekiem do specjalnych poruczeń. Pracując jako bolszewicki komisarz, „Świda” pełnił jednocześnie funkcję komendanta POW na teren całej prawobrzeżnej Ukrainy.

Zakres jego obowiązków powiększył się, gdy w kwietniu 1919 r. z Odessy ewakuowana została 4. Dywizja Strzelców Polskich gen. Lucjana Żeligowskiego, pełniąca również ważną funkcję w strukturze siatek wywiadowczych na obszarze KN-3. Powstała luka, którą trzeba było szybko wypełnić. W sierpniu 1919 r. por. Jerzy Kowalewski rozpoczął tworzenie placówek wywiadowczych na Krymie, w Kubaniu i nad Donem. W raporcie dla Biura Wywiadowczego sugerował, by nowa komenda okręgowa obejmowała swoim zasięgiem teren dawnych guberni chersońskiej i taurydzkiej, a główna placówka mieściła się w Odessie. W ten sposób „Świda” przejmował obowiązki prowadzenia działalności szpiegowskiej na tym terenie od szefa wywiadu 4. Dywizji Strzelców Polskich, 27-letniego Jana Kowalewskiego. Był to jego bliski kuzyn.

Geniusz, który złamał sowieckie szyfry

Urodzony w Łodzi Jan Kowalewski, z nim został zmobilizowany do rosyjskiej



FOT. ZBIORY AUTORA

armii, skończył studia chemiczne na uniwersytecie w Liège. Znał kilka języków i miał wybitny talent matematyczny. Po przedostaniu się wraz z dywizją Żeligowskiego przez teren Rumunii w okolice Stanisławowa, wziął udział w polskiej kontrofensywie przeciwko wojskom Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej. Właśnie tam, w czasie walk na Podolu, zainteresował się ukraińskimi szyframi.

Po powrocie do Polski na zdolnego podoficera zwrócił uwagę mjr Karol Bołdeskuł, organizujący sekcję szyfrową dla Biura Wywiadowczego. Pochodzący z okolic Kołomyi major, w czasie wojny szef radiowywiadu państw centralnych na froncie wschodnim, potrzebował człowieka ze znajomością języków wschodnich. Sekcję szyfrową bowiem tworzyli nieznający dobrze rosyjskiego oficerowie z dawnej armii austriackiej, w której kryptologia stała na najwyższym poziomie.

W sierpniu 1919 r., zastępując biorącego ślub kolegę, Jan Kowalewski nudził się na nocnym dyżurze w sekcji szyfrów. Kiedy więc w materiałach z radionasłuchu zobaczył zakodowane sowieckie depesze, dla zabicia czasu zaczął szukać kluczy do ich odczytania. Nad ranem udało mu się złamać pierwszy z nich. Następnego dnia po Biurze Wywiadowczym rozeszła się wieść o facecie, który dla zabawy łamie rosyjskie szyfry. Zaraz potem Jan Kowalewski dostał polecenie zbudowania komórki kryptoanalizy w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego.

Zatrudnił w niej kilku wybitnych przedstawicieli polskiej szkoły matematycznej, takich jak profesorowie Stanisław Leśniewski, Stefan Mazurkiewicz i Wacław Sierpiński oraz ich asystentów.

Jednocześnie rozbudował sieć stacji nasłuchowych, połączonych dalekopisami ze Sztabem Generalnym. Jesienią 1919 r. sekcja Kowalewskiego złamała większość kluczy szyfrowych Armii Czerwonej, a także „białych” wojsk rosyjskich, wojsk ukraińskich, czechosłowackich i litewskich. Praca tego wydziału odegrała ogromną rolę w czasie wojny polsko-bolszewickiej, pod koniec której polscy kryptoanalitycy odszyfrowywali rosyjskie depesze szybciej niż sami Rosjanie.

Miłosna afera na placówce w Tallinie

Gdy w Warszawie Jan Kowalewski łamał sowieckie szyfry, umożliwiając polskiemu wojsku dokładne śledzenie poczynąń Armii Czerwonej, przebywający na placówce w Tallinie jego kuzyn Jerzy przygotowywał inną tajną operację. Plan zakładał zorganizowanie na terenie Rosji dużej siatki wywiadu ofensywnego z kilkoma agentami ulokowanymi w Moskwie. Do pomocy w tym przedsięwzięciu „Świda” sprowadził swojego młodszego pięć lat brata Władysława, również oficera wywiadu. W połowie 1920 r. praca placówki została jednak poważnie zakłócona z powodu pojawienia się w Tallinie agentki o pseudonimie Leliwa.

Była to 27-letnia Halina Trentowska, wdowa po zamordowanym przez Sowietów szefie placówki KN-3 w Winnicy. Urodzona na Podolu, rozpoczęła razem z mężem działalność szpiegowską i dywersyjną natychmiast po utworzeniu przez POW pierwszych komórek wywiadowczych na Ukrainie. Udało się jej zdobyć szczegółowe informacje na temat stanu liczebnego, uzbrojenia i morale wojsk ukraińskich rozlokowanych w Żmeryncie i Kamieńcu Podolskim oraz winnickiego garnizonu wojsk Petlury. Szczególnie ważną funkcję placówka Trentowskich zaczęła pełnić po zajęciu Winnicy przez Armię Czerwoną. Jej agenci terenowi śledzili przejazdy pociągów wojskowych i bolszewickich komisarzy, ustalali miejsca egzekucji i zdobywali dokumenty oraz pieczętki umożliwiające swobodne poruszanie się członkom wywiadowczej siatki.

Wpadka placówek nastąpiła na początku lipca 1919 r. Stanisław Trentowski i kilku jego współpracowników zostało po brutalnym śledztwie rozstrzelanych. „Leliwa” uniknęła śmierci, symulując gruźlicę. W więziennym szpitalu udało się >>

» jej doczekać odbicia Winnicy z rąk bolszewików przez wojska Petlury. Uciekła w ostatniej chwili, tuż przed opuszczeniem miasta czekałszy zdążyli jeszcze rozstrzelać 40 więźniów.

Kiedy jesienią 1919 r. kierownictwo polskiego wywiadu przystąpiło do reorganizowania struktur na Kresach, na szefową ekspozytury KN-3 w Warszawie wybrana została właśnie Trentowska. Miała dokonywać oceny przysyłanych z tego obszaru raportów, szybko się jednak okazało, że praca biurowa nie jest dla niej. Mimo dekonspiracji „Leliwa” wróciła do Winnicy jako kierownik wydziału wojskowego. Przez kolejne pół roku kilkukrotnie przekraczała linię frontu, przenosząc raporty wywiadowcze z siedmiu podległych jej placówek, a w drugą stronę rozkazy naczelnego dowództwa.

Jak niebezpieczne były to zadania, świadczy to, że za działalność wywiadowczą na Kresach orderem Virtuti Militari przyznano 21 kobietom. Aż 16 otrzymało je pośmiertnie. Przełożeni zdecydowali się jednak wycofać „Leliwę” w bardziej bezpieczne miejsce, gdy Armia Czerwona rozpoczęła ofensywę za zachód, a na Podolu znów zaroilo się od sowieckich agentów. Jednak wysłanie zmyślowej brunoetki do Tallina spowodowało nieprzewidziane konsekwencje. Bracia Kowalewscy zaczęli rywalizować o jej względy do tego stopnia, że gdy Jerzy umówił się z Haliną na randkę, Władysław z rozpaczy przestrzelił sobie rękę. W tej sytuacji kierownictwo wywiadu postanowiło rozdzielić całą trójkę i przydzielić każdemu z nich nowe zadania.

Młodszy na Litwę, starszy na Kaukaz

Władysław Kowalewski w pewnym sensie „wszedł w buty” swego kuzyna Jana, gdyż latem 1920 r. został szefem wywiadu przy 1. Dywizji Litewsko-Białoruskiej gen. Lucjana Żeligowskiego. To właśnie ta jednostka dostała od marszałka Józefa Piłsudskiego tajną misję „zbuntowania się” i zajęcia tzw. Litwy Środkowej razem z Wilnem. Były to rodzinne strony zarówno Piłsudskiego, jak i Żeligowskiego, i według planów marszałka miały zostać przyłączone do Polski. 8 października rozpoczęła się słynna czterodniowa wyprawa, która doprowadziła do zajęcia Wileńszczyzny przez Polaków. Od strony wywiadowczej przygotowywał ją właśnie młodszy z braci Kowalewskich.

O wiele bardziej dramatycznie potoczyły się losy starszego. „Świada” został wysłany z tajną misją do Baku w Azerbejdżanie. Tam zginął w zamachu, zorganizowanym najprawdopodobniej przez bolszewików. Po jego śmierci Halina Trentowska zdecydowała się poślubić Władysława. Małżeństwo zawarli w Tallinie w lutym 1921 r. Dwa lata później urodził się im syn, któremu na cześć tragicznie zmarłego stryja nadali imię Jerzy.

JESIENIĄ 1919 r. SEKCJA KOWALEWSKIEGO ZŁAMAŁA WIĘKSZOŚĆ KLUCZY SZYFROWYCH ARMII CZERWONEJ, A TAKŻE „BIAŁYCH” WOJSK ROSYJSKICH, WOJSK UKRAIŃSKICH, CZECHOSŁOWACKICH I LITEWSKICH

Po zakończeniu zmagania z bolszewikami Halina i Władysław Kowalewscy zamieszkali w Warszawie. On został zastępcą komendanta Związku Strzeleckiego i dyrektorem wojskowej drukarni, ona rozpoczęła pracę w przedszkolu prowadzonym przez Polski Monopol Tytoniowy, opiekując się dziećmi, których rodzice zginęli w czasie wojny. Prowadzili spokojne życie, spędzając wakacje na Polesiu, w majątku ofiarowanym im przez państwo za wojenne zasługi. Syna wysłali do liceum w Szwajcarii. Jednak wybuch kolejnej wojny spowodował, że wywiadowcze małżeństwo znów musiało wrócić do tajnych zadań.

Tajne życie

Władysław Kowalewski został ewakuowany z Polski we wrześniu 1939 r. Póź-

niej trafił do II Korpusu gen. Andersa. Jego żona pozostała w Warszawie, biorąc udział w formowaniu wywiadu dla Służby Zwycięstwu Polsce, z której później powstała Armia Krajowa. W czasie powstania w stopniu pułkownika służyła w nasłuchu radiowym w mieszkaniu przy ul. Kruczej, należącym do Stefana Korbońskiego, dyrektora Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu na Kraj. Po kapitulacji, na rozkaz dowództwa AK, pozostała w Zalesiu Górnym, gdzie pracowała w Radzie Głównej Opiekuńczej. Mimo że ciążył na niej wydany przez Sowieców jeszcze w 1919 r. wyrok śmierci, nie wpadła w oko stalinowskiej bezpieki – wcześniej zdążyła zniszczyć wszystkie dokumenty, które łączyły ją z nazwiskiem Trentowska. Zmarła w Warszawie w 1968 r.

Władysław Kowalewski zmarł na emigracji. Po wojnie nie zobaczył już żony, spotkał się jednak z synem, który został uwolniony z obozu koncentracyjnego przez armię gen. Pattona i również trafił w szeregi II Korpusu. Jerzy Kowalewski junior został aresztowany wiosną 1941 r. za działalność konspiracyjną. Po śledztwie na Pawiaku wysłano go do Auschwitz, a następnie do obozów w Gross-Rosen i Dachau. Po wojnie wrócił do Warszawy i zamieszkał z matką.

Najbardziej aktywną działalność wywiadowczą prowadził w czasie wojny Jan Kowalewski. Rozkazem gen. Władysława Sikorskiego mianowano go szefem podlegającej Ministerstwu Spraw Wewnętrznych RP placówki wywiadowczej w Lizbonie. Jej zadaniem było prowadzenie tzw. Akcji Kontynentalnej – tajnych działań, zmierzających do wystąpienia z wojny po stronie Niemiec takich krajów jak Węgry, Rumunia czy Włochy. W centrum operacyjnym akcji, willi Ginalda w podlizońskim Monte Estoril, spotykali się tajni wysłannicy rumuńskiego dyktatora Iona Antonescu (którego Kowalewski znał osobiście), włoscy i węgierscy politycy, członkowie antyhitlerowskiej konspiracji szefa Abwehry Wilhelma Canarisa oraz polscy i brytyjscy dyplomaci.

Kres akcji położyło wymuszone na aliantach przez Stalina żądanie bezwarunkowej kapitulacji środkowoeuropejskich sojuszników Niemiec (które de facto oznaczało oddanie ich pod władzę Sowieców) oraz jego bezpośrednie żądanie usunięcia Polaka z portugalskiej placówki. Jan Kowalewski zmarł w 1965 r. na emigracji w Londynie. Niemal do końca życia zajmował się – teraz już dla rozrywki – łamaniem skomplikowanych szyfrów. ■

W SERCU MIAŁ POLSKĘ

**PAPIEŻ PIUS XI BYŁ PIERWSZYM NUNCJUSZEM
APOSTOLSKIM W POLSCE NIEPODLEGŁEJ.
PAPIEŻ, KTÓRY BRONIŁ CYWILIZACJI
CHRZEŚCIJAŃSKIEJ PRZECIWKO BARBARZYŃSTWU
IDEOLOGII TOTALITARNYCH, DO KOŃCA ŻYCIA
UWAŻAŁ SIĘ ZA „POLSKIEGO BISKUPA”**

Ambrogio Damiano Achille Ratti urodził się 31 maja 1857 r. w lombardzkim miasteczku Desio, położonym kilkanaście kilometrów na północ od Mediolanu. Był czwartym z pięciorga dzieci właściciela przędzalni jedwabiu Francesca Rattiego i Teresy Galli. Chłopak usposobienie miał choleryczne, charakter twardy i energiczny,

sąd trzeźwy, nie posiadał jednak typowej dla Włochów wylewności. Od dziecka był bardzo religijny, wiarę przeżywał w głębokim i wewnętrznym skupieniu. Uczył się najpierw w szkołach kościelnych, potem zdał państwową maturę i wstąpił do seminarium duchownego w Mediolanie.

Wysłany na studia do Rzymu, przyjął tam 20 grudnia 1879 r. święcenia kapłańskie. Naukę zakończył trzema

doktoratami z teologii na uniwersytecie Sapienza, filozofii w Akademii św. Tomasza i prawa kanonicznego na Gregorianum. Po powrocie do Mediolanu w 1882 r. krótko pracował duszpastersko, potem został profesorem homiletyki i dogmatyki w tamtejszym seminarium. Od 1888 r. pracował w Bibliotece Ambrojańskiej, by w 1907 r. zostać jej prefektem. W czasie tych lat zdobył solidną wiedzę historyczną, nabył umiejętności z zakresu muzealnictwa i konserwacji starych druków, odbył podróże naukowe do Oksfordu, Paryża, Berlina, Monachium, Wiednia. Kiedy był kierownikiem biblioteki, dokonał wielu modernizacji i ulepszeń w jej funkcjonowaniu.

Jego aktywna działalność nie uszła uwadze Stolicy Apostolskiej. W 1911 r. nominowano go wiceprefektem Biblioteki Watykańskiej, a w 1914 r. – jej prefektem. Poza posługą na rzecz Kościoła Ratti uwielbiał oddawać się alpinizmowi. Zdobył wiele szczytów w Alpach, m.in. Matterhorn i Mont Blanc. Ostatnie jego wspinaczki odbyły się w 1913 r. Kiedy już był papieżem, ustanowił św. Bernarda z Menthon patronem alpinistów.

Nuncjusz i obrońca Warszawy

Papież Benedykt XV 25 kwietnia 1918 r. mianował go wizytatorem apostolskim na Polskę i Litwę. Akt ten był dla niego zaskoczeniem, ponieważ nie był dyplomatą, a od polityki trzymał się >>



**KAROL
KALINOWSKI**



Nuncjusz apostolski
ks. abp Achilles Ratti i adiutant
Naczelnika Państwa Józefa
Piłsudskiego gen. dyw. Jan
Jacyna w powozie przed
Belwederem, 19 lipca 1919 r.

>> z daleka. Był przede wszystkim wysłannikiem papieża do episkopatu, a jego zadaniem w skomplikowanej sytuacji Europy Środkowo-Wschodniej była mediacja pomiędzy przegrywającymi I wojnę światową Niemcami a Polakami, których państwo odradzało się po 123 latach zaborów. Ratti po przyjeździe do Warszawy swoją misję zaczął od odwiedzenia Jasnej Góry, a następnie objeżdżał kolejne diecezje, wszędzie witany przez Polaków niezwykle serdecznie.

Polska po odzyskaniu niepodległości wystąpiła do Stolicy Apostolskiej o ustanowienie nuncjatury. Benedykt XV przychylił się do tej prośby i w czerwcu 1919 r. mianował naszego bohatera nuncjuszem apostolskim w Polsce oraz podniósł do godności arcybiskupa tytularnego Leopanto. Miesiąc później złożył on listy uwierzytelniające na ręce naczelnika państwa Józefa Piłsudskiego. Siedzibą nuncjatury została plebania parafii św. Aleksandra przy ul. Książęcej w Warszawie.

28 października 1919 r. w archikatedrze św. Jana z rąk arcybiskupa warszawskiego Aleksandra Kakowskiego otrzymał sakrę biskupią. Jednym ze współkonsekratorów był biskup przemyski Józef Sebastian Pelczar. Ponieważ został poświęcony przez Polaków, Ratti już do końca życia uważał się za „polskiego biskupa”.

Nuncjusz popierał dążenia Kościoła polskiego do przezwyciężenia dziedzictwa trzech zaborów, które różnicowało sytuację kościelną w poszczególnych częściach kraju. Inspirował również działalność mieszanej komisji kościelno-rządowej, której celem było uporządkowanie spraw administracyjnych Kościoła. Starał się być w dobrych stosunkach ze wszystkimi orientacjami politycznymi i ich liderami. Po uzyskaniu nominacji na wizytatora apostolskiego dla terenów Rosji usiłował się dostać do Petersburga, ale kraj ten po rewolucji bolszewickiej został objęty wojną domową i wyprawa Rattiego nie osiągnęła celu. Udało mu się tylko wynegocjować zwolnienie arcybiskupa mohylewskiego Edwarda von Roppa, którego władze sowieckie wcześniej skazały na śmierć. Bywał także w Wilnie i Kownie, dążąc do załagodzenia polsko-litewskich sporów.

Podczas ofensywy bolszewickiej na Warszawę w sierpniu 1920 r., gdy Armia Czerwona podchodziła do wrót naszej stolicy, Ratti był jednym z dwóch dyplomatów, oprócz przedstawiciela Turcji, którzy nie ewakuowali się do Pozna-

nia. Nuncjusz nie opuścił posterunku i w krytycznym momencie podniósł na duchu Polaków, którzy zwyciężając pod Warszawą bolszewików, odnieśli triumf w osiemnastej decydującej bitwie w dziejach świata, jak określił ją brytyjski dyplomata Edgar Vincent D'Abernon.

Komisarz plebiscytowy

Odbiór Rattiego jako bohatera zakłócił zgrzyt związany z plebiscytem dotyczącym przebiegu granicy polsko-niemieckiej, chociaż był on tu raczej ofiarą niż sprawcą zatargu. Nuncjusz od 20 marca 1920 r. sprawował urząd wysokiego komisarza kościelnego dla plebiscytowych terenów na Górnym Śląsku, Warmii i Mazurach. Jako sympatyk Polski, a zarazem przeczuwając polską przegraną, nie chciał się podjąć tej misji i sugerował, by komisarzem został ktoś z państwa neutralnego. Po tym jak uległ woli papieskiej, starał się rozeznac w sytuacji i bywał w Opolu, we Wrocławiu, w Olsztynie. Poza wizytacjami terenów plebiscytowych miał za zadanie moderować sytuację tak, by religia katolicka nie służyła celom propagandy wyborczej.

W tym czasie Górny Śląsk należał do diecezji wrocławskiej. Jej biskup, kardynał Adolf Bertram 21 listopada 1920 r. wydał dekret, który nie pozwalał księżom głosić kazań z nawiązaniami do akcji plebiscytowej bez zgody miejscowego proboszcza. Ponieważ ok. 70 proc. proboszczów na ziemiach objętych plebiscytem było Niemcami, rozporządzenie to uderzało głównie w polskich wikarych. Bertram twierdził, że czynił to za zgodą Stolicy Apostolskiej, co w domyśle miało również oznaczać aprobatę Rattiego. Nuncjusz nie miał kompetencji formalnych do uchylecia jakichkolwiek postanowień ordynariusza terenów plebiscytowych. W Polsce dekret Bertrama wywołał wielkie oburzenie, a najbardziej radykalni postawie PPS żądali zerwania stosunków ze Stolicą Apostolską. W wyniku działań rządu i episkopatu, m.in. misji arcybiskupa lwowskiego obrządku ormiańskiego Józefa Teodorowicza i biskupa krakowskiego Adama Stefana Sapiehy do Benedykta XV, wydano nowe rozporządzenie zakazujące duchowieństwu obu narodowości wszelkiej agitacji związanej z plebiscytem. Odbył się on 20 marca 1921 r., a za Polską opowiedziało się 40,4 proc. głosujących.

Domniemane proniemieckie stanowisko nuncjusza w kwestii przynależności

państwowej Górny Śląska przyczyniło się do jego odwołania z Warszawy. Stało się także powodem napięć w relacjach pomiędzy Rattim a Sapiehą. Podczas jednego ze zjazdów polskiego episkopatu krakowski biskup miał poprosić Włocha o opuszczenie sali obrad, ponieważ, jak twierdził, „Kościół polski chce rozstrzygać swoje sprawy bez wpływów zewnętrznych”. Te nieporozumienia były prawdopodobnie przyczyną nieotrzymania kapelusza kardynalskiego przez Sapiehę podczas całego pontyfikatu Piusa XI.

Niespodziewany papież

Benedykt XV powołał Rattiego na wającą stolicę biskupią w Mediolanie. 4 czerwca 1921 r. nasz bohater wyjechał z Warszawy, żegnany uroczystie, ale dość chłodno. Z czasem jednak coraz bardziej doceniano osobę pierwszego nuncjusza apostolskiego w odrodzonej Polsce. Wydział Teologii Katolickiej Uniwersytetu Warszawskiego przyznał mu tytuł doktora honoris causa, w 1922 r. Józef Piłsudski nadał mu Order Orła Białego, a w 1930 r. zmieniono nazwę stołecznej ul. Pięknej na Piusa XI (komunistyczne władze nakazały w 1949 r. przywrócić poprzednią nazwę).

19 lipca 1921 r. został kreowany kardynałem. Arcybiskupem Mediolanu był tylko osiem miesięcy. Po śmierci Benedykta XV na konklawe 6 lutego 1922 r. Ratti niespodziewanie został wybrany na papieża i przyjął imię Piusa XI. Nie był wymieniany wśród papabile, czyli prawdopodobnych następców papieża. W Kolegium Kardynalskim, które ma uprawnienia elektorskie, zasiadał dopiero od niedawna. Jego wybór był efektem kompromisu między obozem chcącym powrotu do tradycjonalistycznego programu Piusa X a grupą kardynałów opowiadających się za kontynuacją bardziej pojednawczej linii Benedykta XV. Po koronacji Pius XI udzielił z balkonu bazyliki św. Piotra zgromadzonemu ludowi błogosławieństwa Urbi et Orbi, co wydarzyło się po raz pierwszy od 1870 r., gdy Pius IX ogłosił się „więźniem Watykanu” po zajęciu Rzymu przez włoskie wojska. Tak rozpoczął się pontyfikat, który miał zadziwić świat swoim dynamizmem, odwagą w stawianiu czoła problemom, otwartością na pozytywne elementy nowoczesności oraz głębią i wielowątkowością nauczania.



Papież Pius XI podczas odczytywania aktu kanonizacyjnego św. Andrzeja Boboli przez kardynała postulatora kanonizacji, maj 1938 r.

Pokój Chrystusowy

Za program swojej posługi przyjął dewizę „Pax Christi in regno Christi” („Pokój Chrystusowy w Królestwie Chrystusowym”). Mając na uwadze tendencje laicyzacyjne czy redukowanie wiary do sprawy prywatnej, zamyślał, by katolicy przeciwstawili się takiemu pojmowaniu rzeczywistości i pracowali nad stworzeniem całkowicie chrześcijańskiego społeczeństwa, w którym Chrystus panowałby nad każdym aspektem życia. Powinno się ono wyrzec instytucjonalnych form ancien régime'u, a dążyć do włączenia się w łono współczesnego społeczeństwa, tak by móc je ponownie chrystianizować. W warstwie teologicznej ten program wyrażała encyklika „Quas Primas”, ustanawiająca Święto Chrystusa Króla i podkreślająca, że jego panowanie obejmuje cały rodzaj ludzki.

Na płaszczyźnie praktycznej jednym z narzędzi realizacji planów Piusa XI miała być Akcja Katolicka, apolityczny ruch katolików świeckich pod przewodnictwem hierarchii, zmierzający do większego nasycenia życia publicznego wartościami chrześcijańskimi. Choć miała ona swoich protoplastów w różnych stowarzyszeniach katolików przełomu XIX i XX w., dopiero pierwsza encyklika Piusa XI „Ubi arcano Dei” określiła jej nowoczesną definicję i zadania. Zarządzając skutkiem I wojny światowej, miała wprowadzać pokój w serca ludzi i propagować pojednanie między nimi. Dzięki inspiracji

papieskiej Akcja Katolicka w epoce międzywojennej rozwijała się bujnie w wielu krajach Europy i Ameryki Łacińskiej, licząc np. w Polsce w 1939 r. ok. 750 tys. członków.

W serii encyklik papież rozwijał swoje nauczanie na temat chrześcijańskiej organizacji społeczeństwa, pisząc w „Divini illius magistri” o katolickim wychowaniu młodzieży, w „Casti connubii” o świętości małżeństwa i złu aborcji, a w „Nova Impendet” zajął się kwestią wielkiego kryzysu gospodarczego i wynikłego z niego bezrobocia. W encyklice społecznej „Quadragesimo anno” wydanej w 1931 r. na 40. rocznicę „Rerum novarum” Leona XIII odrzucił błędy liberalizmu i socjalizmu oraz zarysował zasady korporacjonizmu katolickiego: solidaryzm, sprawiedliwość społeczną i miłości bliźniego. Częściowo to nauczanie w swoich systemach społeczno-gospodarczych realizowały Portugalia rządzona przez António de Oliveirę Salazara oraz Austria kanclerza Engelberta Dollfussa.

Poza tym Pius XI napisał encyklikę („Mortalium animos”) o właściwie pojmowanym ekumenizmie, przeciwstawiając się synkretyzmowi religijnemu, i rozwijał misję katolicką na świecie. Odpowiadając na wyzwania epoki, w 1931 r. stworzył Radio Watykańskie oraz napisał pionierską encyklikę „Vigilanti cura” poświęconą kinematografii, apelując, by przyczyniała się ona do uszlachetniania człowieka. Zreorganizował watykańskie towarzystwo naukowe, powołując

w 1936 r. Papieską Akademię Nauk. Kreował 76 kardynałów, w tym prymasa Polski Augusta Hlonda i Eugenio Pacelliego, przyszłego Piusa XII. Dokonał 36 kanonizacji (m.in. Teresy z Lisieux, Jana Bosko, Tomasza More'a, Andrzeja Boboli) i 512 beatyfikacji, będąc prekursorem Jana Pawła II w wynoszeniu na ołtarze dużej liczby osób.

Przeciw reżimom totalitarnym

Po objęciu władzy we Włoszech przez faszystów rozpoczął z nimi dialog. W jego efekcie udało się rozwiązać tzw. kwestię rzymską, czyli konflikt pomiędzy Stolicą Apostolską a Włochami, za sprawą podpisania traktatów laterańskich w 1929 r. Zapewniły one suwerenność państwu Watykan, uregulowały sprawy finansowe i konkordat. Pius XI został okrzyknięty „papieżem pojednania”. Jednak reżim Benita Mussoliniego skręcał coraz bardziej w kierunku totalitarnym, a do katolicyzmu miał stosunek czysto instrumentalny. W 1931 r. w encyklice „Non abbiamo bisogno” papież krytykował „pogański kult państwa” włoskiego faszyzmu, przejawiający się np. w zamykaniu katolickich stowarzyszeń młodzieżowych, aby zmonopolizować wychowanie człowieka w ramach reżimu.

Ideologie totalitarne najmocniejszej krytyce poddał w dwóch innych encyklikach: „Divini Redemptoris” i „Mit brennender Sorge”, wydanych w 1937 r. W pierwszej pisał o komunizmie, że jest największym w historii buntem przeciwko Bogu, i wskazywał na powody, dla których jest on nie do pogodzenia z nauką Kościoła. W drugiej wykazał, że nazizm jest nie do pogodzenia z prawdziwą wiarą w Boga, Chrystusa, Kościół i prymat papieski. W wielu wypowiedziach odrzucał także rasizm i antysemityzm, które w latach 30. XX w. zdobywały szerokie grono zwolenników. Działał też na rzecz katolików prześladowanych w Meksyku i podczas hiszpańskiej wojny domowej. Chcąc zabezpieczyć działalność Kościoła i jego wiernych, podpisał 18 konkordatów z różnymi państwami (m.in. w 1925 r. z Polską), ale nie zawsze było to skuteczne narzędzie, czego dowiodło łamanie przez III Rzeszę Reichskonkordatu zawartego w 1933 r.

Pius XI zmarł w Watykanie 10 lutego 1939 r. Kilka miesięcy później systemy totalitarne wywołały II wojnę światową.



CO ZNACZY DZIŚ DLA MNIE BYĆ POLAKIEM?

„Jestem Polakiem – więc mam obowiązki polskie: są one tym większe i tym silniej się do nich poczuwam, im wyższy przedstawiam typ człowieka. Bo im szersza strona mego ducha żyje życiem zbiorowym narodu, tym jest mi ono droższe, tym większą ma ono dla mnie cenę i tym silniejszą czuję potrzebę dbania o jego całość i rozwój”. Tak pisał w 1903 r. w książce „Myśli nowoczesnego Polaka” o swojej miłości do Polski i odpowiedzialności za wspólnotę narodową Roman Dmowski, jeden z twórców Polski niepodległej i suwerennej, prezes Komitetu Narodowego Polskiego i delegat rządu RP na konferencji pokojowej w Paryżu, w 1919 r.

„Co to znaczy dziś dla mnie w roku 2018 być Polakiem?” – to pytanie zadaliśmy naszym autorom i wybranym czytelnikom, ludziom nauki i dziennikarzom, politykom i działaczom społecznym, w końcu przedstawicielom Polonii. Niektóre odpowiedzi są zaskakujące. Czy się z nimi utożsamiamy? Zamieszczamy pierwszą partię udzielonych nam odpowiedzi. Naszych czytelników zachęcamy także do podzielenia się swoimi przemyśleniami. Będziemy je zamieszczać w kolejnych numerach „wSieci Historii”.

Redakcja

FOT. ARTUR GEYROWSKI

Prof. dr hab. Zofia ZIELIŃSKA
historyk, wykładowca IH UW



Jako człowiek, który większość życia przeżył w PRL, zarazem zaś historyk, nie mogę się pozbyć nurtującego wciąż pytania: czy Polacy mogą się wybić na niepodległość? Czy będziemy w stanie utrzymać choć ten zakres suwerenności, jaki posiadamy dziś?

Związek z ojczyzną (patriotyzm) to tyle związanie, ile zobowiązanie. Co do pierwszego – mam żywe poczucie wspólnego, po wielokroć tragicznego losu z rodakami. Z silnymi emocjami czytam wspomnienia z wywózek na Syberię, z niemieckich obozów koncentracyjnych, z mordów na Wołyniu i Podolu czy z powstania warszawskiego, by ograniczyć się tylko do historii najnowszej. I równocześnie jako historyk staram się o to, by wśród osób żyjących przywiązanie do naszej kultury i tradycji możliwie je pogłębiać. Ponieważ eksterminowano nam w kolosalnym stopniu elitę (przeżyliśmy to, co Czesi pod Białą Górą), praca nad jej odtwarzaniem, nad akulturacją warstw, stanowiących dziś gros Polaków, pozbawionych często poczucia tożsamości narodowej, należy do zadań podstawowych. Wręcz boleśnie odczuwam osaczający nas prymityw języka (i nie chodzi tylko o wulgaryzmy), nieznajomość naszych losów, brak przywiązania do Polski międzywojennej (niekiedy jej wyłącznie negatywny stereotyp), będącej przecież naszym własnym pań-

stwem po 123 latach niewoli. Ból sprawia to, że w kraju, który usiłuje odbudowywać zręby swej tożsamości i suwerenności, można propagować hasła w rodzaju „Nie oddam Ci Polsko ani kropli krwi”. Buntuję się wewnętrznie, gdy przefarbowani beneficjenci komunizmu považają się oskarżać nas jako naród o nacjonalizm i antysemityzm wraz z zewnętrznymi przeciwnikami naszej niezależności. Pomawianie mych przodków o współudział w Holokauście budzi odruch buntu i głębokie poczucie krzywdy. Ale równie silnie oburza, a także napawa wstydem otwarte naśladownictwo Szczęsnych Potockich, chwilowo nie w związku z Rosją, ale z Unią Europejską i z kroczącymi „zawsze w awangardzie postępu, także moralnego”, Niemcami.

Z ogromnym żalem patrzę na emigrację stanowiącą niepowetowaną stratę z każdego punktu widzenia. I mimo żalu do tych, którzy opuścili Polskę nie z konieczności, wiem, że trzeba się starać, by jak najdłużej zachowali poczucie więzi ze swym krajem rodzinnym. Myślę też o drenażu mózgów, jakiego doznajemy, będąc państwem ubogim i kształcąc np. lekarzy dla znacznie od nas bogatszych krajów Zachodu.

Wobec brutalnych ataków na zręby naszej kultury, także religijnej, widzę potrzebę zarówno jej umacniania, jak chronienia rodaków przed kopiowaniem niedopuszczalnych wzorów (w rodzaju: „nie płakałem po Geremku”). Pamiętam o tym, że zwiedzeni przez wrogów Polski ludzie, często o patriotycznej

tradycji rodzinnej, to ci, o których powrót do myślenia wbrew spadkobiercom Targowicy winna jestem niestrudzenie się starać, nawet wbrew ich niemiłym zachowaniom. Sądzę nadto, że powinniśmy tam, gdzie możemy i potrafimy, walczyć o ratowanie tradycji kultury zachodniej i chrześcijańskiej wobec tych Europejczyków, którzy zatarli już z nią więź.

I wreszcie jako historyk próbuję uczyć pogłębionego spojrzenia na nasze dzieje, przedstawiania historii Polski najbardziej adekwatnie do minionej rzeczywistości, próbuję wskazywać momenty budzące dumę z naszych osiągnięć (zawsze ją odczuwam, odwiedzając np. Gdynię, chodząc po cmentarzu na Monte Cassino z poczuciem bolesnej, ale poniesionej nie na darmo straty), a równocześnie nie kryć tego, co prowadziło ludzi do zdrady, do przedkładania interesów rodu czy rodziny nad dobro wspólne („o karze za mężobójstwo”), czy (na innym poziomie) nieszanowania własności społecznej.

I najzwyczajniej po ludzku za warte przekazania wnukom uważam to, że mój ojciec był w 1920 r. ochotnikiem w wojnie z Rosjanami, a dziadek walczył o Lwów w jednym szeregu z Orłętami.

Dr Anna ŁUCKA

działaczka katolicka i polonijna, Paryż



Osobiście zawsze byłam i pozostaję dumna, że jestem Polką, mimo iż większość mojego życia mieszkam poza granicami kraju.

Jestem dumna, gdy widzę powiewającą flagę polską lub słyszę hymn Polski i łzy cisną mi się do oczu.

W setną rocznicę odzyskania niepodległości być Polką, to zawsze służyć sprawie Polski niezależnie od naszych przekonań politycznych, religijnych lub miejsca zamieszkania na wzór naszych przodków – Skargi, Kościuszki, Mickiewicza, Dmowskiego..., symboli nadziei, wiary i miłości narodu polskiego, dzięki którym jesteśmy dzisiaj wolni.

Stanisław MICHALKIEWICZ

publicysta



To samo, co przed 10 i 50 i 100 laty. Jeśli ktoś poczuwa się do bycia Polakiem, to powinien przyczyniać się do realizowania polskich interesów państwowych i narodowych. Dzisiaj na pierwszy plan wybijają się przynajmniej dwie sprawy. Pierwsza to uchronienie Polski przed żydowskimi roszczeniami majątkowymi, bo ich ewentualna realizacja doprowadziłaby do żydowskiej okupacji Polski i zepchnięcia narodu polskiego do roli narodu drugiej kategorii przez jerozolimską szlachtę.

Sprawa druga to odblokowanie narodowego potencjału gospodarczego, zablokowanego przez trzy czynniki. Po pierwsze – przez wadliwy ekonomiczny model państwa, który nazywam kapitalizmem kompradorskim, w którym o dostępie do rynku i możliwości funkcjonowania na nim decyduje przynależność do sił, której najtwardszym jądrem są bezpieczniacy reprodukcji się już w trzecim pokoleniu. Większość do siły nie należy, więc musi zostać wyrzucona poza główny nurt życia gospodarczego, z sektorem finansowym, paliwowym, energetycznym itp. „strategicznymi” sektorami – na margines. W rezultacie narodowy potencjał jest wykorzystany w niewielkim stopniu, co sprzyja emigracji młodych ludzi.

Po drugie – przez postępującą biurokratyzację państwa. Dla ilustracji: w 1990 r. w administracji centralnej pracowało 45 tys. urzędników, pięć lat później – już 112 tys. Wiekopomne reformy premiera Buzka doprowadziły do skokowego wzrostu synekur w sektorze publicznym i skokowego wzrostu kosztów funkcjonowania państwa o ok. 100 mld zł. Obecnie jest ponad 3 mln funkcjonariuszy publicznych, w tym co najmniej 700 tys. urzędników. Kolejne rządy preferują rozwiązania sprzyjające rozrostowi biurokracji, np. program 500+.

Wreszcie trzeci czynnik to niemiecki projekt „Mitteleuropa” z 1915 r., który od 1 maja 2004 r., tj. od przyłączenia ośmiu państw środkowoeuropejskich do Unii Europejskiej, której politycznym kierownikiem są Niemcy, jest intensywnie realizowany. Tylko tyle i aż tyle.

Magdalena SZCZEPANIAK

dziennikarka



Pytanie Szanownej Redakcji zastaje mnie w specyficznym momencie życia. Od około dwóch lat rozważam wyjazd z Polski – najchętniej do Australii, Stanów lub Anglii. Zastanawia nas tylko z mężem, co moglibyśmy tam robić, z czego żyć. Ja po dziennikarstwie, on po politologii, nic technicznego, żadnego konkretnego w rękach.

Obydwoje wywodzimy się z inteligencji polskiej o najlepszych korzeniach, nasza pozycja społeczna jest całkiem wysoka, wygodnie nam się żyje, a jednak wciąż czuję, że czegoś mi brakuje. Dochodzę do wniosku, że chodzi o osiągnięcie najwyższego poziomu cywilizacyjnego rozwoju. O zachodnią cywilizację, w której człowiek i jego potrzeby są na pierwszym miejscu. Nie zajmuję się lewackimi wypaczeniami ideologicznymi. Dopóki sprawy te nie dotyczą mnie osobiście, nie interesują mnie. Mój system wartości ma się dobrze i nie uczę innych, jak mają żyć. To dla mnie przywilej prawdziwej wolności podarowanej każdemu z nas przez Stwórcę i każdy wykorzystuje ją na swój sposób.

Kiedy człowiek jest na pierwszym miejscu, każde prawo tworzy się z myślą o jego dobru – podatkowe, karne, cywilne. Policja nie ustawia się po północy, kiedy wchodzi nowe przepisy, żeby łapać niczego nieświadomych kierowców, bo celem nie jest zmiana nawyków i podniesienie świadomości obywateli, tylko zgarnięcie kasy. Gdziekolwiek spojrzę, wszędzie widzę ten sam sposób funkcjonowania. Na pewno nie jest już to ta sama pogarda dla człowieka, co w komunizmie, ale choroba braku szacunku i owszem – państwa i instytucji wobec obywateli oraz obywateli w stosunku do państwa i siebie nawzajem. Na przykład, kiedy dopieszczamy swoją posesję, a śmieci wywozimy do lasu, lub kiedy odnosimy się do siebie nieprzychylnie.

Nie jestem święta, jestem Polką z krwi i kości i wiele z tych przywar dotyczy mnie. Tyle że mam już 41 lat i nie chcę czekać kolejnych 40, zanim przeskoczmy na wyższy poziom – jako naród i kraj. Na tym etapie życia pragnę szczęścia, dobrego i spokojnego życia, a nie użerania się na każdym kroku w szkole, pracy, urzędzie i zżymania się na to, że żaden polski uniwersytet nie łapie się do trzech setek najlepszych na świecie (to w kontekście przyszłych pokoleń).

Kiedyś definiowało mnie bycie konserwatystką i patriotką, dziś definiuje mnie dążenie do szczęścia. Czy jest ono czymś złym? Wątpię. W moim przypadku oznacza ciągłą pracę nad sobą, swoimi wadami, także tymi, które zauważam u rodaków, w myśl >>

>> zasady „chcesz zmienić kogoś, zmień siebie”. Jeśli Polska ma powrócić do prawdziwej wielkości, musimy zacząć traktować ją i siebie poważnie. Taką Polskę kocham i do takiej tęsknię.

O. Mariusz BIGIEL SJ
Centrum Duchowości Świeckich
przy Sanktuarium MB Łaskawej
Patronki Warszawy



Od razu przychodzi mi na myśl rozważanie Jana Pawła II o polskiej wolności: ponieważ kosztowała nas więcej niż inne narody, ma wobec tego większą wartość. Być Polakiem oznacza zatem być wolnym za cenę trudu minionych pokoleń oraz obecnych bohaterów – na miarę aspiracji tej wolności. Znaczy to również być depozytariuszem wielkiego skarbu bohaterów narodowych oraz powołanym, aby strzec duchowego dziedzictwa Europy: „Tylko pod tym krzyżem, tylko pod tym znakiem Polska jest Polską, a Polak Polakiem” (Adam Mickiewicz).

Jestem obdarowany zatem trudnym oraz szlachetnym darem nie tylko wolności a zarazem misji wyzwolenia: wszak Jasno-górskie Śluby Narodu zostały złożone (i wciąż obowiązują – noblesse oblige) za wolność Kościoła w Polsce i świecie. Oznacza to, że bycie Polakiem jest synonimem należenia do Królestwa Korony Polskiej, bronionego przez rycerzy, co odrzucają konsekwentnie zasadę, że cel uświęca środki.

Wreszcie być Polakiem to należeć do narodu szlachetnego, dumnego, o wypracowanym modelu kreatywności, między wschodem a zachodem Europy, co niesie ze sobą powołanie do walki z wciąż na nowo odradzającymi się totalitaryzmami. W końcu bycie Polakiem oznacza zaszczyt przynależenia do narodu kreatywnego, który wydał Kopernika, Szopena, Słowackiego, św. Stanisława Kostkę, Żwirkę i Wigurę, Walentynowicz, Traugutta, Norwida, Wyszyńskiego, Pileckiego, Sobieskiego i Skłodowską-Curie. Narodu, który potrafi być solidarny z ubogimi, potrzebującymi oraz uciśnionymi, a także cudownie pobił bolszewików pod Warszawą, obalił mury obozu socjalistycznego i zorganizował państwo podziemne przeciwko niemieckim nazistom, by przykładowo poskromić butę najeźdźców.

Bycie Polakiem oznacza słowiańską krew, posiadanie temperamentu w przeważającej mierze sangwinicznego, z zacięciem romantycznym oraz ułańską fantazją. Dlatego Andrzej Kmicic z „Potopu” Henryka Sienkiewicza zdaje się kumulować w sobie archetyp naszych cech narodowych: porywczoność, odwagę, romantyczność, zdolność do miłości gorącej i ofiarnej, a zarazem niechęć do zgniętego kompromisu oraz układania się z przeciwnikiem kosztem prawdy.

Prof. dr hab. Wacław LESZCZYŃSKI
specjalista od ziemniaka i skrobi,
Akademia Rolnicza we Wrocławiu



Najpierw należy uświadomić sobie, że się jest Polakiem. Samo urodzenie o niczym nie świadczy. Można się urodzić w niepolskiej rodzinie i być świadomym Polakiem, jak Wojciech Kętrzyński. Można też urodzić się w polskiej rodzinie i stać się folksdojczem, rosyjskim agentem lub „Europejczykiem”. Gdy ktoś czuje, że jest Polakiem, to niezależnie od czasów stara się postępować w myśl harcerskiego przyrzeczenia: „Mam szczerą

wolę całym życiem służyć Bogu i Polsce, nieść chętną pomoc bliźnim...” (ateista opuszcza „Bogu”).

Polak odróżnia dobro od zła i zawsze staje po stronie prawdy. Stara się w życiu postępować zgodnie z zasadami Dekalogu. Swoją patriotyzm opiera na znajomości dziejów Polski na tle historii innych krajów, zwłaszcza europejskich, wyrosłych z tradycji chrześcijańskiej. Na podstawie tej wiedzy zdaje sobie sprawę z wyjątkowości losów Narodu Polskiego i Polski oraz docenia zasługi Kościoła w utrzymaniu świadomości narodowej oraz bohaterstwo ludzi, którzy walczyli o niepodległość ojczyzny. Stale podnosi swój poziom intelektualny i w miarę możliwości dzieli się swą wiedzą z innymi, zwłaszcza z młodzieżą.

Polak jest gotowy na poświęcenie się dla ojczyzny nie tylko w konflikcie zbrojnym, ale też w codziennej, solidnie wykonywanej pracy, a także w powierzonych mu zadaniach w podjętej działalności społecznej. W każdym miejscu i o każdym czasie broni dobrego imienia Polski i Polaków, reaguje w słowie lub piśmie na antypolskie oszczerstwa i czyny szkodzące Polsce. Wspomaga materialnie Kościół i organizacje społeczne dbające o dobro Polski. Wspiera też niezależne, patriotyczne media elektroniczne datkami pieniężnymi, a czasopisma drogą prenumerat. Popiera partie i ugrupowania polityczne nawiązujące do chrześcijańskich i patriotycznych tradycji narodu, broniące suwerenności Polski. Tylko takie ugrupowania gwarantują bezpieczeństwo i rozwój ojczyzny. Przy wyborach wszelkich szczerze głosuje właśnie na te ugrupowania i na ich przedstawicieli – uczciwych i rozumnych.

Chrześcijański obowiązek pomocy bliźnim Polak wypełnia, wspierając potrzebujących doraźnie czynami, a materialnie głównie poprzez instytucje charytatywne, np. Caritas. Polak ceni wolność, jest tolerancyjny wobec ludzi inaczej myślących i czyniących. Granicą jego tolerancji jest zdrada Polski, donoszenie na nią do obcych, bluźnierstwa przeciw Kościołowi i zło wyrządzane komuś, zwłaszcza polskiej młodzieży, np. przez szerzenie narkotyków czy seksedukację.

Dr Maciej JABŁOŃSKI
Prezes Instytutu Naukowego im. Oskara
Haleckiego w Kanadzie



Nie jest to łatwe pytanie dla kogoś, kto przebywa już prawie 40 lat na emigracji w Ameryce Północnej i z dala od zgiełku Europy. Każdy, kto pracuje w nowym kraju osiedlenia, jest zanurzony w co najmniej dwóch kulturach, nie tylko z wolnego wyboru, ale często również z wymogów pracy. Związek z kulturą polską pozostanie jednak zawsze potrzebą każdego polskiego serca. Należy w tym momencie przypomnieć mądre słowa Romana Dmowskiego: „Jestem Polakiem – to słowo w głębszym rozumieniu wiele znaczy” („Myśli nowoczesnego Polaka” – wersja z „Wyboru pism” Romana Dmowskiego, Instytut Romana Dmowskiego, Nowy Jork 1988). Moim zdaniem bycie Polakiem to wielka sprawa, i to nie tylko odczuwanie więzi narodowej z innymi Polakami, nie tylko posługiwanie się językiem polskim, ale przede wszystkim pojmowanie świata po polsku. To często pomijamy i jakby tego nie zauważamy, ale przecież to polega na wyznawaniu polskich wartości, na wierności przyjętej hierarchii wartości – tej, której nauczano nas od wczesnego dzieciństwa, od kolebki. Wartości chrześcijańskie, które są nowoczesnymi wartościami przyjętymi w naszym kręgu kulturowym. Wyznanie czynnie wartości jak miłość Najwyższego, miłość rodziny

i bliźnich, i miłość dla Ojczyzny tak jak o Niej napisał kiedyś kard. Karol Wojtyła: „Ojczyzna – kiedy myślę – wówczas wyrażam siebie i zakorzeniam, mówi mi o tym moje serce, jakby ukryta granica, która ze mnie przebiega ku innym, aby wszystkich ogarniać w przeszłość dawniejszą niż każdy z nas: a z niej się wyłaniam.... gdy myślę Ojczyzna – by zamknąć ją w sobie jak skarb (kard. Karol Wojtyła, „Ojczyzna” wyd. Znak, Kraków 1988).

Bycie Polakiem w dzisiejszym świecie i teraz w Kanadzie to wielki skarb. Tak, jestem dumny z tego, że jestem Polakiem, częścią narodu, który nigdy się nie ugiął i moje pragnienie poznania korzeni jest jeszcze większe niż kiedyś, tutaj tak daleko od Polski. Przywiozłem ze sobą część Polski – dla mnie była i jest nią moja żona Joanna. Bycie Polakiem nie stoi w sprzeczności w byciu i działaniu w nowym kraju. Jest to dla mnie wielkim wyzwaniem w 2018, w roku odzyskania niepodległości. Polonia tamtego czasu miała w niej wielki udział – często okupiony krwią własną. Pamięć serca – to najważniejsze, by być światłym Polakiem. Każdy z nas czerpiąc z tego, powinien być jak najlepszym ambasadorem Polski.

Ryszard CZARNECKI europoseł z ramienia PiS, publicysta



To samo, co w 1018 r., gdy rządził książę (jeszcze) Bolesław Chrobry i w 1518 r., kiedy nasze wojska pobiły Ruś pod Połockiem, w 1818 r., kiedy Polski nie było już na mapie, i w 1918 r., gdy odzyskiwaliśmy niepodległość. Zmieniają się czasy, zmienia się kształt państwa polskiego (pod warunkiem że ono istnieje), ale nie zmienia się treść: Polacy z XI, XVI, XIX, XX i ci obecni, z XXI w. mieli i mają swoje „obowiązki polskie”, które wynikały z tego, że jesteśmy Polakami. Zmienia się forma, treść pozostaje ta sama. Oczywiście owe „obowiązki polskie” są nieco inne niż kiedyś.

Dla chłopców z Szarych Szeregów i środowiska „Sztuki i Narodu” obowiązkiem była walka zbrojna (nawet ważniejszym niż pisanie wierszy), dla ich rówieśników siedem dekad później tym obowiązkiem jest również walka, ale bez użycia broni, „aby Polska była Polską”.

Bywały czasy, gdy nawet kobiety były żołnierzami (właśnie oglądałem zdjęcie z 1918 r. Legii Kobiecej ze Lwowa), ale dzisiaj wyzwaniem jest zwiększenie dietności, liczebności narodu, ściąganie Polaków z zagranicy (a nie muzułmańskich imigrantów), walka, aby w Polsce były rządy patriotyczne, a nie kosmopolityczne, aby historia ojczyzna była – tak jak być powinna – powodem do dumy, a nie wykoślawiona stawała się pretekstem do bicia się w piersi. Dziś „obowiązkiem polskim” jest niezgoda na fałszowanie historii i oszczerstwa, które z Polaków-narodu ofiar II wojny światowej czynią – o tempora, o mores! – rzekomą nację „katów”. Dziś „obowiązkiem polskim” jest dbałość o kulturę wyrażającą wartości patriotyczne, a nie zaś będącą pasem transmisyjnym internacjonalistycznych antywartości. Bycie Polakiem Anno Domini 2018 to optowanie – w głosowaniu lub w debacie publicznej – za tym, by Rzeczpospolita miała armię większą, a nie mniejszą i aby umiejętnie wykorzystać swoistą formę pospolitego ruszenia, jaką są Wojska Obrony Terytorialnej. Bycie Polakiem AD 2018 to sprzeciw wobec koncepcji przekreślających we współczesnej Europie państwa narodowe na rzecz struktur ponadpaństwowych, które mimo paneuropejskiej retoryki de facto są instrumentem dla jednego lub dwóch największych krajów Starego Kontynentu.

Feliks Stamm, największy trener polskich pięściarzy, opiekun biało-czerwonych mistrzów boks, którzy na mistrzostwach Eu-

ropy i igrzyskach olimpijskich (mistrzostw świata wtedy nie było) tłułki w finałach Sowietów, powtarzał swoim podopiecznym: „Bij w korpus – a głowa sama opadnie”. To powiedzenie może być metaforą obrazującą swoistą walkę z Kościołem katolickim w Polsce – tym od wieków orędownikiem własnej państwowości i ładu moralnego w niej. Bycie Polakiem AD 2018 oznacza sprzeciw wobec niszczenia Kościoła jako instytucji będącej moralnym i historycznym fundamentem dla narodu polskiego.

W gruncie rzeczy bycie Polakiem dziś oznacza to samo, co przed wiekami i dekadami, nawet jeśli inne są wyzwania i inni wrogowie.

Piotr SKWIECIŃSKI publicysta



Jestem, szczerze mówiąc, zmęczony doktrynerskimi sporami na temat polskości. Nie zapisuję się ani do obozu gombrowiczowskiego, ani rymkiewiczowsko-mickiewiczowskiego.

Śmieszą mnie ci, którzy z uporem kreują polskość na wampirze wysysającego z Polaków człowieczeństwo. Chciałbym ich spytać: a skąd bierzecie przekonanie, że człowiek nadwiślański, wyzwolony z okowów polskości, byłby w czymkolwiek lepszy? Czy naprawdę nie widzicie, że to, co uważacie za wielkość Zachodu, to, przed czym chylicie czoła, nie wzięło się z kosmosu? Jest efektem samodzielnej drogi rozwojowej wielkich narodów: Francuzów, Anglików, Włochów, Amerykanów. Drogi, na której bynajmniej nie wyrzekały się one swoich tożsamości, swoich dusz, czego wy w reformatorskim szale chcecie wymagać od Polaków. Pragniecie ich „uzachodnić”, ale w ten sposób możecie co najwyżej zrobić z nich duchową miazgę.

Ale nie przekonują mnie też wielbiciel polskości. Polskość jest moja, Polakiem się urodziłem i Polakiem umrę; zastanawianie się, czy polskość nie mogłaby być inna, albo czy ja sam nie byłbym szczęśliwszy będąc kimś innym, jest czymś absurdalnym. Byłbym wtedy kimś zupełnie innym, czyli w jakimś sensie bym nie istniał. To tak, jakby się ktoś zastanawiał, czy nie byłoby mu lepiej, gdyby jego matka nie poślubiła jego ojca, tylko kogoś innego – nie byłoby mu ani lepiej, ani gorzej, bo na jego miejscu byłby zupełnie inny człowiek.

Jednak taka konstatacja to jedno, a szukanie na siłę przewag polskości nad innymi narodowymi tożsamościami wydaje mi się przejawem kompleksu niższości. Lubię polskość i czuję się w niej dobrze, nie potrafiłbym żyć poza nią – ale to po prostu efekt przyzwyczajenia. Nie będę się narażał na śmieszność ani poszukiwał w tym wyższych sensów, zwłaszcza kiedy wiem, że owe wyższe sensy kreują lub kreowali, w sposób co najmniej równie przekonujący, przedstawiciele innych narodowości.

A tak w ogóle to polskość nie jest ani garbem, ani skrzydłami. Nie jest apogeum ludzkości i nie jest też jej wstydliwym kąciem. I nie jest też nienormalnością (choć nie przyłączę się do chóru potępiających byłego premiera za te słowa z jego młodzieńczego eseju, bo zostały one przez potępiających wyrwane z kontekstu – zakładając optymistycznie, że choć część z nich zadała sobie trud, żeby przed potępieniem ów króciutki esej przeczytać).

Polskość to po prostu zmienny w czasie zbiór cech i poglądów, charakterystyczny dla większości Polaków w danym pokoleniu. Jeśli dla kogoś to zbyt prozaiczna definicja, to bardzo mi przykro.

Listopad



**MICHAŁ
KOMUDA**

2 XI 1925

Po uroczystym nabożeństwie w archikatedrze św. Jana orszak z trumną Nieznanego Żołnierza udał się ulicami Warszawy w celu jej złożenia pod arkadami pałacu Saskiego. Szczątki bezimiennego bohatera zostały cztery dni wcześniej komisyjnie ekshumowane na cmentarzu Obrońców Lwowa.



4 XI 1918

W trakcie ukraińskiego szturmu na przemyskie mosty na Sanie zginął pierwszy z polskich obrońców tego miasta. Był nim 18-letni harcerz, legionista Adam Kończy.



5 XI 1916

Cesarze niemiecki Wilhelm II oraz austro-węgierski Franciszek Józef I ogłosili akt zapowiadający utworzenie państwa polskiego z terenów zaboru rosyjskiego. Choć decyzja ta była utrzymana w bardzo ogólnikowym tonie, to po raz pierwszy zerwała z zasadą jednomyślności zaborców w sprawie Polski i nadała jej międzynarodowy charakter.

6 XI 1945

W rodzinnej wsi, podtarnowskich Wierchosławicach, odbył się pogrzeb lidera ruchu ludowego i trzykrotnego premiera polskiego rządu Wincentego Witosa. Ten jeden z najważniejszych polityków pierwszej połowy XX w. i ojców niepodległej zmarł 31 października w Krakowie.



7 XI 1918

W pałacu Lubomirskich w Lublinie został sformowany Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej, na czele którego stanął Ignacy Daszyński.

9 XI 1914

Witold Ostoj-Gorczyński uzyskał od carskiego dowództwa patent zezwalający na formowanie polskiego oddziału. Jednostka ta przeszła do historii jako Legion Puławski i działała pod polityczną opieką Komitetu Narodowego Polskiego.



10 XI 1918

Ok. godz. 7 rano na Dworzec Wiedeński w Warszawie wjechał pociąg z Józefem Piłsudskim. W ciągu kilku dni w rękach Komendanta została skupiona cała władza odradzającej się niepodległej. Piłsudski, po latach wspominając te chwile, mówił: „Gdzie szukać tej przyczyny, że temu człowiekowi, oddano władzę? Skąd ten dyktator nienaruszający władzy żadnym gwałtem? Za jedną rzecz ten człowiek był witany, za jedną rzecz, mógł on mieć prawa moralne do zajęcia tego stanowiska, za to, moi Panowie, że nosił ten mundur, za to, że był Komendantem Pierwszej Brygady”.



➤ 1 XI 1918

W nocy ukraińskie oddziały dokonały zamachu i przejęły kontrolę nad znacznymi terenami Małopolski Wschodniej. Pomimo przytłaczającej dysproporcji sił polska ludność, w tym ofiarna młodzież, Lwowa i Przemyśla stawiała opór.

Ponieważ strona ukraińska zapowiadała utworzenie własnego państwa pozostającego w związku z monarchią habsburską, władze Austro-Węgier z końcem I wojny światowej zdecydowały się skierować na sporne tereny swoje regularne oddziały, w których służbę pełnili Ukraińcy. Siły te dodatkowo dysponowały specjalnie powiększonymi przez austriackie dowództwo składami broni. Dzięki temu jeszcze pod osłoną nocy 1 listopada konspiracyjne ukraińskie struktury zbrojne przejęły kontrolę nad regionem oraz jego stolicą – Lwowem. Polska ludność miasta o poranku z przerażeniem zobaczyła wrogie wojskowe patrole, a w kluczowych punktach metropolii gniazda karabinów maszynowych. Pomimo tego podjęła, a zwłaszcza młodzież, spontaniczną kontrakcję, która pozwoliła w ciągu dnia na uchwycenie zachodniej części Lwowa oraz podmiejskich redut.

Do ludności cywilnej przyłączyli się członkowie Polskiej Organizacji Wojskowej, Związku „Wolność”, Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Byłych Legionistów, Polskich Kadr Wojskowych, a także harcerze i Straż Akademicka. Ukraińskie siły miały pod każdym względem zdecydowaną przewagę. Tym ważniejsza okazała się postawa najmłodszych obrońców miasta, studentów, gimnazjalistów, skautów, dzieci ulicy, nazwanych Orłętami Lwowskimi, którzy od pierwszych dni ofiarnie przenosili meldunki, zdobywali broń i amunicję, bronili punktów oporu oraz brali udział w akcjach ofensywnych. Do 3 listopada polski opór przybrał zorganizowaną formę. Zdołano też znacznie rozszerzyć kontrolowany obszar miasta, w tym zdobyć Dworzec Główny z jego magazynami.

Tego samego dnia w nocy, pomimo zawartej wcześniej umowy, Ukraińcy rozpoczęli walki o drugi ważny ośrodek, jakim był Przemyśl. O jego wadze najlepiej świadczyło to, że twierdza przemyska była trzecią co do wielkości w ówczesnej Europie, a miasto stanowiło węzeł kolejowy łączący kraj ze Lwowem. Linia frontu w Przemyślu zatrzymała się na Sanie. Na jego lewym brzegu Polacy zaczęli spontanicznie organizować oddziały, do których masowo zgłaszali się uczniowie i harcerze, zarówno chłopcy, jak i dziewczęta. Po odparciu ukraińskiego natarcia 4 listopada walki zostały zawieszone i na

nowo rozgorzały siedem dni później, po przybyciu z odsieczą polskich żołnierzy z Grupy „San”. Dzięki temu 12 listopada całe miasto zostało wyzwolone i rozpoczęto organizowanie wyprawy ratunkowej dla samotnie walczących lwowian.

Na jej czele stanął ppłk Michał Karaszewicz-Tokarzewski, który 20 listopada dotarł z wojskami, w tym przemyską młodzieżą, do Lwowa. Dwa dni później, po trzech tygodniach krwawych walk i to miasto zostało oswobodzone. Obronienie polskości Lwowa i Przemyśla nie byłoby możliwe bez ofiarności i brawury ich najmłodszych, często kilkunastoletnich żołnierzy. Swoją postawą i przelaną krwią Orłęta Lwowskie oraz Orłęta Przemyskie, podobnie jak ćwierć wieku później młodzież powstańczej Warszawy, pozostawiły kolejnym pokoleniom moralne zobowiązanie, aby godnie korzystały z daru wolności.

➤ 3 XI 1936

W Krakowie odbył się uroczysty pogrzeb czołowego działacza polskiego ruchu socjalistycznego i jednego z ojców niepodległej, Ignacego Daszyńskiego. Wybitny polityk spoczął na Cmentarzu Rakowickim 18 lat po tym, gdy w Lublinie został pierwszym premierem odradzającej się Polski.

Daszyński przez kilkadziesiąt lat pełnił najwyższe funkcje państwowe. Jeszcze podczas zaborów w 1897 r. został posłem do austriackiego parlamentu. Przez wiele lat był bliskim współpracownikiem Józefa Piłsudskiego. W pamiętnym listopadzie 1918 r. przez kilka dni stał na czele powołanego w Lublinie Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej. W II Rzeczypospolitej piastował stanowiska zastępcy prezydenta ministrów, wicemarszałka oraz marszałka Sejmu, a także przez wiele lat był prezesem Rady Naczelnej Polskiej Partii Socjalistycznej. Pomimo wcześniejszej przyjaźni w ostatnich latach życia został przeciwnikiem polityki prowadzonej przez środowisko Józefa Piłsudskiego. W latach 30. zaczął bardzo podupadać na zdrowiu. Zmarł 31 października 1936 r. podczas kuracji w Bystrej Śląskiej. Po przewiezieniu do Krakowa 2 listopada trumna z ciałem Daszyńskiego została wystawiona na widok publiczny. Dzień później w pogrzebie wzięły udział tysiące ludzi z całej Polski, a Ministerstwo Komunikacji z tej okazji wprowadziło specjalne ułatwienia w transporcie kolejowym. Dla oddania hołdu zmarłemu mężowi stanu w dniu jego pogrzebu krakowskie fabryki wstrzymały pracę na pięć minut.



Listopad

11 XI 1937

Zgodnie z ustawą Sejmu RP dzień 11 listopada został oficjalnie uznany Świętem Niepodległości. Przed wybuchem II wojny światowej obchodzono je zaledwie dwa razy.



12 XI 1898

120 lat temu w małopolskich Bratucicach przyszedł na świat ostatni Komendant Główny AK, gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek”. Swoją wieloletnią, burzliwą służbę wojskową rozpoczął w 1915 r., wstępując jako ochotnik do Legionów Polskich.

14 XI 1920

Na Placu Zamkowym w Warszawie naczelnik państwa Józef Piłsudski przy huku salw armatnich odebrał buławę marszałkowską. Uroczystość ta odbyła się w ramach obchodów Święta Niepodległości.



17 XI 1940

Nowojorski dziennik „Nowy Świat” poinformował, że sześć dni wcześniej piloci RAF przeprowadzili pierwszy nalot bombowy na okupowane przez Niemcy polskie terytorium. W jego trakcie, z okazji Święta Niepodległości, dokonano rzutu polskojęzycznych ulotek z napisem: „Niech żyje Polska! Prezydent Roosevelt ponownie wybrany”.

20 XI 1925

W Warszawie zmarł Stefan Żeromski, pisarz i dramaturg nazywany „sumieniem narodu”.

27 XI 1873

W Białym Dunajcu urodził się legionista, Kawaler Krzyża Virtuti Militari, gen. Andrzej Galica. Wojsko Polskie zawdzięcza jego osobie utworzenie jednej z najpiękniej umundurowanych formacji, jaką są strzelcy podhalańscy.



28 XI 1908

W Teatrze Miejskim w Krakowie odbyła się premiera dramatu „Noc listopadowa”. Sztuka została wystawiona dokładnie w pierwszą rocznicę śmierci jej autora, Stanisława Wyspiańskiego.

30 XI 1808

210 lat temu ok. 120 polskich szwoleżerów błyskawiczną szarżą wózkiem Somosierra utorowało drogę wojskom Napoleona na Madryt.



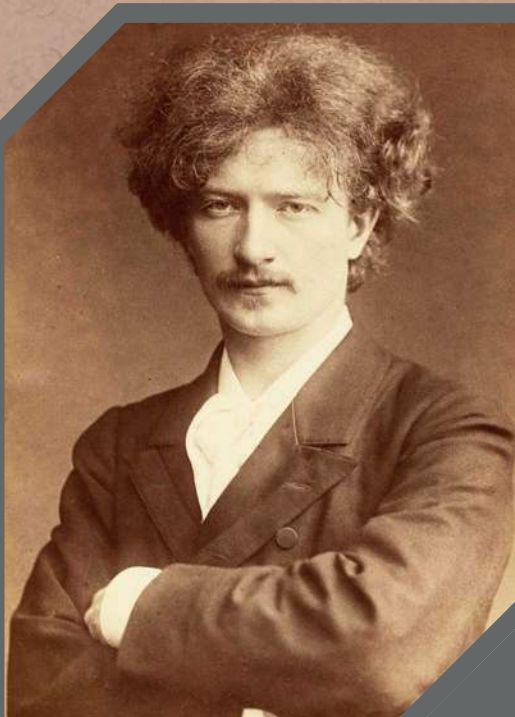
> 18 (lub 6) XI 1860

W Kuryłówce na Podolu przyszedł na świat jeden z najwybitniejszych i najbardziej znanych na świecie polskich pianistów i kompozytorów, Ignacy Jan Paderewski. Przez całe życie swój talent muzyczny, majątek oraz rozległe kontakty towarzyskie poświęcał dla dobra Polski.

Ujawnione już w młodym wieku umiejętności muzyczne doskonalił w kolejnych latach w trakcie nauki w Warszawie, Berlinie i Wiedniu. Niebawem zaczął zyskiwać coraz większe uznanie i koncertować na całym świecie. Jednocześnie dzięki własnemu sukcesowi starał się pozyskiwać środki dla utalentowanej muzycznie młodzieży ze znajdującej się pod zaborami Polski. W 1910 r. w Krakowie odsłonięto ufundowany ze środków artysty pomnik Grunwaldzki. Paderewski zaczął również prowadzić działalność polityczną, zbliżając się światopoglądowo do kierowanego przez Romana Dmowskiego ruchu narodowego. Dzięki osiągnięciu statusu prawdziwej ówczesnej gwiazdy muzyki przed swoimi koncertami na całym świecie prowadził kampanię na rzecz odzyskania przez Polskę niepodległości. Wprost fantastyczna sława międzynarodowa pozwalała mu również na kularowe rozmowy z najbardziej wpływowymi politykami globu. Wśród jednych z największych osiągnięć pianisty było przekonanie do sprawy polskiej prezydenta Stanów Zjednoczonych Thomasa Woodrowa Wilsona. Dzięki niemu polityk ten w swoim słynnym, czternastopunktowym programie pokojowym w styczniu 1918 r. upomniał się o niepodległą Polskę.

Przebywając za oceanem, Paderewski odegrał jeszcze jedną ważną rolę, pozyskując wśród tamtejszej Polonii licznych ochotników do tworzonej we Francji Armii Hallera. Jednocześnie został członkiem czuwającego politycznie nad wspomnianą formacją Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu. Oprócz tej działalności prowadził wraz z Henrykiem Sienkiewiczem w Szwajcarii zbiórki finansową dla polskich ofiar I wojny światowej. Jego powrót do odzyskującego wolność kraju i przybycie 26 grudnia 1918 r. do Poznania zainicjowało wybuch jednej z nielicznych w naszej historii zwycięsko zakończonych insurekcji, powstania wielkopolskiego. Niespełna dwa miesiące później, ciesząc się poparciem zarówno Romana Dmowskiego, jak i Józefa Piłsudskiego, stanął na czele polskiego rządu, jednocześnie zostając ministrem spraw zagranicznych. W ten sposób, obok pierwszego z przywołanych mężów stanu, był głównym delegatem Polski na konferencji pokojowej w Wersalu.

Po odegraniu tej doniosłej roli pod koniec 1919 r. poddawany krytyce skłóconych frakcji w parlamencie



wycofał się z aktywnej polityki i powrócił do koncertowania. Przeciwny poczynaniom sanacji w 1936 r. zainicjował w Szwajcarii wraz z Józefem Hallerem, Władysławem Sikorskim i Wincentym Witosem powstanie koalicji opozycyjnych partii, nazwanej Frontem Morges, która zaowocowała powstaniem Stronnictwa Pracy. Po wybuchu II wojny światowej jeszcze raz ruszył na pomoc ojczyźnie, stając na czele emigracyjnej Rady Narodowej RP. Zmarł w 1941 r. w Stanach Zjednoczonych, gdzie zabiegał o pomoc dla okupowanej Polski.

> 25 XI 1914

W odpowiedzi na wybuch I wojny światowej w Warszawie powołano do życia

Komitet Narodowy Polski. Celem organizacji było doprowadzenie do odzyskania upragnionej niepodległości, opierając się na współdziałaniu z Rosją. Jednym z głównych działaczy komitetu był Roman Dmowski.

W Komitecie Narodowym Polskim skupili się działacze Narodowej Demokracji i Stronnictwa Polityki Realnej. Przewodniczącym organizacji został konserwatysta, hrabia Zygmunt Wielopolski, natomiast na czele Komitetu Wykonawczego stanął Roman Dmowski. Politycy ci, w odróżnieniu od działającego początkowo u boku państw centralnych Józefa Piłsudskiego, nawoływali do biernej postawy wobec Austro-Węgier i Niemiec. To w tym ostatnim państwie i jego ekspansji na wschód upatrywali głównego zagrożenia dla narodu polskiego. Opowiadanie się po stronie Rosji było w ich rozumieniu wyborem mniejszego zła. Dzięki temu kierunkowi Komitet zdołał osiągnąć poparcie ze strony carskiego sojusznika Francji oraz jej alianta,

Wielkiej Brytanii, a więc państw, które w przyszłości z wielkiej wojny wyszły jako zwycięzcy. Wraz ze zmianą sytuacji na froncie Roman Dmowski jesienią 1915 r. wyjechał z Rosji na zachód, by odtąd już bezpośrednio tam zabiegać o polskie sprawy. Miarą obranej strategii było to, że niespełna cztery lata później pod wprowadzającym nowy ład w Europie traktatem wersalskim swoje podpisy złożyli również delegaci odrodzonej Polski.



DWAJ PRAWOSŁAWNI METROPOLICI KIJOWSCY

9 listopada 1663 r.

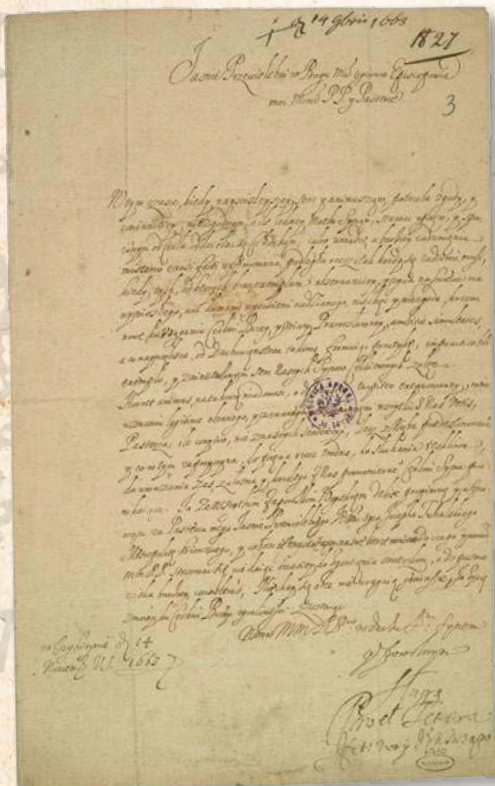
List hetmana kozackiego Pawła Tetery do biskupów prawosławnych z 14 listopada 1663 r.

czypospolitej podjął w połowie 1653 r., co tylko formalnie potwierdził później moskiewski sobór ziemski. Rosyjska interwencja zbrojna doprowadziła do podziału Ukrainy na dwie strefy wpływów. Jej wschodnia część, położona po lewej stronie Dniepru, przypadła Rosji, natomiast zachodnia – prawobrzeżna (ale bez Kijowa) pozostała przy Rzeczypospolitej.

Konflikt na Ukrainie miał wiele aspektów. Oprócz wymiaru politycznego i militarnego istotne były też kwestie wyznaniowe. Od czasów unii brzeskiej Rusini byli podzieleni na wyznawców prawosławia oraz katolicyzmu obrządku greckiego. Powstały dwie równoległe struktury Kościoła wschodniego z własną hierarchią, na czele której stali metropolici kijowscy, oddzielni dla prawosławnych i unitów. Podziały wyznaniowe rodziły gwałtowne spory, które szybko nabierały wymiaru politycznego. Najpierw obrońcami prawosławia zostali Kozacy zaporoscy, poszukujący ideologii spajającej istnienie Kozaczyzny jako załążku niezależnego państwa. W połowie XVII w. protektorką Cerkwi prawosławnej ogłosiła się także Rosja, zręcznie wykorzystując kwestie wyznaniowe do ingerowania w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej. Zwalczanie unii kościelnej było jednym z haseł powstania Chmielnickiego, a walka z unitami należała do stałych elementów późniejszych wojen i rozmów dyplomatycznych. O likwidacji unii kościelnej mówiły postanowienia ugody hadziackiej z 1658 r. Mimo to Kościół unicki przetrwał ten trudny czas.

Kolejny etap zmagania o przywrócenie władzy Rzeczypospolitej nad terytoriami wschodnimi zagarniętymi przez

Rosję rozpoczął się w 1660 r. Na południowym, ukraińskim odcinku zmagania wojennych chciano uregulować stosunki z Kozaczyzną. Wśród przywódców kozackich Rzeczypospolita miała kilku oddanych stronników, którzy jednak z oczywistych względów utrzymywali swe zapatrywania w dyskrekcji. Należał do nich Paweł Tetery, pisarz wojska zaporoskiego, a prywatnie zięć Bohdana Chmielnickiego. Polityczna zręczność wsparta intrygami sprawiła, że Tetery został hetmanem zaporoskim. Na czele posłusznych sobie Kozaków wspierał pochód wojsk polskich przeciwko Rosji, ta zaś na Zadnieprzu doprowadziła do powołania drugiego, oddanego sobie hetmana kozackiego, którym został Iwan Brzuchowiecki. Na marginesie tych zmagania toczyła się rosyjsko-polska rywalizacja o kontrolę nad Cerkwią. Prawosławni metropolici kijowscy podlegali patriarchom Konstantynopola. Zastwierdzali oni metropolitów kijowskich nominowanych przez polskiego króla. Tradycję tę zakłóciło zajęcie przez Rosję wschodnich terytoriów Rzeczypospolitej, a więc także części metropolii kijowskiej. Sytuacja ta skomplikowała się jeszcze bardziej po śmierci metropolity Dionizego Bałabana. W celu wybrania jego następcy 9 listopada 1663 r. w Korsuniu zebrało się prawosławne duchowieństwo oraz Kozacy na czele z hetmanem Tetery. Zgromadzeni podzielili się na dwa obozy, z których każdy forswał własnego kandydata. Pierwszym był władca mściśławski Józef Nielubowicz Tukalski, drugim zaś biskup przemyski Antoni Winnicki. W tej sytuacji o nominacji prawosławnego metropolity kijowskiego miał zdecydować król. Rozstrzygnięcie Jana Kazimierza było jednak kuriozalne. Zamiast nominować jednego z kandydatów, król chcąc pozyskać obydwie zwalczające się stronnictwa, wydał dwa wzajemnie wykluczające się doku-



**JACEK
KROCHMAL**

Wojna domowa wywołana w 1648 r. przez Bohdana Chmielnickiego szybko przekształciła się w długoletni międzynarodowy konflikt, w którym stawką była dominacja w Europie Środkowo-Wschodniej. Marzący o wolnej Ukrainie przywódcy kozaccy przystąpili do wielkiej gry z Rzeczypospolitą, Rosją i Turcją. Ze starcia z tymi potęgami nie mogli wyjść zwycięsko. Chcąc się wyzwolić z „polskiego ucisku”, Kozacy w 1654 r. wybrali zależność od Rosji. O ich losie już wcześniej zadecydował jednak car Aleksy Michajłowicz, który decyzję o oderwaniu Ukrainy od Rze-

Wydarzyło się w listopadzie

7 listopada 1588 r.
Król Zygmunt III nominuje
Stanisława Żółtkiewskiego
hetmanem polnym koronnym

6 listopada 1657 r.
Elektor brandenburski Fryderyk
Wilhelm zwraca Polskę Elbląg

21 listopada 1680 r.
Edykt króla duńskiego
Krystiana V i księcia Krystiana
Albrechta zakazujący Tatarom
i Cyganom pobytu w księstwie
holsztyńskim

12 listopada 1763 r.
Uniwersał prymasa
i interreksa Władysława
Aleksandra Łubińskiego
zawiadamiający o śmierci
króla Augusta III

27 listopada 1780 r.
Gratulacje magistratu
miasta Gdańska dla Jacka
Małachowskiego z okazji
mianowania go
podkanclerzym koronnym

28 listopada 1785 r.
Uniwersał marszałka wielkiego
koronnego Michała Wandalina
Mniszcha w sprawie oświecenia
miasta Warszawy

menty – 22 listopada 1663 r. metropolita nominował Tukalskiego, a 24 listopada taką samą nominację otrzymał Winnicki. W ten sposób król doprowadził do eskalacji sporu o zwierzchnictwo nad Cerkwią prawosławną w Rzeczypospolitej. W rozwiązywanie tego konfliktu włączył się hetman Tetera. Chcąc nakłonić Winnickiego do wycofania swej kandydatury, 14 listopada 1663 r. napisał list do popierających go władcy łuckiego, lwowskiego i przemyskiego (czyli do bp. Winnickiego), prosząc o uznanie za metropolitę Tukalskiego i zarazem informując, że opowiedziało się za nim wojsko zaporoskie. 23 listopada 1663 r. Tetera rozesłał uniwersał do prawosławnego duchowieństwa i świeckich, wzywając do podporządkowania się metropolii Tukalskiemu. Opisane wydarzenia są zaledwie epizodem z długiej historii sporów prawosławno-unickich, które zostały uregulowane dopiero dzięki przemysłanej polityce Jana III Sobieskiego, przynoszącej rezultaty jeszcze długo po jego śmierci. Polityka ta polegała na skłanianiu do potajemnego, a następnie jawnego przechodzenia na unię kolejnych biskupów prawosławnych. Był wśród nich bratanek metropolity Winnickiego – Innocenty, który doprowadził do przyjęcia unii kościelnej w eparchii przemyskiej. Oprócz niej w latach 1691–1715 unię przyjęły kolejno także diecezje lwowska, łucka i metropolitalna kijowska.

W NOCY Z 13 NA 14 PAŹDZIERNIKA 1767 r. ROSJANIE
POD DOWÓDZTWEM PŁK. OSIPA IGELSTRÖMA
DOKONALI W WARSZAWIE ARESZTOWANIA
BISKUPA KRAKOWSKIEGO KAJETANA
SOŁTYKA. KIM BYŁ SOŁTYK I CZYM SOBIE
ZASŁUŻYŁ NA TAKIE POTRAKTOWANIE?

BISKUP SOŁTYK NIEDOSZŁY MAŻ OPATRZNOŚCIOWY



**PIOTR
HAPANOWICZ**

Urodził się w 1715 r. Był synem Józefa Sołtyka, kasztelana lubelskiego, oraz Konstancji z Drzewieckich. Pochodził z zamożnej rodziny wywodzącej się z bojarstwa ruskiego. Wczesną młodość spędził na dworze Teodora Andrzeja Potockiego, prymasa Polski. Dzięki jego wstawiennictwu oraz koligacjom rodzinnym szybko robił karierę duchownego. W latach 1735–1738 studiował teologię na uniwersytecie La Sapienza w Rzymie. Po powrocie do kraju należał do bliskiego otoczenia biskupa krakowskiego kardynała Jana Aleksandra Lipskiego. Następnie dzięki protekcji króla Augusta III Wettina został kanonikiem krakowskim. W 1749 r., w wieku 34 lat, został biskupem tytularnym Emaus, a w 1756 r. otrzymał biskupstwo kijowskie z siedzibą w Żytomierzu. Ta niezbyt zamożna, kresowa diecezja nie w pełni satysfakcjonowała ambitnego Sołtyka, niemniej dzięki tej nominacji zyskał krzesło senatora Rzeczypospolitej. Przebywał przede wszystkim w Warszawie na dworze króla Augusta III. Należał do przywódców

stronnictwa saskiego w Polsce. Od wczesnej młodości przyjaźnił się z wpływowym marszałkiem nadwornym koronnym Jerzym Augustem Mniszchem, był też zaufanym ministra królewskiego Henryka Brühla. Sołtyk odgrywał ważną rolę w przygotowaniach sejmików poselskich i deputackich. Uchodził za jednego z najlepszych mówców. Był zapamiętanym wrogiem reformatorskich planów Familii, czyli stronnictwa politycznego książąt Czar-toryskich, oraz ich protegowanego Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Książę biskup

Marzenia i plany Sołtyka dotyczyły mało duchowych spraw – w gonitwie za zaszczytami pragnął objąć biskupstwo krakowskie.



Diecezja krakowska była największa i najbogatsza w ówczesnej Polsce, jedna z większych w Europie. Biskup krakowski otrzymywał także tytuł książy związany z udziałem w Księstwie Siewierskim. 16 grudnia 1758 r. dzięki własnym zabiegom oraz protekcji marszałka Mniszcha energiczny Sołtyk uzyskał upragnioną nominację. Cztery miesiące później rozpoczął urzędowanie z wielką paradą oraz przepychem. Zorganizował liczny dwór, utrzymywał kapelę, urządzał koncerty i przedstawienia teatralne, zatrudniał gwardię liczącą prawie 500 osób, a wystawnością starał się przewyższać innych dygnitarzy Rzeczypospolitej. Rezydował przede wszystkim w Warszawie. Tak charakteryzował go historyk, bp Ludwik Łętowski: „Był Sołtyk wzrostem miernego, urody wystawnej, oczów wyniosłych. Mówił kilku językami i dyktował na raz kilkoma w potrzebie. Z natury impetyk [choleryk], ale ten humor pański modyfikował wysoki rozum. W pożyciu kochał się w okazałości”. Gdy na początku października 1763 r. zmarł król August III, biskup Sołtyk liczył, że następcą na tronie polskim zostanie jego syn. Długo jednak trzymał się dyplomatycznie na uboczu, nie deklarując się po żadnej ze stron. Był przekonany, że na rzecz obozu saskiego i wspierającego go hetmana wielkiego koronnego Jana Klemensa Branickiego wystąpią zaprzyjaźnione państwa europejskie, w tym Saksonia, Francja i Austria. Wygrali jednak Czartoryscy, którzy dla swojego protegowanego, Stanisława Augusta Poniatowskiego, uzyskali pomoc wojskową carycy Katarzyny II. Ostatecznie Sołtyk, licząc na względy nowego władcy, uczestniczył w koronacji Stanisława Augusta Poniatowskiego. W mowie na sejmie koronacyjnym chwalił zalety i wykształcenie nowego władcy, jednak wypowiedział się przeciwko ograniczeniom nałożonym na urzędy hetmanów i przeciwko obecności wojsk rosyjskich, wezwał też króla do obrony pozycji Kościoła katolickiego w państwie. Zlekceważony przez nowego króla na krótko odsunął się od polityki, źle się czuł w stanisławowskiej Warszawie. Powrócił wtedy do swej diecezji i rezydował w pałacu biskupim w Kielcach.

W obronie Kościoła i suwerenności państwa

W okresie tarć politycznych w Polsce zaniepokojony reformami państwa, obecnością wojsk rosyjskich w kraju oraz

wszechwładzą ambasadora rosyjskiego księcia Nikołaja Repnina, który forsował sprawę równouprawnienia dysydentów z katolikami, Sołtyk powrócił do czynnego życia politycznego. W lipcu 1766 r. w liście do diecezjan ostrzegał wiernych przed roszczeniami dysydentów, wezwał senatorów i posłów do obrony wiary i wolności duchowieństwa w Rzeczypospolitej. Podkreślał, że innowiercy, zwracając się do obcych mocarstw, stwarzają niebezpieczeństwo dla ojczyzny. Wystąpienia Sołtyka wywołały wielkie niezadowolenie w otoczeniu króla oraz reakcję Repnina, który usiłował wpłynąć na stanowisko biskupa różnymi środkami perswazji. Należało do nich wprowadzenie do dóbr opornego biskupa wojsk rosyjskich, które rujnowały jego posiadłości. W odpowiedzi hierarcha próbował samodzielnej akcji dyplomatycznej na dworze w Petersburgu. Wysłał też listy do katolickich władców europejskich, wskazując na zagrożenie dla jedności państwa i prosząc o przeciwdziałanie dążeniom dysydentów. Tymczasem Repnin chciał narzucić tzw. traktat gwarancyjny, który zalegalizowałby ingerencję Rosji w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej. Gdy ta sprawa i równouprawnienie innowierców stanęły na początku października 1767 r. na porządku obrad sejmku, zwanego repninowskim, Sołtyk wystąpił z mową antyrosyjską, przeciw równym prawom dla dysydentów oraz stacjonowaniu wojsk rosyjskich w Polsce. Jego wystąpienie zrobiło duże wrażenie. Stał się jednym z głównych dygnitarzy polskich otwarcie występujących przeciw Rosji. Zgromadził wokół siebie grono szczerych patriotów dążących nie tylko do obalenia króla, ale przede wszystkim do obrony suwerenności. Długo nie trzeba było czekać na reakcję Repnina. Już wcześniej groził on Sołtykowi, „że go zrobi księcia siewierskiego księciem sybirskim”. Ambasador rosyjski nakazał aresztowanie głównych opozycjonistów: biskupa Kajetana Sołtyka, biskupa kijowskiego Józefa Andrzeja Załuskiego, Wacława Rzewuskiego, hetmana polnego koronnego, wojewodę krakowskiego i jego syna Seweryna Rzewuskiego, starostę dolińskiego. Ogłosił arogancką deklarację, w której podkreślił, że aresztowani i wywiezieni członkowie polskiego parlamentu „zranili godność Imperatorowej, oceniając czystość jej zawsze przyjaznych dla wolności narodu polskiego intencji”. Dalszy przebieg sejmku stał się już zupełną parodią wolnych obrad. Pokłosiem tych

wydarzeń był wybuch konfederacji barskiej, skierowanej przeciw Rosji i królowi.

Niedoszły mąż opatrznosciowy

Dopiero po jej zdławieniu i dokonaniu pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej na prośbę króla i nuncjusza papieskiego caryca Katarzyna II uwolniła zesłanych senatorów. Po ponad pięciu latach zsyłki bp Sołtyk wrócił do Warszawy 12 lutego 1773 r., wraz z pozostałymi trzema zesłańcami entuzjastycznie witany przez mieszkańców stolicy. Stał się symbolem niezłomności przekonań i poświęcenia dla kraju. Wielu czekało jego powrotu, spodziewając się, że będzie mężem opatrznosciowym, wokół którego skupią się siły patriotyczne, a sam Sołtyk zapowiadał wolę służby i ofiary dla wolności i wiary. Jednak nie do końca orientował się w bieżącej sytuacji politycznej państwa, nie umiał sprostać zbyt wygórowanym nadziejom. Krytykował wyższych duchownych oraz co ważniejszych polityków, że poddali się rozbirowi kraju, nie bronili dostatecznie religii, narażał się dworowi królewskiemu i reprezentantom państw zaborczych. Jednak – jak pisze biografka biskupa Maria Czeppe – jego chaotyczna działalność po powrocie nosiła cechy dezorientacji i zagubienia. Trudno się temu dziwić: porwanie i uwięzienie przez Rosjan, a następnie kilkuletnia niewola nie pozostały bez wpływu na jego psychikę. Ostatecznie usunął się w cień. Krytyczny wobec biskupa, wybitny znawca dziejów Polski nowożytnej, Władysław Konopczyński pisał, że „realny, krwisty, mięsisty Sołtyk spojrzał w oczy Sołtyka symbolicznego – i uciekł z Warszawy”.

Po przyjeździe do Krakowa napotkał znaczące trudności wynikające z podziału diecezji krakowskiej na część północną przynależną do Rzeczypospolitej oraz część południową zajęętą przez Austrię, która dążyła do oderwania swoich posiadłości od diecezji krakowskiej. 5 czerwca 1773 r., chcąc mieć okazałą rezydencję, nabył pałac Pod Krzysztofory. Przez kilka miesięcy utrzymywał wystawny dwór, prowadził ożywione życie towarzyskie, wydawał bale, urządzał koncerty oraz kosztowne ucztę. Zapewne odczuwał wyraźnie i boleśnie niemożność sprostanienia oczekiwaniom, które były przed nim stawiane jako przed obrońcą ojczyzny i wiary. Na kilka lat popadł w stan melancholii, zamknął się w pałacu, rzadko opuszczając go i nikogo nie przyjmując. >>

>> Nie uczestniczył w życiu politycznym, znacznie ograniczył swą aktywność w życiu religijnym diecezji. W 1775 r., ulegając naciskom dworu królewskiego, zaprosił na swego koadiutora, czyli pomocnika z prawem następstwa, ks. Michała Jerzego Poniatowskiego, brata królewskiego.

Krakowski dramat

Po kilku latach, w 1781 r., Sołtyk wyszedł ze swej krzysztoforskiej samotni, podejmując działania zmierzające do odzyskania realnej władzy w biskupstwie. Ponownie kompletował dwór, organizował bale, obiady i przyjęcia. Wykazywał się wielką gorliwością religijną, brał udział w nabożeństwach, hojnie rozdawał jałmużnę ubogim. Poczynił duże zapisy na kościoły i cele dobroczynne, a także na osoby ze swego otoczenia. Zachowanie biskupa, w tym objawy ekstrawagancji i niezrównoważenia, przypadki publicznego upominania i lżenia członków kapituły krakowskiej, którym zarzucał brak pobożności, konflikt z ks. Hugonem Kołłątajem, budziły coraz większy niepokój wśród duchowieństwa krakowskiego. Na początku lutego 1782 r. kapituła krakowska wystosowała do biskupa list, w którym domagała się, by uznał, że jest chory i poddał się leczeniu, a w razie oporu zagroziła zastosowaniem środków przymusu. Jednak inną opinię w tej materii odnotował Stanisław Wodzicki: „Co do księdza Sołtyka, o którym [...] gadano, że osłabł na umyśle, nie mogę tego powiedzieć, owszem, mówił on bardzo przytomnie i z największą żywością, zdradzającą wprawdzie wewnętrzny ból i rozdrażnienie, lecz daleką od symptomów pomieszanego zmysłu”. Próby załagodzenia sporu między biskupem a kapitułą nie przyniosły rezultatu, Sołtyk nie chciał się zgodzić na przeprosiny, kanonicy zaś nie stawili się na wyznaczone przez niego obrady. Biskup zareagował na to nałożeniem interdyktu na kapitułę i skierował listy m.in. do króla i prymasa ze skargami na postępowanie kapituły. Ostatecznie wyczerpany tymi wszystkimi wydarzeniami zdecydował się na wyjazd do części diecezji zajętej przez Austriaków. Kapituła krakowska z pomocą rodziny postanowiła temu w radykalny sposób zapobiec.

Ubezważnowolnienie

23 lutego 1782 r. biskup został siłą zatrzymany w seminarium zamkowym



Michał Stachowicz, „Wjazd Kajetana Sołtyka na zamek krakowski do kościoła katedralnego”, 1759 r.

na Wawelu. Jego uwięzienie wywołało w Krakowie oburzenie, bo był szanowany i lubiany przez ludność miasta oraz diecezji. Powszechnie uważano, że cierpiał na zesłaniu za wiarę i wolność. Władzę w diecezji przejął bp Michał Jerzy Poniatowski. Sprawa Sołtyka trafiła na posiedzenie Rady Nieustającej, a także w marcu 1782 r. pod obrady sejmu, który został nazwany sołtykowskim. Biskupa w obronę brali nawet najbardziej wpływowi i światli ludzie w państwie. Po kraju rozeszła się pogłoska, że choroba hierarchy jest wymysłem króla i jego stronników, aby odsunąć go od zarządu diecezją i ogromnymi dobrami ziemskimi. Król Stanisław August Poniatowski powołał specjalną komisję do zbadania sprawy. Komisja stwierdziła, że z racji choroby umysłowej Sołtyk nie jest w stanie rządzić diecezją ani rozporządzać swoim mieniem. Jednocześnie wyznaczyła kary dla kapituły za przekroczenie kompetencji i uwięzienie przełożonego. Także papież udzielił nagany kapitule krakowskiej. Na początku kwietnia 1782 r. król wyznaczył dla biskupa kuratorów, którzy mieli zarządzać jego majątkiem i sprawować nad nim opiekę, w jej skład weszli krewni biskupa. W maju 1782 r. Sołtyk został przewieziony do Kielc i umieszczony w tamtejszej rezydencji biskupiej. Ostatnie lata spędził jako człowiek ubezwłasnowolniony pod opieką zmieniających się kuratorów. Towarzyszył mu prawie 80-osobowy dwór.

Wirydianna Fiszerowa odnotowała we wspomnieniach, że Sołtyk „zaprzeczany przez własną rodzinę rodzinie królew-

skiej, która dziedziczyć miała jego majątek, uznany został za wariata za zgodą kapituły krakowskiej i zamknięty...”. Pozostaje zatem wciąż otwarte pytanie: na ile choroba biskupa była rzeczywista, a na ile uznanie go za niepozytelnego oraz jego ubezwłasnowolnienie było na rękę wielu osobistościom – Stanisławowi Augustowi, ambasadorowi Rosji w Polsce, kapitule krakowskiej, a także przedstawicielom rodziny Sołtyków?

Bp Sołtyk zmarł 30 lipca 1788 r. w Kielcach. Zorganizowano mu uroczysty pogrzeb i pochowano w katedrze krakowskiej. W Kaplicy Świętokrzyskiej znajduje się jego pomnik nagrobny. Gdy Polskę mocarstwa ościenne wykreśliły z map Europy, monument ten nabrał patriotycznego wymiaru.

Epilog

Ambitny i energiczny bp Kajetan Sołtyk przez swą konsekwentną postawę antyrosyjską i zesłanie wyrósł na bohatera, pierwszego męczennika sprawy polskiej i religijnej. Pamięć o nim pozostawała żywa dla Polaków w okresie zaborów. Jednak dziś w powszechnej świadomości obecna jest raczej postać Tadeusza Rejtana i jego dramatyczny protest przeciw rozbiorom, a o bp. Sołtyku niestety równie dobra pamięć się nie zachowała. Otacza go natomiast czarna legenda groźnego fanatyka, obrońcy zacofania i ciemnoty. Znamienne, że w kreacji tego wizerunku największą rolę odegrał słynny pisarz i filozof oświeceniowy oraz antyklerykał Voltaire (Wolter). Niestety.

Po pierwsze – dobro wspólne



MAREK
JUREK

Skoro taką furorę robi ostatnio „Opcja Benedykta” (według „New York Timesa” to „najważniejsza religijna książka dekady”) – warto sięgnąć do samej Reguły. To jeszcze większy bestseller – nie starsze się od półtora tysiąca lat. To z niej książęta, którzy zbudowali naszą cywilizację, uczyli się służby Bogu i ludziom, sprawiedliwości i prawideł sprawowania władzy.

Oczywiście Reguła odnosiła się do małych dobrowolnych społeczności, jakimi były benedyktyńskie klasztory, ale jako inspiracja miała i ma znaczenie uniwersalne. Na przykład benedyktyńska zasada, by władza „raczej pomagała, niż panowała”, opiera się przede wszystkim na założeniu, że dobro wspólne nie jest kreacją władzy, ale to władza jest powołana do jego rozpoznania, przyjęcia i realizacji. Dobro wspólne jest pierwsze. Wynika najpierw z uniwersalnych zasad prawa naturalnego, z potrzeb, które bezpośrednio wyznacza życie. Społeczeństwo przecież zaczyna się w rodzinach, to tam ludzie otrzymują życie fizyczne i moralne. Dlatego społeczeństwo musi chronić rodziny i samą rodzinę jako instytucję. A obrona godności tej instytucji wcale nie jest żadnym nowym problemem, nowe są jedynie szczegółowe wyzwania. Ustanowienie monogamii jako zasady prawnej i społecznej było przecież jednym z pierwszych aktów cywilizacji chrześcijańskiej. Konieczność obrony monogamicznego małżeństwa nie pojawiła się bynajmniej dopiero w czasach zaawansowanego liberalizmu.

Wobec samej rodziny, wypełniającej dobrze swe powinności (społeczne przecież, bo odniesione do innych) – funkcje państwa są pomocnicze. Edukacja publiczna powinna ją wspierać, a nie z nią konkurować. Powinna dostarczać bagażu wiedzy koniecznej do rozwinię-



cia wartości, które dziecko otrzymuje już w domu (i – po chrzcie – w Kościele). Również w swych decyzjach podatkowych, stanowiących podstawę polityki gospodarczej i społecznej, państwo musi uważać, by nie naruszyć zdolności rodziny do wypełniania jej zadań. Etyka mówi, że środki konieczne do życia nie podlegają opodatkowaniu. Tak więc rodzina nie może płacić podatków od wydatków koniecznych do wychowania dzieci. A jeśli państwo pobiera (kierując się ich prostotą) podatki od konsumpcji – ma obowiązek ustanowić mechanizmy równoważące obciążenia płynące z tego systemu dla rodzin. To jest właśnie moralna podstawa instytucji takich jak program 500+.

Samo społeczeństwo potrzebuje bezpieczeństwa, bez którego nie ma wolności. Żeby ludzie mogli korzystać ze swych praw, nie mogą się bać ich używania. Jeżeli mają używać

praw politycznych, muszą żyć w politycznej wspólnocie (w społeczności, z którą się identyfikują, i która się z nimi identyfikuje). Co jednak począć z różnicami, które w społeczeństwie politycznym nieuchronnie występują? O tym mówi Reguła, wskazując na powinność troski opata o całość wspólnoty, przy uwzględnieniu osobistych różnic jej członków.

Społeczeństwo wreszcie potrzebuje elementarnego dostatku, więc – jak uczy święty Tomasz – „należy się zatroszczyć o to, aby każdy mógł zaspokajać swoje potrzeby stosownie do swojej sytuacji i stanu: inaczej bowiem królestwo ani miasto nie zdoła przetrwać” (Re Regno II,2). To rzecz absolutnie konieczna, choć zawsze należy pamiętać, że chodzi tu o środki do życia, a nie o cel życia.

Nade wszystko społeczeństwo musi oddawać cześć Bogu i zachowywać Jego Prawo, bo to Bóg jest stwórcą człowieka i jego społecznej natury. Dziś – po 200 latach dojrzewania i stałego wzrostu reżimów ateokratycznych – ta oczywista powinność wymaga wyjaśnienia i uzasadnienia. Ale Mircea Eliade przekonująco pokazał, że historia społeczeństw do czasu rewolucji francuskiej nie zna porządku politycznego bez religii.

Na czym więc polega, w jaki sposób dokonuje się społeczne oddawanie czci Bogu?

Przed wszystkim dokonuje się w życiu Kościoła oraz w uczestnictwie w jego życiu rodzin. Stąd pierwszy wymóg wolności Kościoła. W wierze narodu odzwierciedlającej się w jego historycznych decyzjach i działaniach. W zachowywaniu, przekazywaniu i rozwijaniu kultury chrześcijańskiej. ■





**DOKONANIA ŻYCIOWE
SAMUELA MASKIEWICZA
NIE MOGŁY ZAPEWNE
STANOWIĆ PRZYCZYNY, DLA
KTÓREJ ZAPAMIĘTAŁABY
GO POTOMNOŚĆ, GDYBY
NIE JEGO UPODOBANIE
DO ZAPISYWANIA
SWOICH PRZYGÓD
I WRAŻEŃ. ZWYCZAJOWI,
KTÓRY TRAKTOWAŁ
NAJWYRAŹNIEJ JAKO
AKTYWNOŚĆ MARGINALNĄ,
ZAWDZIĘCZA JEDNAK SVOJE
NIEPOŚLEDNIE MIEJSCE
W POLSKIEJ HISTORII**

HUSARZA DZIEJE

SAMUEL MASKIEWICZ I JEGO DIARIUSZ

**HENRYK
LITWIN**



Jego kariera żołnierza, magnackiego klienta, lokalnego sejmikowego aktywisty nie przyniosła mu żadnych wawrzynów, za to pamiętnik, który zaczął pisać pod koniec życia na podstawie wcześniej czynionych notatek, został niezwykle doceniony przez czytelników i badaczy z XIX, XX i XXI w., choć zachował się jedynie w późniejszych

rękopiśmiennych kopiach. Wydany drukiem oraz przedstawiony szerszemu kręgowi odbiorców został dopiero w XIX stuleciu przez Juliana Ursyna Niemcewicza, a swe wydanie krytyczne z 1961 r. zawdzięczał prof. Alojzemu Sajkowskiemu. Trudno nazwać Maskiewicza jednoznacznie pozytywnym bohaterem czasów I Rzeczypospolitej. Ani charakterem, ani dokonaniem, ani nawet stylem pisarskim nie mógł

imponować czy to współczesnym, czy późniejszym czytelnikom jego zapisków. Jednak szczere i prostolinijne uwagi na temat otaczającego go świata spisane przez pana Samuela mają dla nas istotne znaczenie. Pozwalają bowiem zajrzeć, choć trochę, w duszę przeciętnego szlachcica z początku XVII w.

Samuel Maskiewicz urodził się ok. 1580 r. Pochodził z dość zamożnej średnio-szlacheckiej rodziny litewskiej, która

swe „gniazdowe” posiadłości dzierżyła w powiecie nowogródzkim Wielkiego Księstwa. Nic nie wiemy o miejscu, w którym odebrał podstawowe czy może średnie wykształcenie, ale lektura jego zapisków pozwala stwierdzić, że poruszał się w świecie wyobrażeń typowych dla absolwenta parafialnej lub kolegiackiej lokalnej szkoły, gdzie przeszedł kursy gramatyki, poezji i retoryki. Trzeba jednak przyznać, że w tej kwestii skazani jesteśmy na domysły. Po ukończeniu szkół młody Samuel zaciągnął się do wojska, jak sam pisze, „na parę koni”. Oznacza to, że służył jako towarzysz dysponujący swoim poczem, czyli jak przystało młodzieńcowi z poważnej, posesjonackiej rodziny. Swą pierwszą kampanię odbył w 1601 r. w Inflantach, w chorągwi podkanclerzego litewskiego Gabriela Wojny. Nie była ona zbyt pomyślna ze względu na spory między dowódcami. Hetman wielki Krzysztof Mikołaj Radziwiłł i hetman polny Jan Karol Chodkiewicz spierali się wówczas – jak zapisał w swym dziuryszu – „jak dwaj koci”.

Po doświadczeniach inflanckich postanowił poszukać szczęścia i zarobku w wojskach Dymitra Samozwańca, który w latach 1604–1605 rozpoczynał w Rzeczypospolitej swą niezwykłą karierę, zbierając wojska gotowane do zbrojnej interwencji w Moskwie. Maskiewicz zebrał godny poczet i ruszył ku granicy. Spóźnił się jednak z tą rezolucją i nie zdołał dogonić wojsk Dymitra, które wkroczyły już na terytorium moskiewskie. Samuel zrezygnował więc z awanturnicznych planów i na razie utknął w Brahiniu na służbie

dworskiej u Wiśniowieckich. Wpadłszy tam w kłopoty, salwował się powrotem do służby wojskowej. W 1606 r. zaciągnął się – choć Litwin – do koronnej chorągwi kasztelana kamienieckiego Jakuba Pretwicza i strażował na Podolu, m.in. w sieniawickowskim Chreptio-wie. Potem walczył po stronie króla w starciach rokoszu sandomierskiego, zwanego też zebrzydowskim. Zaciągnął się wówczas pod znak kniazia Janusza

obleżenia twierdzy smoleńskiej. Potem pod dowództwem hetmana Stanisława Żółkiewskiego walczył w zwycięskiej bitwie z Moskalami i posiłkującymi ich wojskami szwedzkimi (gdzie nie brakowało zaciężnych żołnierzy francuskich i brytyjskich) pod Kłuszynem. Poszedł też z hetmanem pod Moskwę, obserwował jego pertraktacje z bojarami, które doprowadziły do zaakceptowania przez moskiewską elitę kandydatury królew-

SŁUŻYŁ JAKO TOWARZYSZ DYSPONUJĄCY SWOIM POCZTEM, CZYLI JAK PRZYSTAŁO MŁODZIEŃCOWI Z POWAŻNEJ, POSESJONACKIEJ RODZINY

Poryckiego (a więc pozostał w wojskach koronnych), z którym już po rokoszu pociągnął znowu na Podole, biorąc udział w wyprawie przeciwko tatarskim czambułom (1608). W roku następnym, wciąż pod dowództwem Poryckiego, włączył się do wyprawy Zygmunta III pod Smoleńsk, rozpoczynając największą – moskiewską – przygodę swego życia.

W ciągu następnych kilku lat uczestniczył w historycznym dramacie nazywanym czasem smutą, a czasem choć nieprecyzyjnie polską interwencją w Moskwie (należałoby raczej mówić o interwencji polsko-litewsko-ruskiej). Maskiewicz wziął udział w początkowym etapie

cza Władysława na carski tron i wszedł w skład polskiego garnizonu na Kremlu. Przebywał w stolicy carów do wiosny 1611 r., kiedy nastąpiła wymiana polskiej obsady w Moskwie. Wówczas zaczął się w życiu Maskiewicza okres konfederacki.

Wstąpił on do związku wojskowego, który domagał się zapłaty, na długotrwałą i niewdzięczną służbę na terytorium wschodniego sąsiada. Pan Samuel był jednym z aktywistów tej konfederacji i kilkakrotnie jej reprezentantem wobec króla i sejmu. Wreszcie decyzje sejmu z 1613 r. pomogły rozwiązać problemy z zaległym żołdem, konfederacja rozwiązała się ostatecznie w kwietniu 1614 r., >>

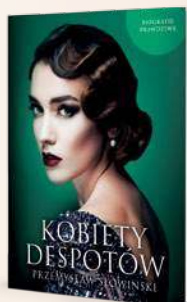
AUTOPROMOCJA

polecamy
WSKLEPIKU.PL

Zajrzyj koniecznie na naszą stronę
WSKLEPIKU.PL

Kobiety despotów

Przemysław Słowiński



Do szaleństwa oddane i posłuszne. Zazdrosne i żądne władzy. Żony i kochanki. Bite, osamotnione, zdradzane. Za życie z despotami płaciły wysoką cenę – chorowały na nerwice, ginęły w niewyjaśnionych okolicznościach, popełniały samobójstwa. Kobiety dyktatorów. Od czasów starożytnych do XXI wieku.

Niechciane dziedzictwo

Adriana Merta-Staszczak

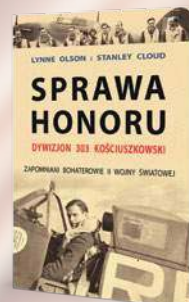


Barczo dobrze się stało, że dr Adriana Merta-Staszczak zajęła się złożonym problemem powojennych zabytkowych nieruchomości na Dolnym Śląsku, bo choć poświęcono mu już sporo publikacji, to brak było dotąd sumarycznego monograficznego przeglądu całości zagadnienia, z jego uwarunkowaniami historyczno-politycznymi, ideologicznymi, psychospołecznymi, administracyjno-prawnymi i ekonomicznymi [...].

z recenzji dr. hab. Stefana Bednarka

Sprawa honoru

Lynne Olson, Stanley W. Cloud



Pasjonująca historia polskich pilotów, których odwaga i męstwo przyczyniły się do uratowania Anglii w czasie bitwy powietrznej w 1940 r. To także opowieść o zaskakującej zdradzie, jakiej dopuścili się alianci pod koniec II wojny światowej. Źródłami są nieoficjalny dziennik dywizjonu, pełen osobistych relacji ze starć z nieprzyjacielem, oraz listy, wywiady, wspomnienia, opowieści i fotografie.

» a Maskiewicz wrócił wówczas do rodzinnego domu w Serweczu. Po zasłużonym odpoczynku rozglądał się znowu za służbą przy jakimś magnackim dworze i zdecydował się na wybór dworu księcia Jana Olbrychta Radziwiłła, ordynata kleckiego (1614). Nie wytrzymał tu długo i przeszedł na służbę innego Radziwiłła – Zygmunta Karola, rycerza zakonu joannitów (1615). Także i tu nie zagrażał miejsca. Pojawiał się też na dworach innych Radziwiłłów, ale jednocześnie rzucił się w wir działalności sejmikowej.

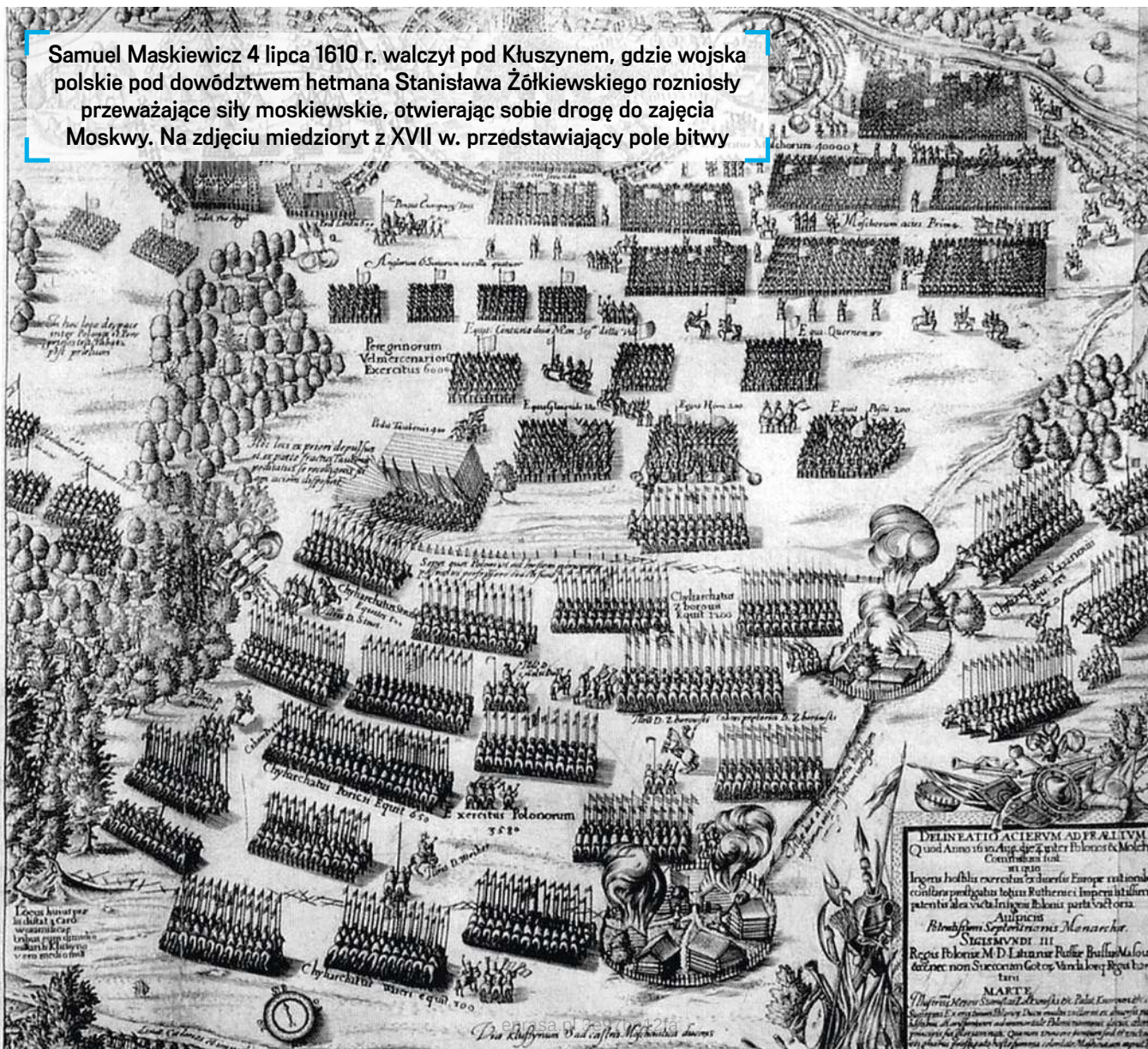
W 1617 r. został wybrany na deputata do trybunału litewskiego – najwyższego sadu apelacyjnego w Wielkim Księstwie. W 1618 r. uczestniczył w obradach sejmiku generalnego w Słonimiu. Rok później był jednym z czterech elektów szlachty powiatu na podsędką nowogrodzkiego. Król zaakceptował jednak

inną kandydaturę. Przegrana rywalizacja o urząd powiatowy skłoniła Maskiewiczą do powrotu w szeregi wojska. Zaciągnął się pod chorągiew hetmana Krzysztofa Radziwiłła i ruszył na wojnę ze Szwedami w Inflantach (1619). W radziwiłłowskich szeregach przyszło mu pełnić służbę nie tylko dla Rzeczypospolitej, ale i dla książęcego patrona. W 1620 r. uczestniczył w prywatnej aferze hetmana, który usiłował – bezskutecznie – zawłaszczyć część majątków wymarłego właśnie rodu kniaziów Ostrojskich. Zdaje się, że awantura zniechęciła pana Samuela do dalszej służby przy hetmanie i skłoniła do ponownego zaangażowania się w życie sejmikowe.

Maskiewicz uczestniczył w sejmiku nowogrodzkim i prawdopodobnie został wybrany na posła na zbliżający się sejm. W każdym razie nie ma wątpliwości, że

był w Warszawie w czasie obrad i dysponował informacjami o ich przebiegu. Na skrótych uwagach o tym właśnie sejmie i nadciągającym zagrożeniu tureckim pamiętnik Maskiewiczą się urywa. Nie wiemy, dlaczego Samuel porzucił swe zapiski. Wbrew opiniom XIX-wiecznych historyków i bibliografów nie zmarł niedługo potem. W 1625 r. widzimy go jako poborcę podatkowego nowogrodzkiego. W 1630 r. jako pisarza grodzkiego w tymże powiecie. Już po śmierci był wspominany jako podwojewodzi nowogrodzki (1653). Wydawca pamiętnika Alojzy Sajkowski uważał, iż Samuel Maskiewicz zmarł ok. 1640 r., choć był to pogląd słabo uzasadniony, zważywszy, że tenże badacz ostatnią wzmiankę w źródłach dotyczącą naszego bohatera znalazł pod 1633 r., a pierwszą wymieniającą go jako zmarłego pod 1643 r.

Samuel Maskiewicz 4 lipca 1610 r. walczył pod Kłuszynem, gdzie wojska polskie pod dowództwem hetmana Stanisława Żółkiewskiego rozniosły przeważające siły moskiewskie, otwierając sobie drogę do zajęcia Moskwy. Na zdjęciu miedzioryt z XVII w. przedstawiający pole bitwy



1935 Rok wyczynów Stachanowa



**PAWEŁ
SKIBIŃSKI**

31 sierpnia 1935 r. sowiecki górnik Aleksiej Stachanow – pracujący w kopalni Centralnaja-Irmino, znajdującej się w miejscowości Kadijewka, w obwodzie ługańskim, w Zagłębiu Donieckim, pobił rekord produkcyjny, jeśli chodzi o wydobywanie węgla. W ciągu 5 godzin i 45 minut wraz ze swoimi dwoma pomocnikami zdołał wydobyć 102 tony cennego surowca. Wykonał w ten sposób 1475 proc. ówczesnej normy przewidzianej dla górnika podczas jednej zmiany.

Było to możliwe w znacznej mierze dzięki temu, że chodnik został uprzednio odpowiednio spreparowany dla bicia rekordu, a transport urobku odpowiednio przeorganizowany. Cały urobek zmiany został zaliczony wówczas na konto Stachanowa. Miało więc to niewiele wspólnego ze spontanicznością.

Stachanow był do tego stopnia produktem sowieckiej maszyny propagandowej, że zostało mu zmienione imię – pierwotnie ochrzczony jako Andriej, pod wpływem dziennikarskiego błędu popełnionego w „Prawdzie”, naczelnym organie Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, gdzie zrobiono z niego Aleksieja. Podobno na osobiste polecenie Stalina Stachanow musiał pozostać przy tym nowym imieniu. Aparat partyjny, bez jego wiedzy i zgody, miał też rozwiązać jego dotychczasowe małżeństwo, gdy tylko Stachanow sprowadził się do Moskwy.

Mimo tego, a może właśnie dlatego, że jego wyczyn był wyłącznie kreacją, Stachanow stał się bohaterem ówczesnej sowieckiej propagandy. Był gierojem ruchu stachanowskiego (nieprzypadkowo nazwanego właśnie od jego imienia), liderem współzawodnictwa pracy socjalistycznej. Była to forma mobilizacji robotników do intensyfikacji produkcji. Jego wyczyn działał na wyobraźnię nie tylko człowieka sowieckiego, skoro por-

tret Stachanowa trafił na pierwszą stronę tygodnika „Time”. Miało to miejsce już w grudniu 1935 r.

Stachanow twierdził, że przy odpowiedniej organizacji pracy normy w górnictwie można by podnieść 8-9 razy. Ruch stachanowski stał się więc okazją dla władzy sowieckiej do zwiększenia norm produkcyjnych dla robotników, oczywiście bez równoczesnego zwiększania ich płac – oznaczało to więc po prostu zwiększenie eksploatacji ludzi pracy przez władzę robotniczo-chłopską. Jednocześnie stachanowcy stali się uprzywilejowaną kastą w ramach sowieckiej klasy robotniczej – zarabiali nawet 10 razy więcej niż ich zwykli koledzy. Nic więc dziwnego, że stali się oni obiektem zawiści i niechęci. Zdarzały się nawet przypadki skrytobójczych mordów na przodownikach pracy dokonywanych przez ich zdesperowanych kolegów.

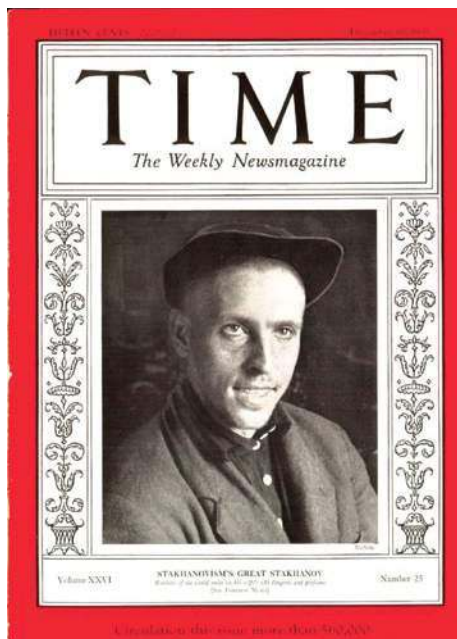
Sam Stachanow podzielił los wielu swoich naśladowców. Został wykorzystany jako propagandowa kukła – był obwożony po zakładach pracy, gdzie zachęcał miejscowych pracowników do większej wydajności. Następnie został mianowany dyrektorem nowego wy-

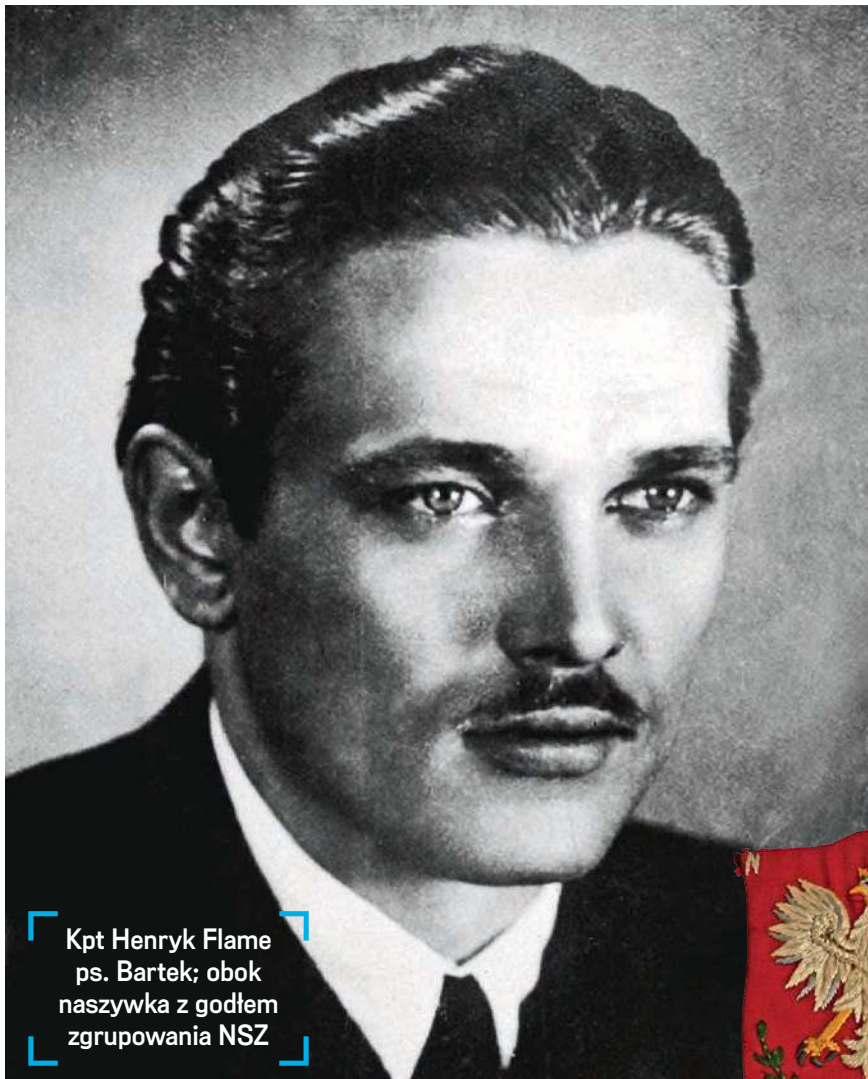
działu w moskiewskim ministerstwie przemysłu węglowego. Jako symbol przodownictwa pracy został deputowanym do Rady Najwyższej ZSRS, a także został odznaczony Orderem Lenina i Orderem Czerwonego Sztandaru.

Chruszczow, objąwszy funkcję I sekretarza KC KPZS, uznał Stachanowa za jeden z żywych symboli stalinizmu, usunął go więc z zajmowanych przezeń dotychczas stanowisk i zesłał do ukraińskiej miejscowości Czystiakowka, gdzie zajmował przez kilkanaście lat podrzędną funkcję urzędniczą. Stachanowcy stracili swoją nazwę, która zbyt kojarzyła się Chruszczowowi ze znienawidzonymi czasami stalinowskimi. Zrozpaczony Stachanow nie wytrzymał psychicznie tej sytuacji i się rozpił. Do łask władzy sowieckiej wrócił dopiero w epoce Breżniewa, który przyznał mu drugi Order Lenina w 1970 r. Podczas zorganizowanej wówczas kolejnej tury objazdowej po fabrykach Stachanow doznał ciężkiego wylewu i został izolowany w szpitalu psychiatrycznym w Doniecku. Wkrótce całkowicie stracił kontakt z rzeczywistością. Zmarł w Moskwie w 1977 r.

Jego nazwiskiem została nazwana w 1978 r. Kadijewka – miejscowość, w której znajdowała się jego macierzysta kopalnia. W 2016 r. Najwyższa Rada Ukrainy postanowiła przywrócić miastu dawną nazwę. Jednak okazało się to wcale nie takie proste – dwa lata bowiem wcześniej cały okręg ługański znalazł się w rękach sił ługańskiej Republiki Ludowej, która zbuntowała się przeciwko władzy Kijowa.

W okresie komunizmu każdy kraj strefy sowieckiej miał swojego Stachanowa. W Polsce mogliśmy cieszyć się np. sukcesami Wincentego Pstrowskiego, nota bene także górnika. Pojawienie się tych pomnikowych postaci przodowników pracy było jednym z wielkich kłamstw komunizmu. Stachanow miał pokazywać znaczenie, jakie reżim przykładał do wysiłku ludzi pracy, a w rzeczywistości jego wizerunek utrwał w wyzysk państwowy społeczeństwa i zaspokajał komunistyczną obsesję maksymalizacji produkcji za wszelką cenę.





Kpt Henryk Flame
ps. Bartek; obok
naszywka z godłem
zgrupowania NSZ

Nf 101



ZGRUPOWANIE Z BARANIEJ GÓRY

3 MAJA 1946 r. NA ROZLEGŁEJ POLANIE POD SZCZYTEM BARANIEJ GÓRY SKONCENTROWAŁO SIĘ PONAD 200 ŻOŁNIERZY NSZ. PRZEMÓWIŁ DO NICH KOMENDANT: „WALCZYMY O POLSKĘ SPRZED 1939 r. WALCZYMY O KOŚCIÓŁ CHRYSZTUSOWY I ŚWIĘTĄ WIARĘ KATOLICKĄ. WALCZYMY O WIELKĄ POLSKĘ, O OBRONĘ WIARY KATOLICKIEJ. O POLSKĘ NARODOWĄ, A ZWYCIĘSTWO JEST PEWNE!”



**TOMASZ
GRENIUCH**

Pod koniec lipca tego samego roku pod szczytem górskim zgromadziło się ponad 120 partyzantów, w dowód zasług komendant otrzymał stopień kapitana, a ściśły sztab awanse oficerskie. Wszystkie nominacje zatwierdził osobiście płk Antoni Szacki, słynny dowódca Brygady Świętokrzyskiej Narodowych Sił Zbrojnych.

Z komendy do lasu

Antykomunistyczne podziemie w Beskidach datuje się od października 1944 r., wtedy kpt. Franciszek Wąs „Warmiński”, szef Wydziału I Organizacyjnego Komendy VII Okręgu Krakowskiego NSZ, tworząc z rozkazu zwierzchników bazę organizacji na Śląsku Cieszyńskim, zaprzysiął miejscowego konspiratora, byłego pilota wojskowego, uczestnika wojny obronnej 1939 r., 26-letniego pchor. Henryka Flamego „Grotą” na żołnierza narodowej formacji partyzanckiej, awansując go na stopień oficerski. Kilkunastoosobowy oddział „Grotą” przetrwał w konspiracji przejście frontu i po wejściu w lutym 1945 r. Armii Czerwonej na Śląsk Cieszyński ujawnił się, a jego dowódca Henryk Flame objął funkcję komendanta posterunku Milicji Obywatelskiej w rodzinnych Dziedzicach, ściśle realizując wytyczne zwierzchników z NSZ, m.in. gromadząc broń i amunicję zbieraną przez okoliczną ludność z pól bitewnych przetaczającego się przez region frontu. W maju 1945 r. Flame otrzymał informację, że komuniści chcą go aresztować, wobec czego 5 maja zdezerterował i z całą obsadą posterunku uciekł do pobliskiego lasu. Pierwsze obozowisko uciekinierzy założyli na wzgórzu Rastocznym w masywie Baraniej Góry, obierając za kwatery gajówkę Heleny Gruszki. W tym czasie por. Flame zmienił pseudonim na Bartek i zaczął tworzyć zręby oddziałów leśnych. Zastępcą „Bartka” został 21-letni ppor. Jan Przewoźnik „Ryś”, przedwo-

jenny harcerz, który wsławił się rozbiciem żołnierza niemieckiego na dziedzińcu dworcu, jego brat sierz. Tadeusz Przewoźnik „Kuba” został mianowany dowódcą ochrony tworzącego się sztabu. Ojcem obu braci był przedwojenny kapitan Wojska Polskiego. Drugim zastępcą „Bartka”, odpowiedzialnym za akcję specjalną, został st. sierz. Józef Machaj „Sęp”. W początkowym okresie na wzgórzu Rastocznym obozowało ok. 30 żołnierzy NSZ. „Bartek” tworzył z nich drużyny i pod dowództwem „Rysia” wyprawiał w doliny na akcje ekspropriacyjne.

Ślubujemy!

13 maja 1945 r. oddział dowodzony przez ppor. Jana Przewoźnika „Rysia” rozbił posterunek MO i placówkę UBP w Zabrzegu. Było to pierwsze odnotowane wystąpienie antykomunistyczne w regionie. W starciu po obu stronach padli pierwsi zabici. W tym samym czasie w Gliwicach powołany został VII Okręg Śląski NSZ z komendantem kpt. Tadeuszem Salskim „Szczęśniewiczem”, „Sokołowskim” na czele, którego główną siłą zbrojną został oddział „Bartka”. W październiku 1945 r., bezpośredni przełożony „Bartka” z ramienia sztabu VII Okręgu NSZ, por. Jerzy Wojciechowski „Jerzy”, „Om” zredagował wytyczne dla oddziałów leśnych NSZ, które w formie rozkazu zostały odczytane żołnierzom Flamego:

„Ślubujemy! Nie złożyć broni ani zaprzestać walki, dopóki banda bolszewicka nie ujdzie z naszego kraju, a wraz z nią wszyscy jej służalcy i hołdownicy”.

Porucznik „Om” wezwał wszystkie luźne dotychczas grupy w terenie do podporządkowania się jednolitemu dowództwu. „Bartek” zgodnie z wytycznymi podzielił rozrastający się oddział na pięć drużyn akcji specjalnej, które zeszły na doliny, przygotowując się do zimy. W tym czasie „Bartkowi” podporządkował się liczący ponad 50 żołnierzy Samodzielny Oddział Leśny im. „Szarego” dowodzony przez ppor. Antoniego Bieguna „Sztubaka”, a „Bartek” meldował przełożonym, że pod rozkazami ma już 100 partyzantów. Dowództwo VII Okręgu NSZ planowało zdekoncentrowanie zbyt rozrosłych oddziałów leśnych, rozpraszając je w aglomeracji górnośląskiej i przerzucając grupami do miejsca stacjonowania Brygady Świętokrzyskiej w amerykańskiej strefie okupacyjnej Niemiec. Pierwsza próba przerzutu została podjęta

już we wrześniu 1945 r. „Bartek” jednak sprzeciwił się tym planom, a pomysł ostatecznie upadł w styczniu 1946 r. gdy Flame utracił kontakt z przełożonymi.

Jesienią 1945 r. UB rozbił Inspektorat Południowo-Zachodni NSZ, któremu podlegał organizacyjnie Okręg Śląski. Aresztowania objęły oficerów sztabów okręgów, obszarów i Komendy Głównej. Zatrzymano w sumie 879 członków NSZ. 6 stycznia 1946 r. aresztowano por. Jerzego Wojciechowskiego „Oma”, bezpośredniego przełożonego por. Flamego „Bartka”, komunistom nie udało się jednak dotrzeć do oddziałów leśnych w Beskidach. Żołnierze zimą 1945/1946 spędzili na kwaterach u rodzin i współpracowników w niedostępnych, górskich przysiółkach.

Na zboczach góry

Wiosną 1946 r. por. „Bartek” zaczął tworzyć na Śląsku Cieszyńskim wielostopniową strukturę konspiracyjną o charakterze wojskowym, przygotowując się na wybuch III wojny światowej. Na zboczach masywu Baraniej Góry wybudował zamaskowane obozy leśne. Tam stale kwaterował sztab partyzancki ochraniający przez pluton wartowniczy dowodzony przez st. sierz. Tadeusza Przewoźnika „Kubę”. Do obozu można się było dostać tylko za pośrednictwem kilku łączników. W obozie, na który składały się szałas, ziemianki i namioty, stale przebywało ok. 30 partyzantów, w tym kucharze. Zadaniem sztabu była koordynacja działań grup leśnych. Były to mobilne, kilkunastoosobowe oddziały operujące w dolinach, dowodzone przeważnie przez sierżantów. Największą formacją był Samodzielny Oddział im. „Szarego” dowodzony przez por. Antoniego Bieguna „Sztubaka”, byłego podkomendnego kpt. Franciszka Przysiężniaka „Ojca Jana”. 60-osobowy oddział, złożony przeważnie z górali, operował w masywie Beskidu Żywieckiego. W dolinach powiatu bielskiego operowała kompania „Burza” dowodzona przez st. sierz. Romualda Czarneckiego „Pikolla”, repatrianta z Lwowa, licząca do 40 żołnierzy. Do najaktywniejszych oddziałów leśnych podporządkowanych „Bartkowi” należy zaliczyć również oddział „Błyskawica” dowodzony przez st. sierz. Józefa Kołodzieja „Wichurę”, pluton „Śmiertelnych”, pod komendą st. sierz. Zdzisława Krausa „Andrusa”, oddział „Orla Białego”

sierz. Gustawa Matusznego z Koniakowa oraz, uaktywniony dopiero we wrześniu 1946 r., oddział „Zemsty”, dowodzony przez oficera frontowego LWP, byłego żołnierza AK, por. Stanisława Kopika. Oddział, którego kadre stanowili przeszkoleni dezenterzy ze strażnicy Wojsk Ochrony Pogranicza, przetrwał w terenie Rajczy do maja 1947 r.

Oddziały dzieliły się na piątki bojowe, tzw. sekcje, dowodzone przeważnie przez plutonowych. W szczytowym okresie w dolinach Beskidów działało jednocześnie 12 grup wypadowych, w których walczyło ponad 280 żołnierzy. Zgrupowanie NSZ objęło swym zasięgiem pięć powiatów województw śląsko-dąbrowskiego i krakowskiego: cieszyński, bielski, bialski, pszczyński i żywiecki. Na rzecz zgrupowania pracowało dodatkowo kilkaset osób cywilnych, łączników i wywiadowców terenowych.

Żołnierze NSZ byli dobrze umundurowani, uzbrojeni i przygotowani do walki leśnej. „Bartek” duży nacisk kładł zwłaszcza na wyszkolenie rekrutów. Werbowano przede wszystkim ludzi mających doświadczenie bojowe. W grupach wypadowych znajdowało się kilkunastu dezenterów z formacji mundurowych MO, WOP i WP, kilku żołnierzy przed wojną odbyło zasadniczą służbę wojskową, a największą grupę partyzantów z przeszkoleniem wojskowym, ze względu na specyfikę regionu i jego mieszkańców, stanowili byli żołnierze Wehrmachtu. Byli to przeważnie dezenterzy, którzy po odbyciu szkolenia i wysłaniu na front przechodzili na stronę aliantów i po wojnie wracali do domów. Żołnierze byli uzbrojeni w broń maszynową i automatyczną produkcji niemieckiej i zdobywaną na rozbijanych posterunkach MO, oraz umundurowani w „battle dressy”, które rekwirowano u repatriantów z Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Zgrupowanie Oddziałów Leśnych VII Okręgu NSZ posługiwało się własnym godłem – była to tarcza z białym orłem w koronie na czerwonym polu z wpisanym monogramem „NSZ” w rogach tarczy, pod godłem znajdowały się skrzyżowane gałązki jodły. Tarczę taką, w formie naszywki, żołnierze nosili na lewym rękawie munduru na wysokości ramienia. Partyzanci na piersi nosili rymfografy maryjne dostarczane im z klasztoru jasnogórskiego przez łączników, a w rogatywki wczepiali pióra sokole bądź guszca.

>>

Od lewej: por. Jan Przewoźnik „Rys” i kpt. Henryk Flame „Bartek”, lato 1945 r.

Akcja majowa

Komendantem wszystkich grup leśnych był por. Henryk Flame „Bartek”, a członkami sztabu ppor. Jan Przewoźnik „Rys” – zastępca dowódcy, st. sierż. Józef Machej „Sęp” – szef akcji specjalnej i st. sierż. Józef Kołodziej „Wichura” – szef ds. propagandy i informacji, do którego zadań należało redagowanie ulotek antykomunistycznych. Od lipca do końca sierpnia członkiem sztabu był ks. Rudolf Marszałek „Opoka”, sprawujący funkcję kapelana zgrupowania leśnego NSZ.

Akcje grupy leśne przeprowadzały codziennie. Broń i amunicję zdobywano, rozbijając posterunki MO i placówki UB oraz rozbijając pojedyncze patrole w terenie. Żywność i materiały niezbędne do przetrwania zdobywano w akcjach ekspropriacyjnych przeprowadzanych na spółdzielniach państwowych oraz, zidentyfikowanych przez wywiadowców terenowych, członkach Polskiej Partii Robotniczej i byłych folksdojcach, współpracownikach gestapo. Chłostą upominano współpracowników reżimu komunistycznego, a wyrokiem śmierci, zatwierdzanym przez dowództwo, kończyły się trzykrotne upomnienia. Oddziały leśne zlikwidowały łącznie ok. 60 funkcjonariuszy i współpracowników „nowej władzy”.

W maju 1946 r. komendant „Bartek” przeprowadził demonstrację siły. 3 maja, pod szczytem Baraniej Góry, na polanie Przysłop skoncentrowało się niemal 200 żołnierzy NSZ. „Bartek” przemówił do nich, że walczą o wielką narodową i katolicką Polskę, a zwycięstwo jest blisko. Następnie oświadczył: „Zamanifestujemy naszą wolę służenia Ojczyźnie w dniu Święta Królowej Polski!”. Po uroczystym obiedzie żołnierze NSZ zeszli do Wisły prowadzeni przez zastępcę komendanta – ppor. Jana Przewoźnika „Rysia” dosiadającego konia. Sam „Bartek” pozostał w obozie pod Baranią Górą, czekając na raport. Ponad 70 partyzantów przeszło w marszu ubezpieczonym pod willę Niespodzianka w Wiśle, gdzie ppor. „Rys” przeprowadził przegląd grup. Po drodze mieszkańcy wręczali partyzantom kwiaty, a konia ppor. „Rysia” ozdobił wieniec. Pozostali żołnierze NSZ pod dowództwem ppor. „Sztubaka” stanowili obstawę przemarszu, odcinając drogi dojazdowe do miasteczka. Komu-



niści nie interweniowali, ponieważ defilada ich zaskoczyła. Tajni współpracownicy nie donieśli na czas o koncentracji zgrupowania. Była to zasługa wzmożonej aktywności grup wypadowych, które akcjami sparaliżowały działalność komunistów w regionie. Pod koniec lipca 1946 r. w masywie Baraniej Góry odbyła się druga koncentracja NSZ, na którą przybyło ponad 120 partyzantów. Do żołnierzy przemówił wówczas ks. mjr Rudolf Marszałek „Opoka”. Ks. „Opoka” był kurierem z Brygadą Świętokrzyską NSZ, skąd przywiózł m.in. rozkazy nominacyjne. „Bartek” otrzymał stopień kapitana, a „Rys” porucznika.

Mordercza akcja

7 sierpnia 1946 r. do obozu „Bartka” łącznik przyprowadził rzekomego przedstawiciela dowództwa NSZ, z którym kontakt został zerwany już w styczniu 1946 r., „kpt. Lawinę”, w rzeczywistości funkcjonariusza UB por. Henryka Wędrowskiego. „Kpt. Lawina”, powołując się na bezpośrednich zwierzchników „Bartka”, wydał rozkaz o przerwaniu żołnierzy NSZ na zachód. „Bartek” podporządkował się rozkazom i we wrześniu w fazę realizacji weszła operacja „Lawina”, w rzeczywistości tajna „Operacja B” przygotowana przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego i nadzorowana przez NKWD. Od 6 do 26 września 1946 r., w trzech transportach, z okolic Wisły wyjechało na Opolszczyznę łącznie ponad 100 żołnierzy NSZ, których na miejscu zamordowano. Pierwszą grupę rozstrzelano na sposób katyński, dwie kolejne grupy zostały unicestwione poprzez wybuch zaminowanych budynków, w których żołnierze NSZ byli zakwaterowani.

Likwidację partyzantów miała przeprowadzić specjalna jednostka NKWD, a kordon ochronny stanowiła wyselekcjonowana grupa 80 funkcjonariuszy UB i MO.

Kadra Zgrupowania NSZ, od lewej: kpt. Henryk Flame, st. sierż. Romuald Czarnecki, por. Jan Przewoźnik



Operacja „Lawina” sparaliżowała działalność Zgrupowania NSZ.

Śmierć dowódcy

„Bartek”, który o losie swoich podkomendnych dowiedział się od zbiegłego z pierwszego transportu partyzanta

Andrzeja Bujoka „Jędrka”, zaszył się w leśnych bunkrach, mając do dyspozycji kilka grup wypadowych. W grudniu, w serii obław, ostatnie grupy wypadowe NSZ zostały rozbite. W wigilię Bożego Narodzenia 1946 r. UB i wojsko przeprowadziło obławę na leśny bunkier „Bartka”. Komendant wyrwał się z obławy i schronił w bunkrze wybudowanym przez współpracowników NSZ. Spędził w nim całą zimę i ujawnił się z resztką podkomendnych w marcu 1947 r.

W Zgrupowaniu Oddziałów Leśnych VII Okręgu NSZ od maja 1945 r. do marca 1947 r. służyło ponad 320 żołnierzy. W tym okresie grupy wypadowe przeprowadziły ok. 360 akcji zbrojnych, skutecznie destabilizując proces wprowadzania komunizmu w regionie, likwidując m.in. komórki Polskiej Partii Robotniczej, których członkowie – jak za okupacji niemieckiej – byli zmuszeni przejść do konspiracji. W walce poległo ponad 50 partyzantów, 24 zostało rozstrzelanych, a ponad 100 zamordowano na skutek operacji „Lawina”.

Kpt. Henryk Flame „Bartek” został zamordowany 1 grudnia 1947 r. przez milicjanta Rudolfa Dadaka, prawdopodobnie z inspiracji katowickiego UB. Biegli sądowi stwierdzili u milicjanta niepczytalność, w ten sposób morderca „Bartka” uniknął kary.

Ostatni żołnierze wywodzący się ze zgrupowania NSZ z Beskidów zostali zamordowani w zasadzce UB 24 listopada 1950 r. Byli to Jan Filary „Ondraszek” i Władysław Szczotka „Orlik”.

„DARDANELE”.

DZIAŁALNOŚĆ DELEGATURY ZAGRANICZNEJ WiN



Proces Zarządu Głównego
Zrzeszenia Wolność
i Niezawisłość. Zeznaje
oskarżony Franciszek
Niepokólczycki, prezes ZG
WiN. Kraków, sierpień 1947 r.

FOT. PAP

23 WRZEŚNIA 1946 r.

**Z POKŁADU BELGIJSKIEGO STATKU „NELLY”
NA BRYTYJSKĄ ZIEMIĘ ZESZŁO DWÓCH
MĘŻCZYZN – JEDEN BYŁ OFICEREM, DRUGI
CYWILEM. NIE POJAWILI SIĘ ONI JEDNAK PO
INSTRUKCJE U CZŁONKÓW RZĄDU RP NA
UCHODŹSTWIE, JAK BYWAŁO TO WCZEŚNIEJ**



**PIOTR
RÓŻAŃSKI**

ch szef, płk Franciszek Niepokólczycki, przywódca nowej organizacji podziemnej w kraju Wolność i Niezawisłość (WiN), wysłał obu emisariuszy z misją pozyskania środków finansowych >>

» i wsparcia politycznego u rządów państw zachodnich dla idei walki z komunizmem.

„Rząd składa się z szeregu ludzi o bardzo przestarzałych poglądach, którzy również mają na celu przetrwanie choćby w marazmie, licząc na wytrzymałość fundamentów dla ich podtrzymania. Nie stanowi on żadnego twórczego ośrodka dyspozycyjnego, nie przejawiając nawet żadnej inicjatywy na terenie międzynarodowym. Brak uznania oficjalnego stoi na przeszkodzie działalności Rządu. Nawet jednak na terenie pracy organizacyjnej wśród rzesz emigrantów (w Niemczech) Rząd zupełnie nie przejawia inicjatywy. Ma jednak możliwości negatywnego działania: choćby wydania odezwy nie uznającej nas! Tego należy uniknąć za wszelką cenę, starając się uzyskać oficjalne, choć ciche uznanie nas za ruch polityczny na równi z istniejącymi partiami” – w takich słowach w 1946 r. Stefan Rostworowski „Ignacy”, współzałożyciel Delegatury Zagranicznej WiN, opisał polski rząd na obczyźnie.

zostało aresztowane przez UB. Rozkaz uległ dezaktualizacji. Emigracyjni politycy i wojskowi myśleli, że sprawa rozwiązała się sama. Tak się jednak nie stało. Roli restauratora rozbitych struktur WiN podjął się płk Franciszek Niepokólczycki „Teodor”, twórca akowskiego Kedywu. To głównie dzięki jego zaangażowaniu i poświęceniu organizacja przetrwała.

Nieufność rodaków

Zdając sobie sprawę z braku akceptacji polskiego rządu w Londynie dla swoich poczynań, płk Niepokólczycki postanowił iść inną drogą. Uznał on, że od teraz funkcję przewodnią będą pełnić siły krajowe. Ze strony emigracji liczył jedynie na zgodę i środki finansowe. Latem 1946 r. podjął decyzję, by do Londynu wysłać czterech delegatów nowej komórki WiN – Delegatury Zagranicznej o kryptonimie Dardanele. Z czterech wytypowanych konspiratorów w podróż ostatecznie

LATEM 1946 r. PŁK NIEPOKÓLCZYCKI PODJĄŁ DECYZJĘ, BY DO LONDYNU WYŚŁAĆ CZTERECH DELEGATÓW NOWEJ KOMÓRKI WiN – DELEGATURY ZAGRANICZNEJ O KRYPTONIMIE DARDANELE

Wojskowa samowolka

2 września 1945 r. w Warszawie powstała struktura konspiracyjna o nazwie Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość”. Decyzja o jej powstaniu ocierała się o wojskową samowolkę. Nie bacząc na brak jakichkolwiek rozkazów Naczelnego Wodza – o ironio! – swojego byłego dowódcy z Armii Krajowej gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora”, kilku jego byłych podwładnych z płk. Janem Rzepeckim „Ożogiem” na czele, postanowiło powołać tajną organizację niepodległościową. W statusie była zapisana jedynie działalność polityczna, dlatego wojskowi dowódcy stali się prezesami.

Naczelny Wódz – oburzony zaistniałą sytuacją – postanowił już miesiąc później wysłać specjalnego emisariusza do kraju z rozkazem rozwiązania WiN. Nim dotarł on na miejsce, całe kierownictwo

wyruszyło dwóch – przyszły kierownik ppłk Józef Maciołek „Roman” oraz Stefan Rostworowski „Ignacy”.

Już 24 września 1946 r. – nazajutrz po przybyciu – delegaci spotkali się z szefem wywiadu i kontrwywiadu wojskowego PSZ na Zachodzie płk. Stanisławem Gano, a następnie z szefem Sztabu Głównego gen. Stanisławem Kopańskim. O pierwszym spotkaniu Rostworowski pisał: „Ogólnikowa, charakter rozmowy trudny, nieufny, częściowo ze zrozumiałych względów wynikających z ostrożności. Wynosimy wrażenie oblania nas zimną wodą. Wszystko przedstawione w czarnych barwach”. Również gen. Kopański, wyznaczony przez władze brytyjskie na Generalnego Inspektora Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia, mającego pomóc przejść żołnierzom do cywila, zachowywał duży dystans w stosunku do nowo przybyłych.

Pomocni Belgowie

Emisariusze planowali wyruszenie z Wysp Brytyjskich do USA. Zamierzali oni przekazać osobiście memoriał do Rady Bezpieczeństwa ONZ i specjalny list do prezydenta Harry’ego Trumana, opisujący tragizm okupacji sowieckiej w Polsce. Jeszcze przed ich wyjazdem okazało się, że memoriał już w czerwcu 1946 r. do ambasady amerykańskiej w Warszawie dostarczył – działający trochę na własną rękę – ppłk Wincenty Kwieciński, prezes Obszaru Centralnego WiN. Ku ich zaskoczeniu, Amerykanie uznali go za „propagandowy liścik”. Ich wyjazd stał się bezcelowy.

Pomocną dłoń do polskich konspiratorów wyciągnął za to rząd belgijski. Podjął się on roli swoistego łącznika pomiędzy „Dardanelami” a krajem, wykorzystując swoją oficjalną pocztę dyplomatyczną do przetrzutu informacji i środków finansowych. Członek belgijskiego poselstwa w Warszawie Harold Eeman, który jako pierwszy zaoferował swoją pomoc, nie ukrywając swoich sympatii do Polaków, po latach wspominał: „W żadnym kraju, w którym kiedykolwiek podejmowałem swe zadania, nie miałem tak głębokiej sympatii dla społeczeństwa i tak nikłego szacunku dla jego władców. Prezydent Bierut arbitralnie uformował tymczasowy parlament, głównie złożony z komunistów, niekiedy nawet nie z Polaków. W tym jawnie niereprezentatywnym parlamencie Mikołajczyk, przywódca Partii Chłopskiej i kilku innych jego członków próbowało się teraz przeciwstawić stopniowemu narzucaniu praw mających przypieczętować los Polski jako wasala Związku Sowieckiego. Ich wysiłki były jednak próżne”.

Macki „Dardaneli”

Już wkrótce do Maciołka i Rostworowskiego dołączył płk Kazimierz Rolewicz „Kama” oraz por. Wacław Bniński „Wioślarz”. Pierwszy z nich – po nominacji na zastępcę Maciołka – przebywając w Paryżu, kierował drogami łączności między delegatami, a także drogą łączności, która przechodziła przez alianckie strefy okupacyjne Niemiec do strefy sowieckiej i dalej do Polski. Por. Bniński dzięki swoim liczным znajomościom w kręgach wpływowych polityków związanych ze Zgromadzeniem Ludu Francuskiego wydawnie pomagał płk. Rolewiczowi w jego poczynaniach. W okresie późniejszym,

dzięki wstawiennictwu swojego wuja kard. Adama Sapiehy, Bniński został stałym przedstawicielem WiN przy Stolicy Apostolskiej.

Na terenie Szwecji łącznikiem „Dardaneli” był Michał Lisiński „Svensson”. Działalność tej placówki, mającej kryptonim Łabędź, sprowadziła się głównie do utrzymywania łączności z krajem. Lisiński często ratował ludzi „spalonych”, przede wszystkim działaczy PSL i WiN.

W Belgii na stałe rezydował Stefan Rostworowski, który swym oddziaływaniem obejmował również Holandię i w obu tych krajach utrzymywał kontakty polityczne. Kierował on głównymi liniami łączności – belgijską o kryptonimie Kopalnia i holenderską o kryptonimie Huta. Do niego spływały z Londynu sprawozdania miesięczne oraz kwoty pieniężne otrzymane od różnych organizacji. Z Paryża natomiast Rolewicz przysyłał mu kwoty przyznawane z funduszu krajowego, w którego zasobach znajdowały się 2 mln dol., będące wojennym kredytem Amerykanów dla PSZ na Zachodzie.

Ppłk Maciołek nie ruszał się z miejsca, działając samodzielnie w Londynie. Żeby zapewnić mu wsparcie w negocjacjach z brytyjskim wywiadem MI6, Rostworowski poprosił swojego brata Jerzego – majora armii brytyjskiej z czasu wojny – o pośrednictwo w tych rozmowach. Niestety pierwsze negocjacje o pomocy finansowej dla działalności „Dardaneli” spaliły na panewce, głównie poprzez zakulisowe działania ppłk. Gano, uznającego delegatów WiN za zdrajców. Porozumienie zawarto dopiero wtedy, kiedy Brytyjczycy zdecydowali się odciąć od tego oficera i jego sugestii.

Przyjaciel zdrajcy

Jesienią 1947 r., po rozbiciu przez Urząd Bezpieczeństwa kolejnego, czwartego już z kolei Zarządu Głównego WiN, pozostali na wolności konspiratorzy zaproponowali ppłk. Maciołkowi powrót do kraju i objęcie kierownictwa nad całą organizacją. Szef „Dardaneli” czuł jednak pismo nosem, wyjazd odwlekał, wysyłając zarazem kolejnych kurierów do Polski po nowe wieści. Na początku 1948 r., ostrzeżony przez jednego z nich o znacznej penetracji struktur WiN przez UB, porzucił plany swojego powrotu. Nie uniknął on jednak wplątania swojej komórki w ubecką prowokację, jaką był utworzony przez nich fałszywy V ZG WiN. W jego oczach o au-

tentyczności tej formacji świadczyć miała obecność w jej kierownictwie Stefana Sienki. Przyjaźnili się od dawna. Pochodzili z jednej wsi na Rzeszowszczyźnie, a podczas wojny Sienko służył pod rozkazami Maciołka w Armii Krajowej. Poprzez grę operacyjną o kryptonimie Cezary, którą UB rozpoczęło od kwietnia 1948 r., próbowano wyłapać ostatnich winowców, a manipulując „Dardanelami”, planowano spenetrowanie i skompromitowanie wywiadów państw zachodnich.

Współpraca z CIA

Zamiast ppłk. Maciołka do Polski w listopadzie 1947 r. wyjechał kpt. Adam Borczyka „Tońko”. On również dobrze znał Sienkę i bardzo szybko uwierzył we wszystko, co tamten mówił. Aż do swojego aresztowania w kwietniu 1954 r. odbył on aż sześć wypraw do ojczyzny, podając UB „na tacy” punkty kontaktowe, dane personalne konspiratorów, materiały wywiadowcze oraz olbrzymie kwoty dolarów.

Już od końca 1948 r. podszywający się pod prezesa WiN tajny agent UB o pseudonimie Kos nalegał na podjęcie bliższej współpracy wywiadowczej „Dardaneli” z CIA. Ppłk Maciołek wiedziony tym tropem składał częste wizyty w Stanach Zjednoczonych, a w listopadzie 1950 r. w Londynie podpisał umowę o współpracy z kierownikiem placówki szkoleniowo-wywiadowczej CIA w Monachium. Zaczęto szkolić tam przyszłych dywersantów i sabotażystów mających podjąć działania na radzieckich liniach komunikacyjnych po rozpoczęciu III wojny światowej.

Ostatni cichociemny

W nocy z 4 na 5 listopada 1952 r. pod wsią Mzdowo – leżącą w odległości 40 km od Koszalina – wylądowało na spadochronach dwóch agentów. Jednym z nich był 23-letni nauczyciel Dionizy Sosnowski, drugim 40-letni były akowiec Stefan Skrzyszowski. Obydwaj ukończyli kursy radiotelegrafistów z elementami szkolenia dywersyjnego, nadzorowane przez instruktorów CIA w jednym z tajnych ośrodków na terenie erefenowskich Niemiec. Na lądowisku czekali na nich ubowcy udający konspiratorów. Przez miesiąc wyciągnęli oni od nich wszystkie istotne informacje na temat szkoleń w tajnych ośrodkach CIA i działalności delegatury Maciołka. Później aresztowano ich



FOT. ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

Odnazka pamiątkowa stowarzyszenia Wolność i Niezawisłość

i w pokazowym procesie skazano na karę śmierci, którą niezwłocznie wykonano. Stalinowskie władze wykorzystały proces propagandowo w perfekcyjny sposób. Po raz kolejny przedstawiono Amerykanów jako prowokatorów wojennych, a skoczków jako najemników żądnych przygód.

Maciołek na wariografie

W ostatnich dniach grudnia 1952 r. przyszedł pilny rozkaz z Moskwy nakazujący polskiej bezpiece zakończyć operację „Cezary”. Ujawnienie fikcyjnego V ZG WiN bardzo szeroko nagłośniono w pelerowskiej prasie i radiu. Przebywający od dłuższego czasu na placówce WiN w Monachium ppłk Maciołek na pierwszą wieść o tym nawet się nie przejął. W swoim raporcie ze stycznia 1953 r. dał do zrozumienia, że: „Zmyślona przez reżim historia o rzekomym dobrowolnym ujawnieniu się przywódców daje mu duże możliwości propagandowe, zniechęcając czynniki obce i emigrację polską do podsywania ruchu oporu w Kraju”. Amerykanie jednak nie kalkulowali. W błyskawicznym tempie zamknęli wszystkie placówki dywersyjno-spiegowskiego CIA na terenie zachodnich Niemiec, a samego Maciołka zatrzymali i podłączyli do wariografu. Z zarzutów udało mu się oczyścić, ale nie zwlekał już dłużej i niezwłocznie rozwiązał Delegaturę Zagraniczną.

Po zaprzestaniu działalności niepodległościowej ppłk Maciołek na stałe osiadł w Londynie. Utrzymywał się z wynajmowania lokali mieszkalnych. Na przełomie lat 60. i 70. esbecja próbowała nakłonić go do powrotu do kraju. Gdy zabiegi te nie odniosły skutku, został dotkliwie pobity przez nieznanych sprawców. Zmarł kilka lat później w 1973 r.

RADZIECKA SPRAWIEDLIWOŚĆ W SŁUŻBIE ŚWIATA

Jednostka 731 była tajną
biologiczno-chemiczną bojową
jednostką badawczo-rozwojową
Cesarskiej Armii Japońskiej, która
podjęła śmiertelne eksperymenty
na ludziach



„OSOBY PODDAWANE ZARAŻENIU LECZONO, PRÓBUJĄC RÓŻNYCH METOD, ODŻYWIANO NORMALNIE I POTEM, GDY OSTATECZNIE WYZDROWIAŁY, UŻYWANO JE DO NASTĘPNEGO EKSPERYMENTU, ZARAŻAJĄC INNYMI RODZAJAMI BAKTERYJ... ŻYWYM Z TEJ FABRYKI ŚMIERCI NIKT NIGDY NIE WYCHODZIŁ” – Z WYJAŚNIEŃ KAWASHIMA KIOSHI, JAPOŃSKIEGO LEKARZA BAKTERIOLOGA



**GRZEGORZ
SZYMBORSKI**

Kłeska orzekającego w 1921 r. trybunału lipskiego, nie bez powodu przezwany lipnym, stanowiła bolesną lekcję dla aliantów, gdy starali się pociągnąć do odpowiedzialności zbrodniarzy II wojny światowej. Proces przed trybunałem w Norymberdze przeszedł do historii. W jego cieniu pozostaje inny proces, w odróżnieniu od norymberskiego, kierowany wyłącznie ręką sowieckiej sprawiedliwości.

Ludobójcy pod sąd

W końcu 1949 r. w Wojskowym Sądzie Okręgu Morskiego w odległym Chabarowsku sądzono pochwyconych przez Rosjan japońskich wojskowych prowadzących badania nad bronią bakteriologiczną. Na ławie oskarżonych zasiadło 12 wysokich rangą oficerów z grona setek osób odpowiedzialnych za uprawianie nieludzkiego procederu. Pośród nich znaleźli się: gen. Yamada Otozoo, od 1944 r. wódz armii kwantuńskiej; Kajitsuku Rjiuji, szef służby zdrowia armii kwantuńskiej od 1939 r., bezpośrednio kierujący pracami okrytej złą sławą Jednostki nr 731; Takahashi Takaatsu – kierownik bliźniaczej placówki „naukowej” – Jednostki nr 100; Sato Sjundzi – kierownik ekspozytury nr 643, jak i wielu innych bakteriologów uczestniczących w uśmiercaniu więźniów. Wymienieni powyżej zostali oskarżeni o przewodnictwo w działalności mającej na celu produkcję broni bakteriologicznej przeciwko ZSRS i Chinom. Pięciu kolejnym „lekarzom” zarzucono czynny udział w badaniach i produkcji broni w celu masowej zagłady ludzi, trzem zaś postawiono zarzut pracy w tychże fabrykach śmierci,

mimo że byli wyłącznie wykonawcami woli przełożonych.

16 grudnia 1949 r. po zakończeniu śledztwa wojskowy prokurator nadmorskiego okręgu wojskowego płk A. Berezowski wniósł akt oskarżenia przeciwko japońskim jeńcom wojennym. Otwarta dla publiczności rozprawa prowadzona przez czterech sędziów pod przewodnictwem generała-majora służby sprawiedliwości D.D. Czertkowa odbyła się w dniach 25-30 grudnia 1949 r. Rzecznikiem oskarżenia z ramienia ZSRS był państwowy radca sprawiedliwości III stopnia Smirnow. Podstawę wyrokowania stanowił Dekret Prezydium Rady Najwyższej ZSRR „O karaniu niemiecko-faszystowskich przestępców winnych zabójstw i znęcania nad ludnością cywilną i jeńcami czerwonoarmistami, szpiegów, zdrajców ojczyzny i ich pomocników” z 19 kwietnia 1943 r. Co ciekawe, ów akt, kwalifikujący przestępców także według narodowości, nie wspominał nic o Japończykach. Dekret ten przewidywał karę śmierci wobec skazanych przez sądy wojenno-polowe i trybunały wojenne. Gdy na Dalekim Wschodzie toczył się chabarowski proces, w ZSRS nie obowiązywał już jednak ten wymiar kary. Zniesiony stalinowskim dekretem z 26 maja 1947 r. został zastąpiony karą 25 lat przymusowych robót.

Cały proces był bardziej zbliżony do politycznej manifestacji niż uczciwego wymierzania sprawiedliwości, choć Trybunał powołał komisję biegłych z zakresu medycyny i bakteriologii. Akt oskarżenia akcentował imperialistyczne zakusy Japonii, a kręgi decydentów nazywano w nim, jak w i całym procesie „kliką rządzącą”. Trudno także mówić o międzynarodowym charakterze sprawy. Oskarżyciel bowiem działał na podstawie aktu prawa wewnętrznego ZSRS i starał się ponad wszelką wątpliwość wykazać, jak wielkie zagrożenie Japonia stanowiła dla ojczyzny komunizmu. Powoływał się przy tym na... artykuł prasowy jednego z ideologów japońskich Hashimoto Kingoro, który w tekście z 5 stycznia 1942 r. wytyczał

obszar zwany „Strefą Imperium Wielkiej Azji Wschodniej”, w skład której wchodzić miały m.in. terytoria ZSRS.

Prawda wychodzi na światło dzienne

Śledztwo miało na celu ustalenie faktów związanych z działalnością laboratoriów utworzonych przez Ministerstwo Wojny i Sztab Generalny. Oba obozy – Jednostka nr 731 i Jednostka nr 100 – powstały w Mandżurii na mocy tajnego rozkazu cesarza Hirohito, a znanymi sobie numerami zaszyfrowano je w 1941 r. Wobec podległości armii kwantuńskiej funkcjonowały one w ramach odrębnego budżetu i nie istniała potrzeba składania sprawozdań z ich działalności przed parlamentem, który pozostawał nieświadomy aktywności tych placówek.

Na czele Jednostki nr 731 stanął główny ideolog wojny bakteriologicznej i jej pomysłodawca Shiro Ishii. Bliźniaczy oddział – dowództwo Jednostki nr 100 objął generał-major Wakamatsu. Obie jednostki pracowały głównie nad wykorzystaniem do celów wojennych bakterii: dżumy, cholery, zgorzeli gazowej, zarazy syberyjskiej, duru brzuszego i paratyfusu. Eksperymenty przeprowadzano głównie na Chińczykach, Koreańczykach i Mandżurach, ale na liście ofiar znajdowali się też Rosjanie i Amerykanie.

Przejmujące grozą były opisy eksperymentów na żywych ludziach, nazywanych przez pracowników pogardliwie „kłodami”. Generał Yamada przyznawał, że zgoda udzielona na przeprowadzenie doświadczeń była równoznaczna z przyzwoleniem na śmierć. Kawashima Kiyoshi wyjaśniał, że rocznie w murach więzienia i na poligonie doświadczalnym Jednostki nr 731 ginęło nie mniej niż 600 osób. Zwłoki palono w krematorium. Na wypadek wojny z ZSRS prowadzono badania nad odmrożeniami kończyn. Badano także wytrzymałość ludzi w komorach ciśnienia, co później oskarżyciel wskazał per analogiam jako jedno >>

» z największych okrucieństw, które w Norymberdze przypisano niemieckiemu dr. Rasherowi z obozu w Dachau.

Nie mniej niż same okrucieństwa sokuje także postawa uczestników tych pseudoeksperymentów. Jak zeznawał Nishi Toshihide: „szkolenie kadr odbywało się drogą organizowania przez szkoleniowy oddział zebrań, kursów i jednorocznej nauki dla osób przybywających z Japonii, zwerbowanych do pracy w jednostce nr 731, głównie młodzieży w wieku 17-18 lat. [...] na kursie instruktazowym zwracano szczególną uwagę na konieczność utrzymania w tajemnicy prowadzonych w jednostce prac”. Mitomo Kazuo, który na więźniach potrafił wykonywać różne doświadczenia, i to po kilka razy, przy opisie zaaplikowania jednemu z nich trucizny wyjaśniał: „Dając taką dawkę heroiny, wiedzieliśmy, że jest ona śmiertelna, lecz było nam obojętne, czy więzień umrze, czy będzie żył”. Załączony do akt sprawy jako dowód podręcznik służby dywersyjnej zawierał wstrząsające pouczenia. Nie dziwi więc dyrektywa: „Nikt nie może wiedzieć o stosowaniu tortur. W żadnym wypadku nie mogą o tym wiedzieć inni jeńcy. Ważne jest przedsięwzięcie takich kroków, aby nie słysząc było krzyków”.

Na pierwszym planie... Związek Sowiecki

Wszyscy oskarżeni w trakcie procesu przyznali się do winy. Aktywność obrońców w sprawie została ograniczona do minimum. W mowie końcowej adwokat Sannikow twierdził: „biorąc pod uwagę fakt przyznania się oskarżonego do winy, należałoby dojść do wniosku, że mnie jako obrońcy Kajitsuka nie pozostało nic tu do zrobienia i mowa moja jest zbyteczna”.

Przemówienie końcowe oskarżyciela Smirnowa było jedną wielką pochwałą na cześć socjalizmu. Twierdził, że: „pokój na Radzieckim Dalekim Wschodzie utrzymał się jedynie dzięki genialnej polityce stalinowskiej, w wyniku zwycięskiego wykonania pięciolatek stalinowskich, w wyniku nieustającej troski partii bolszewickiej i rządu radzieckiego i umocnienia Radzieckich Sił Zbrojnych. [...] Związek Radziecki od pierwszych dni swego istnienia stale i konsekwentnie walczył o trwały demokratyczny pokój. Jako prawdziwa twierdza pokoju i głosiciel idei humanizmu socjalistycznego, Związek Radziecki, krocząc na czele sił demokratycznych świata, stanowczo odrzuca uży-



wanie nieludzkich środków zagłady masowej. Dlatego właśnie wbrew wszystkim wysiłkom podżegaczy wojennych z bloku anglo-amerykańskiego Związek Radziecki już od szeregu lat walczy w Organizacji Narodów Zjednoczonych o bezwzględny zakaz broni atomowej”. Smirnow przytaczał także protokół genewski z 17 czerwca 1925 r. „o zakazie użycia podczas wojny duszących, trujących lub innych podobnych gazów i środków bakteriologicznych” jako podstawę prawnomiędzynarodową limitacji stosowania opracowywanej przez Japończyków broni.

Ostatecznie Smirnow zażądał różnych wymiarów kary dla poszczególnych oskarżonych – od kary 25 lat ciężkich robót dla decydentów po karę trzech lat więzienia dla wykonawców.

Za podstawę obrony adwokaci przyjęli próbę wyjaśnienia psychologicznych motywów postępowania swoich klientów. Jak bowiem przyznał adwokat gen. Yamada, Biełow, „największa trudność obrony w toczącym się procesie sądowym polega na tym, że nie ma tu miejsca na jakiegokolwiek dyskusję co do samych faktów i dowodów rzeczowych. [...] oczywiście nie mam zamiaru bronić tych zaiste wyjątkowo ciężkich przestępstw”. Odnosił się raczej do socjologicznych uwarunkowań. W swej mowie powoływał się na Marksa i Engelsa, tłumacząc, że środowisko i warunki bytu społecznego tak, a nie inaczej ukształtowały umysł byłego naczelnego dowódcy armii kwantuńskiej. Oskarżał tu... Niemców, których misja wojskowa długo inspirowała Japończyków, przez co Japonia miała być nazywana „Prusami Wschodu”. Adwokat Sannikow broniący Kajitsuka Rjuji tłumaczył go faktem, że

wobec pobierania w czasie studiów stypendium państwowego musiał następnie odbyć obowiązkową służbę wojskową. Obrońca Takahashi Takaatsu – adwokat Zwieriew – argumentował z kolei: „Główni ideolodzy i organizatorzy wojny bakteriologicznej, którzy powinni ponosić nie mniejszą, ale większą odpowiedzialność niż oskarżeni w niniejszym procesie, przebywają poza granicami Związku Radzieckiego i na ławie oskarżonych ich nie widzimy”.

Wyrok

30 grudnia 1949 r. Trybunał Wojenny w imieniu Związku Socjalistycznych Republik Rad skazał Yamada Ootzoo, Kajitsuka Rjuji, Kawashima Kyoshi i Takahashi Takaatsu na 25 lat poprawczego obozu pracy. Dwie osoby skazano na 20 lat, jedną na 18, a najniższy wymiar kary sięgnął raptem dwóch lat pobytu w obozie. Wojskowe Kolegium Sądu Najwyższego wyrok ten zatwierdziło.

Czy jakakolwiek z wypowiedzi uwiecznionych w opublikowanych protokołach zasługuje na uwzględnienie jako puenta? Niech taką stanowi ostatnie słowo skazanego na 10 lat Hirasakura Zensaku, który stwierdził, że: „surowe ukaranie nas, uczestników przygotowań do wojny bakteriologicznej, będzie ostrzeżeniem i nauką dla tych przestępców, którzy jeszcze obecnie usiłują przygotować drugą wojnę bakteriologiczną. Mam nadzieję, że ci, którzy ponoszą winę za przygotowanie wojny bakteriologicznej i są najbardziej odpowiedzialni za te przygotowania, a mianowicie cesarz japoński Hiroshito, generał Ishii i generał Wakamatsu będą surowo ukarani”. 1 lutego 1950 r. ZSRS wystosował notę do USA, Wielkiej Brytanii i Chin o poddanie jurysdykcji Międzynarodowego Trybunału kolejnych zbrodniarzy wojennych na czele z cesarzem i generałem Ishii. Obiecywał udostępnienie materiałów z Chabarowska. Angielska gazeta „Spectator” w numerze z 30 grudnia 1949 r. widziała w żądaniach Moskwy oskarżenie USA o zbyt łagodne traktowanie japońskich decydentów. Eskalacja konfliktu między Zachodem i ojczyzną komunizmu doprowadziła do wzajemnych oskarżeń i rywalizacji, nawet na polu powojennych rozliczeń. Podobnie jak po wydarzeniach I wojny światowej, tak i teraz spod ślepego miecza Temidy uszli bezpośredni sprawcy ogólnoświatowego horroru.

Papież Paweł VI
i kardynał
Karol Wojtyła,
Watykan 1977 r.



KS. JÓZEF
MARECKI

ZANIM ZOSTAŁ PAPIEŻEM

NIEWĄTPLIWIE
TEN PIERWSZY –
TRWAJĄCY 58 LAT
– OKRES JEGO ŻYCIA
ODCISNĄŁ SWOISTE
PIĘTNO NA DŁUGIM,
BO LICZĄCYM NIEMAL
27 LAT, PAPIESKIM
PONTYFIKACIE

FOT. ARCHIWIO FELICIAST NEWS

Ale też uczynił z Karola Wojtyły świętego całkowicie oddanego Bogu i ludziom, z pokorą przyjmującego wyroki Opatrzności oraz człowieka wiary oddającego się modlitwie i kontemplacji. O ile znany jest nam dzięki wnikliwym biografom i dziennikarzom okres życia spędzonego w murach Watykanu, to ciągle niezbędne jest prowadzenie studiów i pogłębianie

refleksji nad pierwszym okresem życia późniejszego papieża. Oczywiście, chodzi nie tyle o daty i znane powszechnie fakty z życia młodego Karola, później kapłana, biskupa i kardynała, ile o ukazanie roli, jaką odegrał w Kościele polskim i Kościele powszechnym, przedstawienie rozwoju jego poglądów filozoficznych i etycznych oraz teologicznych, jego wizji i koncepcji Kościoła w okresie „aggiornamento” po Soborze Watykańskim II, a także modelu

prowadzenia duszpasterstwa w krajach zniewolonych przez komunizm.

Podczas Soboru Watykańskiego II

Karol Wojtyła brał aktywny udział w obradach Soboru Watykańskiego II. Uczestniczył we wszystkich sesjach soborowych. W późniejszych latach podkreślał, że Sobór był wielkim przeżyciem >>

» zarówno dla Kościoła, jak i samego przyszłego papieża. Wojtyła bardzo angażował się w przebieg obrad soborowych, prace poszczególnych komisji, spotkania z pozostałymi ojcami soborowymi, gdyż uważał, że obrady soborowe to „seminarium Ducha Świętego” oraz „doświadczenie uniwersalnej wspólnoty” w aspekcie eklezjalnym. Brał udział w przygotowaniu kilku ważnych schematów dokumentów soborowych i zabierał głos podczas posiedzeń plenarnych. Głośne było wystąpienie Wojtyły podczas II sesji plenarnej, gdy zabierał głos na temat granic wolności religijnej. Był jednym z niewielu ojców soborowych, którzy najczęściej zabierali głos podczas sesji plenarnych. Brał udział w komisji teologicznej pracującej na ostatecznym projekcie Konstytucji duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym „Gaudium et spes”.

Wielu wybitnych hierarchów kościelnych z czasem podkreślało, że wkład abp. Karola Wojtyły w Sobór był wyjątkowy, bogaty w sensie ilościowym i doktrynalnym. Warto zaznaczyć, że francuski teolog Henri de Lubac po spotkaniu z Karolem Wojtyłą był tak oczarowany jego wizją Kościoła, iż publicznie stwierdził, że następcą Pawła VI będzie nie kto inny jak właśnie metropolita krakowski.

Po powrocie z kolejnych sesji soborowych i po posiedzeniach komisji w Rzymie podczas spotkań z kapłanami, klerykami i wiernymi archidiecezji składał relacje z obrad, informował o postępach prac, o nastrojach wśród ojców soborowych.

Stosunek do papieża Pawła VI

Karol Wojtyła sakrę biskupią otrzymał w sierpniu 1958 r., w okresie pontyfikatu Piusa XII. Przyszły papież Paweł VI był wówczas arcybiskupem Mediolanu. Giovanni Battista Montini miał za sobą niezwykłą karierę. Po ukończeniu Uniwersytetu Gregoriańskiego i Kościelnej Akademii Szlacheckiej (szkoły dyplomacji papieskiej) pracował m.in. w dyplomacji papieskiej, był sekretarzem nuncjusza Lorenzo Lauriego w Polsce (1923), pracował w Sekretariacie Stanu, był narodowym kościelnym asystentem sekcji uniwersyteckiej Akcji Katolickiej dla Włoch, substytutem w sekretariacie stanu, prosekretarzem stanu dla bieżących spraw kościelnych, a od 1954 r. arcybiskupem Mediolanu. Duszpasterzował wśród robotników i studentów.

Gdy w grudniu 1958 r. otrzymał kreację kardynalską, Karol Wojtyła był już krakowskim biskupem. 21 czerwca 1963 r. Montini został wybrany na papieża. Rok później mianował krakowskiego sufragana arcybiskupem i metropolitą, a 26 czerwca 1967 r. – kardynałem.

Paweł VI był niewątpliwie protektorem Karola Wojtyły. Wybitny znawca współczesnych dziejów Kościoła krakowskiego, nieżyjący już ks. prof. Bolesław Przybyszewski, uważał, że wspomniani hierarchowie spotkali się podczas obrad Soboru Watykańskiego II. Kard. Montiniemu imponował skrupulatnie robiący notatki bp Wojtyła, aktywny podczas dyskusji kularowych i odważnie zabierający głos podczas posiedzeń plenarnych. Późniejszy metropolita wyróżniał się elokwencją i wiedzą. Prof. Przybyszewski podkreślał, że Montini wiedział, iż bp Wojtyła pochodzi z diecezji, której długoletnim pastorem był kard. Adam S. Sapieha. A przecież ta postać była bardzo dobrze znana na salonach watykańskich. Krakowski metropolita był bowiem niekwestionowanym autorytetem polskiego Kościoła w pierwszych latach po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, w okresie międzywojennym, podczas niemieckiej okupacji Polski w latach komunistycznego zniewolenia. Młody bp Karol Wojtyła już w okresie Soboru Watykańskiego II był postrzegany przez przyszłego Pawła VI jako następcą Sapiehy na terenie krakowskiej metropolii kościelnej.

Wyrazistym elementem promowania przez Pawła VI krakowskiego metropolity było zaproszenie go do wygłoszenia wielkopostnych rekolekcji w marcu 1976 r. dla pracowników Kurii rzymskiej. Kard. Karol Wojtyła rozważania opierał na myślach zawartych w konstytucji duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym „Gaudium et spes”, podkreślając, że tajemnica dziejów i działalności człowieka znajduje swe pełne wyjaśnienie w tajemnicy Słowa Wcielonego. Dodać należy, że w latach 70. XX w. w archidiecezji krakowskiej odbywał się synod duszpasterski, który był pokłosiem Soboru Watykańskiego II i próbą jego percepcji na terenie Kościoła krakowskiego. W rozważaniach rekolekcyjnych kard. Wojtyły wygłoszonych dla Ojca Świętego i pracowników Kurii Rzymskiej odnajdziemy wiele myśli, wskazań i idei, które zostały wypracowane przez uczestników sesji synodalnych.

Kard. Wojtyła odnosił się z wielkim szacunkiem do Pawła VI jako następcy

św. Piotra i głowy Kościoła katolickiego. Cenił go za dokończenie Soboru Watykańskiego II i wdrażanie jego postanowień w życie. Wielokrotnie podkreślał, że Paweł VI jest świętobliwym pastorem Kościoła niezwykle oddanym polskim katolikom. Znał niezrealizowane pragnienie Pawła VI związane z zamiarem przybycia do Częstochowy w 1966 r. celem uczczenia milenium chrztu Polski.

Współpraca przy encyklikach

W ostatnich miesiącach życia papież Jan XXIII powołał zespół ekspertów, który miał się zająć kwestiami życia małżeńskiego oraz etycznych regulacji poczęć, co miało być poniekąd odpowiedzią na oczekiwania wielu katolików będących pod presją przetwarzającej się wówczas rewolucji obyczajowej. Papież pragnął, by Nauczycielski Urząd Kościoła zdecydowanie wypowiedział się na temat pozamałżeńskiego życia seksualnego i wolnych związków, akceptowania homoseksualizmu i stosowania farmakologicznych środków antykoncepcyjnych. W okresie pontyfikatu Pawła VI wspomniany zespół został znacznie poszerzony. Okazało się, że wspomniany zespół nie tylko nie wypracował jednolitego stanowiska, ale podzielił się, forsując poglądy niezgodne z nauką Kościoła. W tej sytuacji Paweł VI zdecydował się wyłożyć tradycyjną doktrynę kościelną dotyczącą nierozzerwalności małżeństwa i poszanowania życia poczętego opartą na pogłębionej refleksji teologicznej.

Do współpracy nad przygotowaniem konspektu encykliki, która ukazała się 25 lipca 1968 r. i rozpoczynała się od słów „Humanae vitae”, papież Paweł VI poprosił kard. Karola Wojtyłę. Krakowski hierarcha w trakcie przygotowania tekstów, które z kolei przekazywał Ojcu Świętemu, korzystał z opinii i konsultacji dużej grupy lekarzy, farmaceutów, filozofów, etyków, teologów, psychologów i psychiatrów oraz odbywał liczne spotkania z małżonkami, z którymi dyskutował nad wcześniej przygotowanymi kwestiami. Spotkania, mimo że miały pozornie charakter towarzyski, zawsze rozpoczynano i kończono modlitwą lub rozważaniem Pisma św. Materiał opracowany przez kard. Wojtyłę był nie tyle teoretycznym rozważaniem i kompilacją różnych poglądów, ile przedyskutowanymi podczas spotkań kwestiami wzbogaconymi o refleksje teologiczne.

W tym samym niemal czasie, gdy wokół Wojtyły gromadziły się osoby podejmujące pod jego kierunkiem rozważania dotyczące przyszłych treści „Humanae vitae”, rozwijały się na terenie archidiecezji krakowskiej duszpasterstwo rodzinne i poradnictwo przedmałżeńskie. Warto dodać, że już w 1959 r., a więc rok po otrzymaniu sakry biskupiej, Karol Wojtyła podczas wizytacji parafii propagował te formy duszpasterstwa jako odpowiedź na laicyzację społeczeństwa i pierwsze przejawy negatywnych przemian życia obyczajowego w Polsce.

Kontakty z episkopatami

Kard. Karol Wojtyła z racji uczestniczenia w obradach soborowych i dzięki osobistym kontaktom z wieloma hierarchami posiadał doskonałe rozeznanie w składzie i działalności poszczególnych episkopatów. Odbył wiele indywidualnych spotkań z poszczególnymi hierarchami z okazji obrad soborowych, pracy w komisjach, wizytach w Stolicy Apostolskiej. Podczas pobytu w Rzymie wielokrotnie brał udział w wywiadach dla Radia Watykańskiego, które w różnych językach były transmitowane na cały świat. Tematem wywiadów była nie tylko sytuacja Kościoła katolickiego w krajach komunistycznych, lecz także wizja i rola Kościoła katolickiego w zmieniającej się sytuacji społeczno-politycznej na poszczególnych kontynentach. Innym, wielokrotnie poruszonym tematem była godność osoby ludzkiej i odpowiedzialność każdego chrześcijanina wynikająca z wolności religijnej. W czerwcu 1967 r. papież Paweł VI mianował kard. Wojtyłę członkiem Kongregacji Soboru (później nosiła ta kongregacja tytuł ds. Duchowieństwa). W 1975 r. z nominacji Pawła VI został członkiem nowo powołanej Kongregacji ds. Sakramentów i Kultu Bożego. Spotkania różnych hierarchów pracujących w kongregacjach były okazją do wymiany poglądów o sytuacji duchowieństwa i wiernych w poszczególnych częściach świata. Kard. Wojtyła w wywiadach radiowych, a kilkakrotnie także w watykańskiej i włoskiej telewizji wykorzystywał doświadczenie zdobywane podczas licznych podróży zagranicznych. Na przestrzeni 15 lat, od zakończenia trzeciej sesji Soboru Watykańskiego II odbył ich kilkanaście. Odbył też wiele podróży po Włoszech, np. z racji synodów biskupich.

W początkach grudnia 1963 r. odwiedził Ziemię Świętą. Przebywał tam 10 dni. Czas pobytu wykorzystywał na indywidualną modlitwę w miejscach świętych, na spotkania z przedstawicielami innych Kościołów chrześcijańskich i hierarchami katolickimi różnych obrządków. Sporządził liczne notatki, które w przyszłości posłużyły mu do publikacji kilku artykułów w „Znaku”. Wielokrotnie wyjeżdżając do Rzymu, zatrzymywał się w Wiedniu, gdzie spotykał się z kard. Franzem Königiem. W 1967 r. przebywał w Niemczech i Austrii, gdzie m.in. odwiedził niemiecki obóz koncentracyjny w Mauthausen. W drodze powrotnej do Polski pielgrzymował w Wiedniu na Kahlenberg związany z królem Janem Sobieskim i jego zwycięską bitwą nad Turkami w 1683 r.

GŁOŚNE BYŁO WYSTĄPIENIE WOJTYŁY PODCZAS II SESJI PLENARNEJ, GDY ZABIERAŁ GŁOS NA TEMAT GRANIC WOLNOŚCI RELIGIJNEJ

W sierpniu i wrześniu 1969 r., już jako kardynał, odwiedził Kanadę i Stany Zjednoczone. Odbył wiele spotkań z amerykańskimi kardynałami i biskupami, a także z przedstawicielami Polonii. W lutym 1973 r. wyjechał na Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny do australijskiego Melbourne. Przy okazji odwiedził środowiska polonijne m.in. w Sydney i Brisbane. Pobyt na kongresie wykorzystał na spotkania i wymianę poglądów z hierarchami z innych kontynentów. Był także w Belgii (maj 1973). Warto dodać, że w roku następnym, 16 kwietnia 1974 r., uczestniczył w pogrzebie kard. Stefana Trochty w czeskich Litomierzycach. Wygłosił tam odważne przemówienie, w którym m.in. odniósł się do trudnej sytuacji Kościoła katolickiego w krajach komunistycznych. Jesienią 1976 r. przebywał w Niemczech i we Włoszech. Z kolei

w lipcu, sierpniu i wrześniu przebywał w USA, uczestnicząc w Międzynarodowym Kongresie Eucharystycznym. Odwiedził także Kanadę, a w drodze powrotnej Włochy. Na kontynencie amerykańskich na konferencjach wygłosił wiele wykładów i odczytów. W 1977 r. przebywał w Niemczech i w Rzymie, gdzie brał udział w IV sesji zwyczajnej Synodu Biskupów, a we wrześniu roku następnego wraz z innymi polskimi biskupami pielgrzymował do niemieckiego obozu koncentracyjnego w Dachau; przebywał w Fuldzie, złożył wizytę w nuncjaturze w Bonn i ambasadzie PRL w Kolonii.

Wspominam o kontaktach kard. Karola Wojtyły z wiernymi i hierarchami różnych krajów dlatego, by ukazać, że w 1978 r. pochodził On co prawda z „dalekiego kraju”, ale dzięki wspomnianym kontaktom z kapłanami, biskupami, kardynałami i wiernymi na wielu kontynentach znał problemy współczesnego Kościoła i miał bardzo wyrazistą koncepcję realizowania jego przyszłości.

Po śmierci Jana Pawła I

W dniu 1 października 1978 r. kard. Karol Wojtyła, który kilka dni wcześniej powrócił do Krakowa z Rzymu, na wieść o śmierci Jana Pawła I wygłosił w kościele Mariackim kazanie poświęcone zmarłemu papieżowi. Podkreślał zasługi zmarłego, jego dobroć i oryginalność, ale – co zauważyli słuchacze – unikał jakichkolwiek komentarzy o przyszłym konklawie i ewentualnych kandydatach. Nikt jeszcze nie wiedział, że w kręgach watykańskich już od 1972 r. (a co odnotowali wówczas konfidenti Służby Bezpieczeństwa) mówiło się o Karolu Wojtyle jako poważnym następcy Pawła VI. Dla wielu watykanistów w połowie lat 70. XX w. był niekwestionowanym „papabile”.

16 października 1978 r. nie tylko dla Polaków, ale i dla Kościoła powszechnego rozpoczęła się nowa epoka. W ósmym głosowaniu na konklawie, a czwartym w tym dniu, kardynałowie wybrali następcę św. Piotra Apostoła. Najpierw kard. Pericle Felici ogłosił „Habemus Papam!... Cardinalem Wojtyła”, a kilka miesięcy później tenże Carolus Wojtyła jako Jan Paweł II i syn polskiej ziemi dokonał swoistej sakralizacji i bierzmowania Ojczyzny, wołając na centralnym placu stolicy: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi”. I rzeczywiście, dla Polski i Polaków rozpoczęła się nowa epoka...

Bohaterowie Polskiego Sportu

część 2.

Igrzyska zamiast chleba

Michał Muzyczuk

PRL była państwem z wieloma problemami, które bezpośrednio wynikały z ułomności socjalistycznego ustroju. Polaków pod względem poziomu życia dzielił ogromny dystans od społeczeństw Zachodu. Sport w PRL miał się tak dobrze, bo gdy nie ma chleba, warto ludziom zapewnić przynajmniej igrzyska. Ale inną przyczyną wielkich sukcesów było masowe uprawianie przeróżnych sportów, co było jedną z największych rozrywek i przyjemności w szarej codzienności „realnego socjalizmu”

Po wojnie po raz kolejny w swojej historii Polska musiała się odbudowywać, bo przecież w wielu miejscach Niemcy i Rosjanie nie pozostawili kamienia na kamieniu. Dotyczyło to także infrastruktury sportowej. Największą popularnością cieszyła się oczywiście piłka nożna, bo do jej uprawiania grupa chłopaków potrzebowała tak naprawdę jedynie piłki. Młodzież garnęła się także do salek bokserskich i na lekkoatletyczne bieżnie, a zimą w całym kraju obłęzenie przeżywały zamrożone jeziora, stawy i boiska, na których miliony Polaków jeździły na zrobionych domowymi sposobami łyżwach. Z dzisiejszej perspektywy, naznaczonej większą chęcią do grania na konsoli niż kopania piłki, skala i powszechność ówczesnej aktywności fizycznej wydaje się wręcz niesamowita. Gdy ktoś miał odpowiednią dawkę talentu i samozaparcia, aby w końcu stać się „profesjonalnym” sportowcem, mógł się cieszyć lepszym życiem niż większość społeczeństwa. Oczywiście nie ma mowy o jakichkolwiek porównaniach do zarobków piłka-



FOT. AP PHOTO

Trójskoczek Józef Szmidt, podwójny mistrz olimpijski w 1960 i 1964 r.

rzy lub kolarzy na Zachodzie, ale przydział M3 i talon na polskiego fiata lub meblościankę nie były przecież dobrem powszechnym. Wyjazdy na zagraniczne zawody były z kolei okazją do dorobienia sobie drobnym handlem. W czasach,

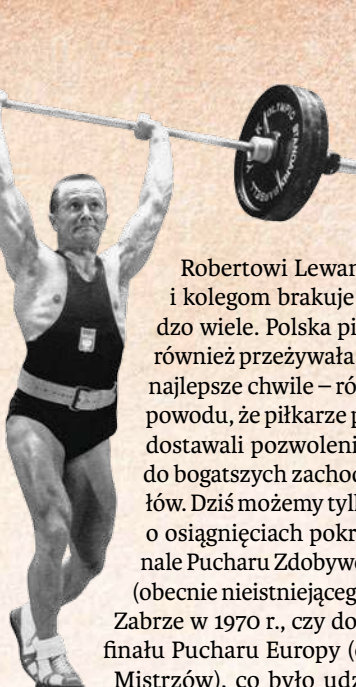
gdy posiadanie paszportu było luksusem zarezerwowanym dla nielicznych, sportowcy byli grupą, która mogła naocznie poznać sławetną „zgniliznę Zachodu” – niektórzy tak w niej zasmakowali, że zdecydowali się już do kraju nie wracać.

Sportowe sukcesy były zaprzęgane w służbę propagandzie PRL, która przekonywała o wyższości socjalistycznego wychowania w duchu fizycznej ciężkiej pracy nad kapitalistycznym rozpascaniem i dekadencją. Wszystko musiało być największe i najlepsze, więc budowano gigantyczne stadiony, jak Stadion Śląski w Chorzowie czy Stadion Dziesięciolecia w Warszawie, i efektowne hale, wśród których wybijał się katowicki Spodek. Kluby sportowe stały się oczkiem w głowie odpowiednich ministerstw; szczególnie silnie wspierane były przykopalniane kluby górnicze oraz tzw. kluby resortowe – wojskowe i milicyjne. Transfery zawodników między poszczególnymi zespołami były sprawami wagi państwowej, a do ich przeprowadzania włączały się najwyższe czynniki partyjne. Słynne są już przypadki, w których przejście do warszawskiej Legii czy wrocławskiego Śląska było wymuszane

Sztangista Waldemar Baszanowski, zdobywca tytułów mistrza olimpijskiego w 1964 i 1968 r.

poprzez wręczanie zawodnikowi biletu do wojska. Gdy już sportowiec był w danym klubie, nie pobierał z niego wynagrodzenia, bo profesjonalizacja sportu była wtedy w Polsce abstrakcją. W ten sposób na kopalnianych, stoczniowych lub fabrycznych etatach zatrudniano tysiące pracowników, których jedyną funkcją był co miesiąc odbiór wypłaty, bo przecież na co dzień zajmowali się treningami i reprezentowaniem przyzakładowego klubu.

Piłka nożna była sportem numer jeden i mogliśmy się pochwalić nie lada osiągnięciami. Polacy zdobywali brąz na mundialach w 1974 i 1982 r., srebro na igrzyskach w 1976 r., a cztery lata wcześniej zostali mistrzami olimpijskimi. Dekada największych sukcesów w historii polskiego futbolu jest nierozłącznie związana z osobą trenera Kazimierza Górskiego oraz asami prowadzonej przez niego reprezentacji, takimi jak: Kazimierz Deyna, Jan Tomaszewski, Włodzimierz Lubański, Grzegorz Lato czy Andrzej Szarmach. Na podobnego kalibru zawodników czekaliśmy w zasadzie po czasy współczesne, ale do osiągnięć na miarę reprezentacji „Orłów Górskiego”

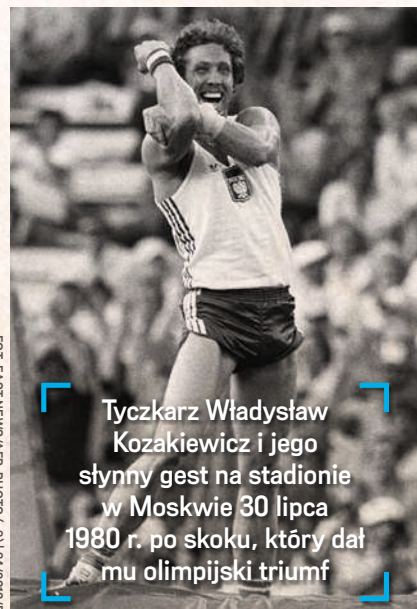


Robertowi Lewandowskiemu i kolegom brakuje jeszcze bardzo wiele. Polska piłka klubowa również przeżywała wtedy swoje najlepsze chwile – również z tego powodu, że piłkarze po prostu nie dostawali pozwolenia na wyjazd do bogatszych zachodnich zespołów. Dziś możemy tylko pomarzyć o osiągnięciach pokroju gry w finale Pucharu Zdobywców Pucharu (obecnie nieistniejącego) jak Górnik Zabrze w 1970 r., czy dojścia do półfinału Pucharu Europy (obecnie Ligi Mistrzów), co było udziałem Legii Warszawa w 1970 r. i Widzewa Łódź w 1983 r.

Wielkie sukcesy odnosili polscy bokserzy – olimpijskimi medalistami byli: Jerzy Kulej, Zbigniew Pietrzykowski, Józef Grudzień, Jerzy Rybicki, Marian Kasprzyk, Zygmunt Chychła, Kazimierz Paździor czy Jan Szczepański. Dobrze spisywali także się inni siłacze, czyli sztangiści (po złoto na igrzyskach sięgali Waldemar Baszanowski, Ireneusz Paliński, Zygmunt Smalczer) i zapaśnicy (medal z najcenniejszego kruszcu dla Kazimierza Lipienia i Andrzeja Wrońskiego), a w 1988 r. w Seulu udało się Waldemarowi Legiuniowi zdobyć złoto w dżudo. Wspaniale prezentowali się polscy szermierze z Egonem Franke, Witoldem Woydą i Jerzym Pawłowskim na czele, a w innych tradycyjnie „wojskowych” dyscyplinach, czyli jeździectwie, strzelectwie i pięcioboju nowoczesnym, po laur zwycięzcy na igrzyskach sięgali odpowiednio Jan Kowalczyk, Józef Zapędzki i Janusz Pyciak-Peciak. Przez chwilę masową wyobraźnią Polaków zawładnęli siatkarze prowadzeni przez legendarnego Huberta Wagnera, którzy wygrali turniej na IO w Montrealu w 1976 r., a dwa lata wcześniej sięgnęli po mistrzostwo świata. Wielkim wydarzeniem było także złoto Wojciecha Fortuny, który na zimowych igrzyskach w Sapporo w 1972 r. oddał skok życia – nigdy wcześniej ani później niczego znaczącego nie wygrał.

Gigantyczną popularnością cieszyły się w Polsce kolarskie Wyścigi Pokoju organizowane dla zawodników z krajów demokracji ludowej. Stanisław Królak, Stanisław Szozda czy Ryszard Szurkowski po dziś uważani są za najlepszych

polskich kolarzy w historii. Rzeszę fanów zdobył „czarny sport”, czyli żużel, a Zenon Plech i Jerzy Szczakiel byli idolami tysięcy młodych chłopaków zakochanych w swoich wieskach. Ci, którzy wolili driftować fiatami swoich rodziców, wpatrzni byli w świętującego sukcesy w rajdach samochodowych Sobiesława Zasadę. Dzięki Andrzejowi Grubbie rzesze dzieciaków zaczęły grać w popularnego ping-ponga, a wołący większe rakiety adepci tenisa ziemnego ściskali kciuki za Wojciecha Fibaka. Poza piłką nożną i siatkówką, dużą popularność zyskiwała koszykówka, rozślawiona sukcesami reprezentacji prowadzonej przez Witolda Zagórskiego, i piłka ręczna. Genialne pokolenie lekkoatletów zwane Wunderteamem po laury prowadził trener i powstaniec warszawski Jan Mulak, a dzięki jego opiece w latach 50. i 60. po najważniejsze puchary sięgali Elżbieta Krześcińska, Józef Szmidt, Zdzisław Krzyszkowiak czy Edmund Piątkowski. Późniejsza generacja „królowej sportu”, na czele z Ireną Szewińską, Władysławem Komarem, Jackiem Wszolą, Tadeuszem Ślusarskim, Bronisławem Malinowskim i Władysławem Kozakiewiczem, dzielnie niosła sztandar polskiej lekkoatletyki, która stała się marką rozpoznawalną na całym świecie. Kozakiewicz stał się także symbolem polskiej niepokorności, gdy w 1980 r. na stadionie w Moskwie zaprezentował po udanym skoku o tyczce wygwizdującej go miejscowej publiczności słynny gest, później ochrzczony jego imieniem. ■



Tyczkarz Władysław Kozakiewicz i jego słynny gest na stadionie w Moskwie 30 lipca 1980 r. po skoku, który dał mu olimpijski triumf



Siatkarze trenera Huberta Wagnera, „mistrzowie piątego seta”, pokonali ZSRS w olimpijskim finale w Montrealu w 1976 r.

Nie rusz Kazika!

„Deyna Kazimierz, nie rusz Kazika, bo zginiesz” – tak kibice warszawskiej Legii ostrzegali zawodników przeciwnej drużyny, którzy ośmielili się sfaulować ich klubową świętość. Szybko „General” środka pola pochodzący ze Starogardu Gdańskiego stał się ulubieńcem fanów stołecznego CWKS. Został także gwiazdą reprezentacji, odnoszącą wtedy największe sukcesy w dziejach

Deyna trafił do Legii w 1966 r. jako 19-latek, przechodząc drogę, która wtedy nie była niczym niezwykłym – chcąc pozyskać utalentowanego rozgrywającego debiutującego wówczas w ŁKS, wysłano mu powołanie do wojska. „Kaka” piłkarskie szlify w stolicy zbierał u boku Lucjana Brychczego i Bernarda Blauta. Szybko został filarem warszawskiej drużyny, która w 1969 i 1970 r. sięgnęła po tytuł Mistrza Polski, a nawet zagrała w półfinale Pucharu Mistrzów. Później nie było już tak kolorowo, ale Deyna przez 12 lat gry w barwach Legii dorobił się statusu klubowej legendy, a „dycha”, z którą grał na koszulce, jest dziś numerem w warszawskim klubie zastrzeżonym. Były się o niego najlepsze kluby Europy, ale władze nie puszczały na Zachód zawodników, którzy w metryce nie mieli trójki z przodu w rubryce „wiek”. W końcu Deyna trafił do Manchesteru City, ale siłowy wypisarski futbol okazał się dla finezyjnego piłkarza stylem nietrafionym i w Anglii wielkiej kariery nie zrobił. Ostatnim etapem klubowej podróży polskiego pomocnika był wyjazd do USA na początku lat 80. i gra w Sockers, klubie ze słonecznego San Diego.

W reprezentacji Deyna zadebiutował już jako 21-latek, ale prawdziwą podporą polskiej kadry stał się za kadencji Kazimierza Górskiego. W 1972 r. Polacy sięgali po złoty medal igrzysk w Monachium, a „Kaka” sięgał po tytuł króla strzelców olimpijskiego turnieju. Dwa lata później cały kraj żył ogromnym sukcesem, jakim było trzecie miejsce na mundialu rozgrywanym w RFN, gdzie Polacy pokonali w wielkim stylu m.in. takie potęgi jak Argentyna, Włochy, Szwecja i Brazylia. Deyna, który przejął opaskę kapitańską po fatalnie kontuzjowanym w elimina-

cyjnym starciu z Anglikami Włodzimierzem Lubańskim, został okrzyknięty najlepszym rozgrywającym na niemieckich boiskach, a reprezentacja Górskiego stała się obiektem uwielbienia całego narodu. Piłkarz Legii przyczynił się jeszcze do zdobycia srebra na igrzyskach w 1976 r., a pod wodzą Jacka Gmocha wziął udział w mistrzostwach świata rozgrywanych w Argentynie. Tam Polacy zawiedli wielkie oczekiwania, a do legendy przeszedł niewykorzystany przez Deynę karny w meczu przeciw gospodarzom oraz jego zatargi z młodym gniewnym reprezentacją, prowadzącym kadrę cztery lata później do kolejnego podium mundialu Zbignie-

Kazimierz Deyna

Były się o niego najlepsze kluby Europy, ale władze nie puszczały na Zachód zawodników, którzy w metryce nie mieli trójki z przodu w rubryce „wiek”

wem Bońkiem. Turniej z 1978 r. był także ostatnią okazją do obejrzenia „Generała” w koszulce z orzełkiem na piersi.

Jako piłkarz znienawidzonej w całym kraju Legii Deyna nie miał łatwego życia z kibicami innych klubów. Bodaj najbardziej dobitnym tego przykładem było wygwizdanie kapitana Polski w reprezentacyjnym starciu z Portugalią przez śląską publiczność na Stadionie Śląskim – mimo że Deyna strzelił w meczu cudownej urody bramkę bezpośrednio z rzutu wolnego. Zresztą, obok idealnego przeglądu pola i prowadzenia gry, to właśnie niesamowite „rogale”, którymi „Kaka” zaskakiwał bramkarzy z dystansu, były jego znakiem firmowym.



FOT. EAST NEWS/MAGDO

Niestety, geniusz na boisku nie był wzorem do naśladowania poza murawą. Mocny pociąg do hazardu, kobiet i alkoholu był powodem jego życiowych dramatów, z których największym okazała się podróż wrześniową nocą 1989 r. po kalifornijskiej autostradzie. Będąc pod wpływem alkoholu, Deyna swoim dodge'em uderzył w zaparkowaną na poboczu ciężarówkę – zginął na miejscu. Polacy przeżywający wtedy dokonującą się w kraju transformację, musieli przez moment spojrzeć poza swoje podwórko. Odeszła legenda i jeden z najwspanialszych, jeśli nie najlepszy, piłkarz w historii polskiego sportu.

MM

Bohaterowie Polskiego Sportu

Pierwsza dama biegni

Można się spierać o to, kto w polskiej historii był największym mężem stanu, najgenialniejszym uczonym lub najlepszym piłkarzem. Ale odpowiedź na pytanie o najlepszą sportswomenkę jest oczywista i niepodważalna – Irena Szewińska

Lekkoatletyczny talent urodzonej w Leningradzie Ireny Kirszenstein zauważył trener Jan Kopyto, gdy mieszkająca w Warszawie zawodniczka miała zaledwie 15 lat i na szkolnych zawodach kompletnie rozbiła swoje rówieśniczki. Szybko trafiła do Polonii Warszawa, gdzie poznała swojego późniejszego męża Janusza Szewińskiego. Sukcesy z turniejów juniorskich już niebawem miały zostać przekute w osiągnięcia w rywalizacji seniorskiej. W 1964 r. rozgrywano igrzyska w Tokio, a tam 18-latką zdobyła indywidualne srebro w biegu na 200 m i skoku w dal, będąc jednocześnie filarem sztafety na 100 m, która sięgnęła po medal z najcenniejszego kruszcu. Dwa lata później zdobyła cztery medale mistrzostw Europy, w tym trzy złota (w biegu na 100 m lepsza była tylko Ewa Kłobukowska). Igrzyska w Meksyku w 1968 r. miały dla Szewińskiej słodko-gorzki smak: z jednej strony była najlepsza na 200 m i trzecia w rywalizacji na dystansie połowę krótszym, ale kompletnie zawała konkurs skoku w dal i zgubiła pałeczkę w biegu sztafety 4 x 100 m. Wtedy stała się obiektem ostrej krytyki, a w kontekście marcowych wydarzeń i wywołanej przez komu-

nistów antysemickiej nagonki nie bez znaczenia była kwestia jej rodzinnego nazwiska.

Szybka jak błyskawica zawodniczka będąc na szczycie, zdecydowała się na bardzo odważny krok: postanowiła zrobić przerwę w karierze i zostać matką. Późniejsza kontuzja opóźniła jej powrót do najwyższej formy – z Monachium w 1972 r. przywiozła olimpijski brąz, ale już dwa lata później znów nie miała sobie równych. Dwa indywidualne tytuły mistrzyni Europy na 100 i 200 m, rekordy świata i zwycięstwo w każdym biegu, w którym startowała, zaowocowały uznaniem jej za najlepszą sportswomenkę świata 1974 r. Szewińska postanowiła postawić na bieganie całego okrężenia: jak się okazało, była to decyzja słuszna, bo w Montrealu w 1976 r. po raz kolejny została złotą medalistką olimpijską – na dystansie 400 m pobiła rekord świata, finiszując z potężną przewagą nad rywalkami. Ostatnim akordem wspaniałej kariery polskiej lekkoatletki był start na igrzyskach w Moskwie, po którym biegaczka zdecydowała się zawiesić buty na kołku. To nie znaczy, że zerwała ze sportem. Zawsze starała się o to, aby jej dziedzina pozostała królową sportu, choć jej



Irena Szewińska

w geście triumfu po wygranej w biegu na 200 m na olimpiadzie w Meksyku

droga jako działaczki w związku lekkoatletycznym nie zakończyła się sukcesem. O wiele lepiej sprawdziła się jako członkini Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, w którym jako multimedalistka najważniejszej imprezy świata miała niepodważalny autorytet.

Gdy pod koniec czerwca br. gruchnęła wiadomość o tym, że Irena Szewińska zmarła na nowotwór, z którym walczyła od 2014 r., wszyscy polscy ki-

bice wstrzymali dech. Odeszła osoba, która od ponad pół wieku była nieodłącznym i kluczowym elementem pejzażu polskiego sportu, jego pierwsza dama i symbol największych sukcesów białoczerwonych na światowych arenach.

Lekkoatletyczny renesans w naszym kraju, który był widoczny na wielce udanym tegorocznym europejskim czempionacie w Berlinie i będzie, miejmy nadzieję, kontynuowany na kolejnych wielkich imprezach, to najlepszy hołd, jaki można pani Irenie złożyć.

FOT. EAST NEWS

W kolejnym, grudniowym wydaniu „wSieci Historii” w dodatku „Bohaterowie polskiego sportu” zaprezentujemy opowieść o polskim sporcie lat 90., w tym sylwetki znakomitego żużlowca Tomasza Golloba oraz fenomenalnego skoczka narciarskiego Adama Małysza

BO FETA BYŁA ZBYT HUCZNA...

SUKCES POLSKIEJ REPREZENTACJI NA WEMBLEY SPRZED 40 LAT BYŁ HUCZNIE ŚWIĘTOWANY W KRAJU ZARÓWNO PRZEZ PEERELOWSKIE WŁADZE, PRASĘ (NIE TYLKO ZRESZTĄ SPORTOWĄ), JAK I „ZWYKŁYCH” POLAKÓW. W CO NAJMNIEJ JEDNYM PRZYPADKU ZBYT HUCZNIE, DLA WROCŁAWSKICH MILICJANTÓW...



**GRZEGORZ
MAJCHRZAK**

Kiedy się okazało, że w eliminacjach do mistrzostw świata w Republice Federalnej Niemiec w 1974 r. Polska trafiła na Anglię i Walię, wyglądało, że nasze szanse na awans nie są zbyt duże. Był to czas, gdy wyspiarski futbol był potęgą. Choć czas sukcesów naszej reprezentacji, nazwanej później Orłami Górskiego, już się rozpoczął, to w konfrontacji z synami Albionu wydawała się ona skazana na porażkę. Tak też rozpoczęły się dla Polski te eliminacje. W pierwszym, wyjazdowym meczu przegraliśmy z Walią 0:2. Potem jednak nasza reprezentacja pokonała na Stadionie Śląskim Anglię w identycznym stosunku, a następnie strzeliła trzy bramki Walii, nie tracąc żadnej. A to oznaczało, że do awansu wystarczył remis w ostatnim meczu wyjazdowym z Anglikami.

Mecz ten odbywał się 17 października 1973 r. na sławnym stadionie Wembley. Zdecydowanym faworytem byli oczywiście piłkarze angielscy, podrażnieni dodatkowo porażką w Polsce. Naszym zawodnikom okazywali przy tym jawne lekceważenie. W ich wypowiedziach dla prasy, radia i te-

lewizji zdarzały się stwierdzenia, że polscy piłkarze „do niczego się nie nadają”, a nasz bramkarz Jan Tomaszewski został nazwany przez jednego z trenerów angielskich klaunem. Takie opinie docierały do naszych zawodników za pośrednictwem brytyjskiej Polonii. Dodatkowo gdy wyszli na rozgrzewkę, kilkadziesiąt tysięcy angielskich kibiców powitało ich okrzykami „Animals, animals”, a w ich stronę polecały z trybun różne przedmioty.

Zaczął się mecz. Oczywiście przewagę, w pierwszej połowie wręcz przygniatającą, mieli Anglicy. Cóż z tego, skoro pierwsi w 57. minucie gola zdobyli Polacy po strzale Jana Domarskiego. Co prawda gospodarze wyrównali sześć minut później po rzucie karnym, ale nie zdołali już (m.in. dzięki świetnej postawie Tomaszewskiego) strzelić zwycięskiej bramki. Dla Anglików remis ten był nie tylko porażką, ale wręcz klęską, a nawet „końcem świata” – jak konkludowała dzień później jedna z brytyjskich gazet.

Wybuch radości

Dla Polaków był to oczywiście ogromny sukces – depeesz gratulacyjną do piłkarzy wysłali I sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Edward Gierek oraz premier Piotr Jaroszewicz, a po powrocie do kraju przyjął ich sekretarz KC PZPR i członek Biura Politycznego Edward Babiuch.



FOT. AP PHOTO/DAVE GAULKIN

Zwycięski remis stał się jednym z głównych tematów polskich gazet, nie tylko zresztą sportowych. Opisywano w niej reakcje Anglików, cytowano opinie światowej prasy. Krytykowano postawę kibiców brytyjskich. W „Tempie” pisano: „W czasie meczu zaobserwowaliśmy duży szowinizm i brak obiektywności wśród publiczności. Skandalem były gwizdy, jakie słyszeliśmy podczas odgrywania polskiego hymnu”. Opisywano również radość Polaków. W „Przeglądzie Sportowym” pisano o tym, co działo się w Warszawie: „Na Marszałkowskiej natknęliśmy się na sporą grupkę młodzieży niosącą transparent z hasłem: »Niech żyją polscy piłkarze«. Zapytani o wrażenia [...] uczniowie kilku warszawskich liceów bez przerwy tylko wykrzykiwali – Cu-downe, wspaniałe”. I dodawano: „W takim dniu nawet milicjanci przymykali oczy na nieco głośniejsze, niż pozwala to obyczaj, zachowanie się młodych sym-

Po dramatycznym „zwycięskim remisie” w meczu z Anglią na stadionie Wembley cała Polska oszalała z radości, 17 października 1973 r.



patyków piłki nożnej”. Problem w tym, o czym już prasa nie wspominała, że nie zawsze i nie wszędzie tak było.

Starcia we Wrocławiu

We Wrocławiu funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej użyli siły w związku z „zakłóceniem porządku publicznego”. Po zakończeniu transmisji telewizyjnej meczu ok. 22.00 wrocławianie, zwłaszcza młodzież, wyszli na ulice miasta (głównie w rejonie Dworca Głównego oraz pl. Kościuszki), aby świętować sukces polskiej reprezentacji. Ludzie z flagami narodowymi śpiewali hymn narodowy i wiwatowali na jej cześć. Feta była spontaniczna, przez nikogo nie-organizowana. Samorządnie tworzyli się kilkudziesięcio-, kilkusetosobowe grupy. Największa, licząca około tysiąca osób, złożona głównie ze studentów wrocławskich uczelni, zgromadziła się na

pl. Grunwaldzkim. Oczywiście wszystko to odbywało się pod czujnym okiem milicjantów. Jak wynika z ich późniejszych relacji, początkowo bawiono się „radośnie i entuzjastycznie, lecz w granicach przyzwoitości i kultury”. Śpiewano „100 lat” naszym piłkarzom, wznoszono okrzyki na ich cześć, a także intonowano hymn narodowy. Grupy młodzieży w drodze na wrocławski rynek zaopatrywały się w wino w otwartym sklepie nocnym. Nic zatem dziwnego, że świętujący stawali się coraz głośniejsi. Tym bardziej że oprócz dzwonków i trąbek używali też zdecydowanie donośniejszych ręcznych syren strażackich i bębnow, a nawet blach. Ponadto szli całą szerokością jezdni, „zakłócając” w ten sposób „ruch kołowy”, jak się można zresztą domyślać, „nader wzmożony” o tej porze. W związku z tym ok. 23.30 do oficera dyżurnego Komendy Miejskiej MO we Wrocławiu zaczęły „napływać interwencje telefoniczne w spra-

wie przywrócenia spokoju i porządku w mieście”.

Reagując, komendant Milicji Obywatelskiej miasta Wrocławia, Zbigniew Winkowski, podjął decyzję o skierowaniu na ulice stolicy Dolnego Śląska funkcjonariuszy wyposażonych w „środki rozgłaszające” w celu wezwania do spokojnego zachowania i rozejścia się do domów.

Jednak „w wielu przypadkach wezwania te spotkały się gwizdami i obelżywymi wyzwiskami pod adresem MO”. Mało tego, zdarzało się nawet, że funkcjonariusze byli obrzucani kamieniami i kasztanami. Nic zatem dziwnego, że w tej sytuacji sięgnęli po służbowe pałki. W rejon rynku, gdzie w międzyczasie liczba osób wzrosła do ok. 1,3 tys., skierowano jeden z plutonów Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej (ZOMO). Zostali oni „zmuszeni do użycia pałek, gdyż kilku osobników nie tylko, że nie usłuchało wezwania do rozejścia się, ale próbowało wchodzić na >>

» pomnik A[leksandra] Fredry i wzywać do przeciwstawienia się MO”. Inny pluton ZOMO został skierowany na pl. Teatralny i w rejon parku Hanki Sawickiej (dzisiaj Mikołaja Kopernika). Również tam użyto siły wobec „osobników rzucających w funkcjonariuszy MO kamieniami i kasztanami”. W efekcie ok. 23.30 na terenie miasta „zaprowadzono porządek”.

Niespokojna noc

Jednak sytuacja nie została do końca opanowana. W bursie w Powszechnych Domach Towarowych (obecnie Dom Handlowy „Renoma”) przy ul. Świdnickiej oraz w domach akademickich w rejonie pl. Grunwaldzkiego jeszcze do 24.00–1.00 „z otwartych okien lano wodę oraz rozlegały się gwizdy, krzyki i śpiewy”. Milicjanci ograniczyli się jednak tym razem do wzywania przez megafony do zachowania spokoju oraz „wskazywania i wyliczania konkretnych okien, gdzie najgłośniejsze zachowywano się”. Trudno powiedzieć, czy – jak twierdził potem sami funkcjonariusze – te właśnie działania przyniosły pożądane efekty, czy też po prostu studenci zmęczili się kilkugodzinnym świętowaniem. W każdym razie w tym przypadku „przywrócenie porządku” odbyło się bez użycia siły.

Ogółem w czasie interwencji w nocy z 17 na 18 października 1973 r. zatrzymano 22 osoby, w tym trzech studentów. Większość po uprzednim wylegiwymowaniu i przeprowadzeniu z nimi rozmów pouczających zwolniono do domu. Na dłużej zatrzymano 19-letniego mieszkańca Wrocławia, ślusarza w Zakładach Budowy i Naprawy Maszyn Drogowych „Madro” Jerzego Bugajskiego. Zarzucono mu rzucanie kamieniami i „słowne znieważenie funkcjonariuszy MO”, skierowano sprawę do sądu w trybie przyspieszonym.

Analiza partii

Informacje na temat zajść nie znalazły się oczywiście w prasie, nawet tej lokalnej. Dzień po meczu na Wembley wrocławskie „Słowo Polskie” ograniczyło się do stwierdzenia, że „już kilka minut po końcowym gwizdku milicja otrzymała parę sygnałów o zbyt głośnym fetowaniu upragnionego remisu”, a także, iż ulicami stolicy Dolnego Śląska „przemaszerowała grupa młodych kibiców, dając upust swo-

jej olbrzymiej (licząc w dziesiątkach decybeli) radości”.

Jednak, jak wynika z akt milicyjnych, do lokalnej prasy napłynęły dwie pisemne skargi na działalność funkcjonariuszy MO. Ponadto u kierownika Wydziału Administracyjnego Komitetu Wojewódzkiego PZPR we Wrocławiu, nadzorującego lokalny resort spraw wewnętrznych, interweniowano telefonicznie, a do redakcji ogólnopolskiej „Polityki” wysłano anonim. Funkcjonariuszom MO zarzucano: użycie gazów łzawiących, używanie pałek „w sposób sadystyczny i odwetowy”, a nawet szczucie ludzi psami.

„KILKU OSOBNIKÓW PRÓBOWAŁO WCHODZIĆ NA POMNIK FREDRY I WZYWAĆ DO PRZECIWSTRAWIENIA SIĘ MO”

Ostatecznie, jak oceniał niespełna miesiąc po tych wydarzeniach sekretariat wrocławskiego KW PZPR, kwestia „rzekomo niesłusznej interwencji” Milicji Obywatelskiej „nie istnieje zarówno w opinii publicznej, jak i w poszczególnych zakładach”. Nie stwierdzano również „specjalnych reperkusji na ten temat” wśród wrocławskich studentów, których zachowanie określono jako prawidłowe.

Analiza KG MO

Sprawą zajęli się też funkcjonariusze Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej. Na podstawie dokumentacji (książki służby, notatki, raporty), zeznań wrocławskich milicjantów oraz „rozmów sondażowych z osobami z różnych środowisk społecznych” uznali, że interwencje ich wrocławskich kolegów były uzasadnione i jak najbardziej prawidłowe, „we wszystkich przypadkach występowały znamiona zakłócenia porządku i spokoju publicznego”. Nie wykluczano jednak przy tym, że „w indywidualnych przypadkach w stosunku do niektórych osób pałki mogły być użyte niesłusznie i zbyt pochopnie”. Jednak nie zamierzano drążyć tej kwestii ani tym bardziej ustalać tożsamości winnych nadużywania siły funkcjonariuszy. Stwierdzono,

że nie potwierdziły się informacje na temat użycia przez wrocławskich milicjantów środków chemicznych czy psów służbowych, których zresztą ani lokalne ZOMO, ani też Komenda Dzielnicowa MO Wrocław Stare Miasto nie posiadały. Wykluczono także – co z perspektywy znajomości postępowania Milicji Obywatelskiej w okresie PRL brzmi kompletnie niewiarygodnie – „używanie pałek w sposób sadystyczny i odwetowy”...

Funkcjonariusze Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej zaproponowali podjęcie działań w celu niedopuszczenia do powtórzenia się podobnych wydarzeń.

Wojewódzki Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki we Wrocławiu, środki masowego przekazu oraz działacze sportowi winni dążyć „dla wytworzenia właściwej atmosfery sportowego i kulturalnego zachowywania się zarówno w czasie imprez sportowych, jak też innych okazji wywołujących entuzjazm wśród sympatyków sportu polskiego”. Sugerowali ponadto nakłonienie Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki, aby ten wysłał do swych instancji wojewódzkich i zrzeszeń sportowych polecenie „rozwinęcia pracy wychowawczej wśród sympatyków sportu nad ich właściwym i kulturalnym zachowywaniem się w czasie imprez sportowych”. Nie zapomnieli też o studentach. Sugerowali spotkania „aktywu partyjnego i młodzieżowego uczelni wrocławskich” z kierownictwem Komendy Wojewódzkiej MO w celu „omówienia spraw dot. zachowania się studentów poza uczelnią, w miejscach publicznych”.

Jak zatem widać, imprezy sportowe miały się odbywać jedynie zgodnie z wytycznymi władz PRL, a ich widzowie przestrzegać narzuconych im sztywnych reguł, a na spontaniczne, a co za tym idzie zbyt huczne świętowanie sukcesu nie było miejsca. Dziś to już na szczęście przeszłość...

*Autor jest pracownikiem
Biura Badań Historycznych IPN*

DZIEŃ NIEPODLEGŁOŚCI W PRL



GRZEGORZ
WALIGÓRA

**OBCHODZONE DZIŚ UROCZYŚCIE ŚWIĘTO
ODZYSKANIA PRZEZ POLSKĘ NIEPODLEGŁOŚCI
PO 123-LETNIEJ NIEWOLI PRZEZ CAŁY OKRES
PRL BYŁO POMIJANE I MARGINALIZOWANE**

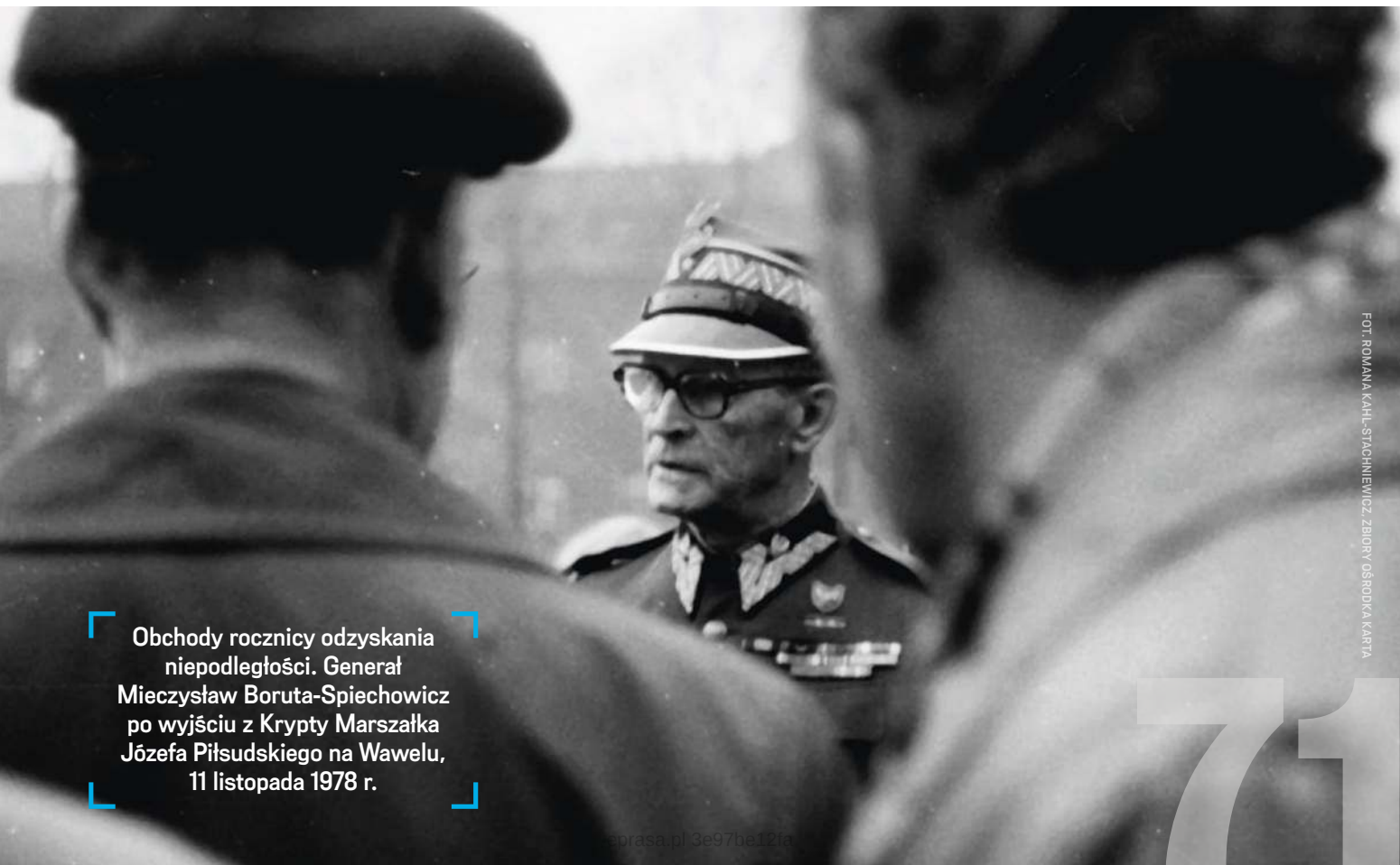
Komunistyczne władze starały się wymazać ze zbiorowej świadomości narodu pozytywny obraz II Rzeczypospolitej, Legionów i Marszałka Józefa Piłsudskiego. Z pomocą cenzury i propagandy chcieli stworzyć nowy obraz historii, w którym

powrót na mapę Europy Polacy mieli zawdzięczać... rewolucji październikowej.

Odkłamywanie historii najnowszej i usuwanie z niej białych plam szybko stało się jednym z ważniejszych wyzwań dla zorganizowanej opozycji politycznej w PRL, zwłaszcza dla środowisk niepodległościowych, czyli tych, które odwoły-

wały się do tradycji II Rzeczypospolitej, Armii Krajowej oraz podziemia zbrojnego po II wojnie światowej. Do tematyki historycznej często sięgano w drugim obiegu wydawniczym. W ukazujących się poza zasięgiem cenzury książkach, broszurach i prasie podnoszono tematy zakłamywane lub przemilczane w oficjalnym przekazie, dotyczące zarówno okresu międzywojennego, II wojny światowej, jak i początków komunizmu. Najnowsza historia Polski była też obok literatury dominującym tematem niezależnych prelekcji i wykładów organizowanych w kościołach i mieszkaniach prywatnych.

Przypadająca w 1978 r. okrągła 60. rocznica odzyskania niepodległości >>



FOT. ROMANA KAHL-STACHNIEWICZ. ZBIORY OŚRODKA KARTA

Obchody rocznicy odzyskania niepodległości. Generał Mieczysław Boruta-Spiechowicz po wyjściu z Krypty Marszałka Józefa Piłsudskiego na Wawelu, 11 listopada 1978 r.

» stała się okazją do przywrócenia pamięci o tym wydarzeniu i zorganizowania pierwszych od wielu lat niezależnych od władz obchodów święta 11 listopada. W ich organizację najbardziej zaangażowany był Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO) oraz środowiska kombatanckie.

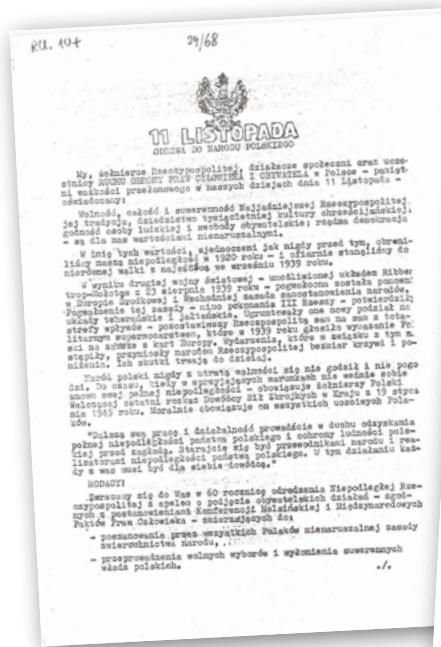
Podjęciu nowych inicjatyw sprzyjał zarówno podniosły nastrój wywołany euforią po wyborze Karola Wojtyły na papieża, jak i wsparcie ze strony Kościoła. Ważnym elementem obchodów były uroczyste msze za ojczyznę i patriotyczne kazania. Najbardziej spektakularny przebieg przybrały one w Warszawie, Krakowie i Gdańsku, gdzie udało się zorganizować pierwsze od wielu lat patriotyczne manifestacje. Kilka dni wcześniej na ulicach miast pojawiły się okolicznościowe plakaty i ulotki. Specjalne oświadczenia i odezwy związane z upamiętnieniem rocznicy wydały: Komitet Samoobrony Społecznej KOR, Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela wraz ze środowiskami kombatanckimi, Polskie Porozumienie Niepodległościowe oraz Ruch Wolnych Demokratów.

W Warszawie

Niezależne obchody w stolicy rozpoczęły się już dzień wcześniej, 10 listopada w kościele św. Aleksandra przy pl. Trzech Krzyży o godz. 18.00 zostało odprawione nabożeństwo poświęcone 60. rocznicy odzyskania niepodległości połączone z odsłonięciem tablicy ku czci Józefa Piłsudskiego, z wymownym napisem „Zwyczajnemu Wodzowi w hołdzie Polacy”. Płomienne kazanie wygłosił ks. prałat Stefan Niedzielak, a bp Władysław Miziołek dokonał aktu poświęcenia. Wartę honorową pełnili powstańcy Warszawscy. W imieniu żołnierzy Rzeczypospolitej ks. biskupowi Miziołkowi oraz prymasowi Polski dziękował Wojciech Ziemiński. Obecnych było ok. 400 osób, w tym liderzy ROPCiO Andrzej Czuma i Leszek Moczulski oraz Wojciech Ziemiński. Wybór świątyni nie był przypadkowy. To właśnie w tym miejscu 18 maja 1920 r. uroczystym Te Deum i biciem w dzwony witano powracającego z Kijowa Naczelnika Państwa.

W Dzień Niepodległości w godzinach przedpołudniowych w kościele św. Jacka (oo. Dominikanów) przy ul. Freta odbyło się kolejne nabożeństwo, tym razem dla uczczenia pamięci dwóch komendantów głównych Armii Krajowej, gen. Stefana Roweckiego „Grota” i gen. Leopolda Oku-

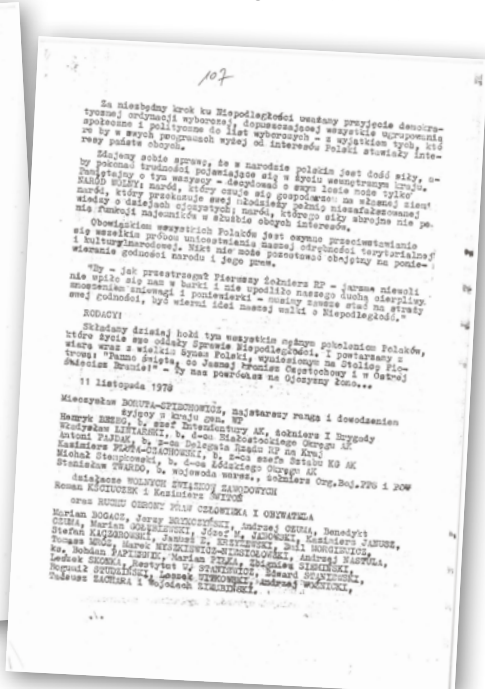
lickiego „Niedźwiadka”, połączone z odsłonięciem tablic pamiątkowych, które poświęcił ks. bp Zbigniew Karaszewski. Do zgromadzonych przemówił oficer Wojska Polskiego II Rzeczypospolitej, Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie oraz Armii Krajowej, cichociemny mjr Bolesław Jabłoński „Bill”. Przed rozpoczęciem mszy rozdawano białe-czerwone opaski z emblematem orła w koronie oraz napisem AK. W nabożeństwie uczestniczyło ok. 4 tys. osób. Po jego zakończeniu symboliczne wieniec z szarfami: „Zamęczonym



Kombatanom Głównym – żołnierze Armii Krajowej” złożono na Cmentarzu Powązkowskim.

Główne uroczystości w Warszawie odbyły się wieczorem w katedrze, gdzie odprawiono uroczyste nabożeństwo koncelebrowane pod przewodnictwem bp. Jerzego Modzelewskiego. Kazanie wygłosił sekretarz episkopatu ks. bp Bronisław Dąbrowski. Zdaniem SB we mszy w katedrze i zgromadzonych na przyległych ulicach uczestniczyło ok. 12 tys. osób, natomiast zdaniem organizatorów było ich ok. 20 tys. Nabożeństwo zakończono apelem poległych i pieśnią „O Boże, skrusz ten miecz, co siecze kraj, do wolnej Polski nam powrócić daj”. Przed katedrą kolportowano rocznicowe oświadczenie KSS KOR. Około godz. 20 część osób uczestniczących w nabożeństwie (ok. 2 tys.) przemarszerowało z białą-czerwoną flagą w kierunku pl. Zwycięstwa (obecnie pl. marszałka Józefa Piłsudskiego) do

Grobu Nieznanego Żołnierza, gdzie złożono trzy wieniec. Pierwszy od harcerzy i uczestników ROPCiO przyozdobiony szarfą: „Żołnierzowi Niepodległej – Harcerze Rzeczypospolitej”, drugi z napisem „Bojownikom Niepodległości” złożyli studenci Uniwersytetu Warszawskiego oraz trzeci od środowisk kombatanckich i uczestników ROPCiO z szarfą „Tym, którzy czynem zbrojnym budzili Polskę do Zmartwychwstania – Żołnierze Armii Krajowej”. Przemarszowi i składaniu wienców towarzyszyło odśpiewanie hymnu państwowego oraz pieśni patrio-



Odezwa wydana z okazji 60. rocznicy niepodległości

tycznych (m.in. „Rota”, „Warszawianka”, „Boże coś Polskę”, „Czerwone maki”, „My Pierwsza Brygada”). Wznoszono okrzyki: „Żądamy prawdy o Katyniu”, „Żądamy prawdy w prasie, radiu i telewizji”, „Niech żyją Lwowskie Orleta”, „Żądamy wolności”, „Nie ma chleba bez wolności”, „Chwała ofiarom Katynia”, „Cześć ofiarom bezpieki”, „Niech żyje Polonia radziecka”, „Pomordowanym na Syberii 1939–1941 cześć”, „Niech żyje ROPCiO”, „Niech żyje KOR”. Wznoszono też okrzyki na cześć Ojca Świętego i prymasa Polski. Do zgromadzonych przemówił uczestnik powstania warszawskiego, publicysta i dramaturg Henryk Ziółkowski (Jerzy Gren). W dokumentach SB odnotowano, że jego „wystąpienie zawierało wrogie

i prowokacyjne akcenty, dotyczące cenzury, braku wolności i niepodległości, nieposzanowania praw obywatelskich". Ok. 21 zebrani rozeszli się. SB ani MO nie interweniowały. Wśród zgromadzonych obecni byli przedstawiciele wszystkich najważniejszych organizacji opozycyjnych i środowisk kombatanckich. Warto zwrócić uwagę na duży i aktywny udział młodzieży. Adam Wojciechowski, jeden z założycieli ROPCiO, w rozmowie z korespondentem włoskiej agencji ANSA podkreślił, że sukces demonstracji polegał przede wszystkim na tym, że „po raz pierwszy od marca 1968 r. na ulicę wyszli mieszkańcy Warszawy, w celu zamianifestowania nie tylko obchodów 60-lecia odzyskania niepodległości, ale przede wszystkim swojej woli życia w kraju wolnym i niepodległym”.

W Krakowie

W dawnej stolicy Polski uroczystości rocznicowe składały się z dwóch części. Najpierw 11 listopada o godz. 9.00 w katedrze na Wawelu odbyła się msza z udziałem ok. 1,5 tys. osób. W patriotycznym kazaniu ks. Kazimierza Figlewicza eksponowana była postać Józefa Piłsudskiego. Po mszy część osób udała się do krypty św. Leonarda, aby oddać hołd Marszałkowi. Przemówienie wygłosił ubrany w przedwojenny mundur gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz, który podkreślił zasługi Piłsudskiego dla niepodległości Polski. Poinformował też zgromadzonych, że wysłał depezę do Jana Pawła II z wyrazami wierności „starej wiary” oraz gotowości do wspierania go nie tylko modlitwą, ale i siłą. Przed katedrą rozprowadzane były zdjęcia Piłsudskiego i białoczerwone kokardki z datami 11 XI 1918–11 XI 1978. Z inicjatywy Studenckiego Komitetu Solidarności w Krakowie kilkadziesiąt osób udało się ulicami Grodzką i Floriańską pod Grób Nieznanego Żołnierza. Tam złożono wiązanki kwiatów i odśpiewano „Boże, coś Polskę”.

Główne uroczystości odbyły się wieczorem, o godz. 19.00 w kościele Mariackim, gdzie odprawiono uroczystą mszę celebrowaną przez bp. Juliana Groblickiego z udziałem ok. 4 tys. wiernych. Po mszy grupa kilkuset osób udała się pod Grób Nieznanego Żołnierza, niosąc białoczerwoną flagę i śpiewając pieśni religijne oraz „Rotę”. Na miejscu złożono kwiaty. Krótkie przemówienie wygłosił Jan Jarosz, który zwrócił uwagę na znaczenie daty 11 listopada dla narodu polskiego. Zgroma-

dzeni odśpiewali hymn państwowy, „Boże, coś Polskę”, „Warszawiankę”, „Rotę” oraz „Pierwszą Brygadę”.

W Gdańsku

Na Wybrzeżu uroczystości rocznicowe wyglądały podobnie. 11 listopada o godz. 18.00 w największej świątyni Trójmiasta – kościele Mariackim w Gdańsku odbyła się msza odprawiona przez b. kapelana AK ks. Józefa Zator-Przytockiego. Po zakończeniu nabożeństwa przed kościołem uformował się liczący blisko 1 tys. osób pochód, który śpiewając patriotyczne pieśni, przeszedł ulicami miasta pod pomnik króla Jana III Sobieskiego. W trakcie przemarszu służbom porządkowym udało się przeciąć pochód tak, że część osób się rozproszyła, a pod pomnik dotarła grupa ok. 300 manifestantów. Rozwinęli białoczerwoną flagę oraz odśpiewali hymn i „Rotę”. Do zgromadzonych przemówił Aleksander Hall, uczestnik ROPCiO, późniejszy lider Ruchu Młodej Polski. Następnie wystąpiła z tłumu kobieta, która deklamowała wiersz Marii Konopnickiej „Nie wydrzecie”. Po ok. 40 minutach manifestacja się zakończyła.

SB wobec niezależnych obchodów

Służba Bezpieczeństwa, choć nie podjęła bezpośrednich działań na rzecz rozbicia niezależnych manifestacji, to przez cały okres poprzedzający uroczystości starała się za pomocą działań prewencyjnych nie dopuścić do ich organizacji lub przynajmniej ograniczyć ich zasięg.

10 i 11 listopad podjęto działania zapobiegawcze, dzięki którym przejęto łącznie 13 353 egz. niezależnych wydawnictw i publikacji, w tym ponad 10 tys. dotyczących rocznicy 60-lecia niepodległości (odezwy, ulotki, plakaty nekrologi). Dokonano też 16 przeszukań mieszkań i osób, w trakcie których obok nielegalnych wydawnictw zarekwirowano materiały i środki służące do powielenia. Ponadto trzy osoby zostały zatrzymane podczas kolportażu. Wśród zakwestionowanych wydawnictw aż 9,5 tys. stanowiła wydrukowana w nakładzie 10 tys. „Odezwa do Narodu Polskiego” opracowana przez środowisko kombatanckie i ROPCiO.

SB starała się „zabezpieczać” miejsca publiczne, w których odbywały się manifestacje. Podejmowano także działania dezinformujące w celu ograniczenia liczby

uczestników oraz niedopuszczenia do rozprzestrzeniania się demonstracji w inne rejony miasta (zwłaszcza w Warszawie, gdzie uzyskano sygnały o możliwości przeniesienia manifestacji pod gmachy KC PZPR i Ambasadę ZSRR.) W jednym z dokumentów SB poświęconych podsumowaniu wydarzeń z 11 listopada 1978 r. pisano: „Zorganizowanie [...] ulicznych manifestacji stanowi nową jakość w procesie eskalacji wrogich działań [...] po raz pierwszy podjęto próbę otwartej, publicznej ideologiczno-patriotycznej konfrontacji pod hasłami nawiązującymi do poczucia patriotyzmu w duchu tradycji Polski Burżuazyjnej, a więc antykomunizmu i antyradzieckości. Omawiane imprezy cechowało: zdominowanie ich od strony inspiratorsko-organizacyjnej przez ROPCiO, środowisko legionowe i b. akowców, eksponowanie roli katolicyzmu dla utrzymania ducha narodowego Polaków; próby nawiązywania do tradycji i sentymentów legionowo-akowskich; negowanie roli rewolucji październikowej dla odzyskania niepodległości w 1918 r. generalnie antyradziecki wydźwięk przygotowanych materiałów propagandowych i wystąpień ustnych. Przebieg wydarzeń i taktyka zastosowana przez organizatorów wskazuje niebezpieczeństwo wykorzystywania w przyszłości oficjalnych świąt i uroczystości państwowych przez wąskie grupy przeciwników socjalizmu”.

Znaczenie

Niezależne obchody 60. rocznicy odzyskania niepodległości z pewnością przełamały kolejną barierę funkcjonowania opozycji politycznej w PRL. Odtąd aż do upadku komunizmu manifestacje patriotyczne stały się jedną z ważnych form aktywności środowisk antykomunistycznych i istotnym elementem współpracy opozycji z Kościołem.

Trudno dziś jednoznacznie ocenić ich wpływ na postawy społeczeństwa polskiego. Można przypuszczać, że przynajmniej w pewnym stopniu przełamywały barierę strachu, przywracały poczucie godności, jedności i siły. Sprzyjały popularyzowaniu celów opozycji, zwłaszcza środowisk niepodległościowych. Przyminały i utrwały prawdziwych bohaterów narodu przez lata spychanych przez komunistyczną propagandę na margines.

Autor jest pracownikiem
OBBH IPN Wrocław

HISTORYCY GIEDROYCIA

**„ZESZYTY HISTORYCZNE”, PISMO
BEZ AMBICJI PROFESJONALNEGO
PERIODYKU NAUKOWEGO, JEDNAK
BARDZO ISTOTNIE WPŁYWAŁO NA
KSZTAŁT POLSKIEJ HISTORIOGRAFII,
SZCZEGÓLNICIE DOTYCZĄCEJ
NAJNOWSZYCH DZIEJÓW**



**KRZYSZTOF
TARKA**

Po II wojnie światowej na emigracji ukazywało się kilka czasopism historycznych. W Londynie Polskie Towarzystwo Historyczne na Obczyźnie od 1947 r. wydawało kwartalnik, a następnie rocznik „Teki Historyczne”. Rok później londyński Instytut Józefa Piłsudskiego wznowił wydawanie rocznika „Niepodległość” (od końca lat 70. pismo wydawał bratni



Obok „Kultury”

Pierwszy numer „Zeszytów Historycznych” wyszedł w 1962 r. Periodyk założony przez Giedroycia wydawany był przez blisko pół wieku aż do 2010 r. Ogółem ukazało się 171 numerów. Początkowo wychodziły dwa w roku, a w 1973 r. pismo zostało przekształcone w kwartalnik. Po śmierci Giedroycia w 2000 r. redakcję przejęła Zofia Hertz, następnie Jacek Krawczyk i Wojciech Sikora. Dziś komplet „Zeszytów Historycznych” można znaleźć nie tylko w najważniejszych bibliotekach, ale każdy może mieć do nich dostęp na portalu kulturaparyska.com.

„Zeszyty Historyczne” nigdy nie pretendowały do roli zawodowego akademickiego periodyku. Nie stała za nimi żadna naukowa instytucja. Na stronach pisma próżno szukać składu komitetu wydawniczego lub rady redakcyjnej albo programowej, których po prostu nigdy nie było. W stopce wydawniczej nie znajdziemy też składu redakcji. O publikacji tekstów arbitralnie decydował Jerzy Giedroyc. On sam ani żaden z jego następców nie byli też zawodowym historykiem. Mimo to „Zeszyty Historyczne” zajmują w dziejach polskiej historiografii miejsce szczególne, a bez nich byłaby ona znacznie uboższa. W „Autobiografii na cztery ręce” Jerzy Giedroyc skromnie stwierdził: „Mam wrażenie, że »Zeszyty« wywarły jakiś wpływ na historiografię polską”.

Na łamach „Zeszytów Historycznych” ukazywały się przede wszystkim teksty poświęcone najnowszej historii Polski.

Swoje wspomnienia, relacje i pamiętniki publikowali świadkowie historii. Zawodowi historycy z emigracji, a później także z kraju, drukowali opracowania lub recenzje książek. Umiejętne łączenie różnych form wypowiedzi o przeszłości oraz otwarta formuła periodyku były atutem pisma. Ważne nazwiska i dobre pióra autorów, ciekawa problematyka tekstów sprawiły, że „Zeszyty Historyczne” szybko stały się bardzo prestiżowym czasopiśmie, choć, jak przyznał Giedroyc, nigdy nie było to wydawnictwo dochodowe.

Misja i cele

W pierwszym numerze redakcja (czyli Jerzy Giedroyc) deklarowała: „Naszym zadaniem będzie szukanie obiektywnej prawdy, a nie przykrawanie faktów do jakiegokolwiek koncepcji politycznej czy historyzoficznej. Zamieszczając więc będziemy materiały na odpowiedzialność autorów, nie bawiąc się w żadną cenzurę, a dbając jedynie, aby teksty były ciekawe i nowe”. Jako redaktor chciał, aby teksty napisane były żywo i interesująco, „unikając żargonu pseudonaukowego i jałowych przyczynków”. To swoiste credo przyświecało piśmiu do końca jego istnienia.

„Zeszyty Historyczne” przeciwstawiały się fałszowaniu i zakłamywaniu historii Polski przez rządzących nad Wisłą komunistów, a samo pismo stało się swoistą ripostą na peerelowską historiografię poddaną presji ideologicznej i cenzuralnej. Sprzeciw Giedroycia budziło również >>

Jerzy Giedroyc, redaktor „Kultury Paryskiej”, w swoim domu w Maisons-Laffitte pod Paryżem

FOT. WOJTEK STEIN/REPORTER

Instytut Piłsudskiego w Nowym Jorku). Od 1956 r. nad Potomakiem ukazuje się również anglojęzyczny kwartalnik „The Polish Review” wydawany przez Polski Instytut Naukowy. Bezsprzecznie najważniejszym emigracyjnym periodykiem historycznym stały się jednak „Zeszyty Historyczne” wydawane przez Instytut Literacki „Kultura” w podparyskim Maisons-Laffitte.

Historia, zwłaszcza najnowsza, zawsze bardzo interesowała Jerzego Giedroycia. Tematyka historyczna często była też poruszana na łamach miesięcznika „Kultura”. Jak po latach wspominał Redaktor, z tej dziedziny napływało jednak tak dużo materiałów, że zdecydował się na wydawanie odrębnego pisma.

» uleganie mitom narodowym i pomijanie tematów niewygodnych. Programowo przeciwny „krzepieniu serc” rodaków na emigracji lub w kraju uważał, że historię Polski należy „odbrzązować”, zerwać z hagiografią narodową i celebrowaniem rocznic historycznych. Nie wahał się poruszać tematów kontrowersyjnych, jeśli tylko mogło to służyć poznaniu prawdy.

W jednym z wywiadów u schyłku życia Redaktor przekonywał: „Historycy – podobnie jak nasi przywódcy – muszą mieć odwagę cywilną mówienia Polakom rzeczy, których nie chcą słuchać. Czyli wbrew nim”. Zdarza się, że badacz musi nieraz iść pod prąd społecznym nastrojom czy oczekiwaniom, redaktor „Zeszytów Historycznych” przypisywał jednak miłośnikom Klio zbyt dużą rolę. Jego zdaniem mają oni pełnić funkcję nie tylko edukacyjną, lecz także dydaktyczną, być swego rodzaju nauczycielami narodu. Ciężko na nich swoista misja społeczna. Jak twierdził: „Historycy powinni zmieniać mentalność narodów”. Z pewnością przesadą (a może i przekorą) mówił też: „Nieszczęściem Polski jest to, że jej historia jest tak zakłamana, jak nigdzie na świecie”.

Pismo stało się jednak ważnym forum debaty na temat najnowszej historii Polski, a zwłaszcza relacji Polaków z sąsiadami: Ukraińcami, Litwinami, Białorusinami oraz Niemcami i Rosjanami. Giedroyc przywiązywał szczególną wagę do polityki wschodniej. Na początku lat 90. niejednokrotnie tłumaczył: „Cała nasza obecna polityka jest skierowana wyłącznie na Zachód. Aby jednak przekonać świat i samych siebie, że należymy do Europy, musimy mieć jasną politykę wschodnią, musimy rozumieć, że powinniśmy być zwornikiem tych dwóch światów, gdyż nasza pozycja na Zachodzie będzie mierzona naszą rolą na Wschodzie”.

Emigranci i krajowcy

Wydany właśnie przez IPN tom „Zeszyty Historyczne» z perspektywy półwiecza” pod redakcją Sławomira M. Nowinowskiego i Rafała Stobieckiego jest próbą swoistego bilansu dorobku pisma oraz określenia jego roli w powojennej historiografii polskiej.

Przez blisko pół wieku istnienia pisma przez jego łamy przewinęło się blisko tysiąc autorów. W pierwszych dziesięcioleciach periodyk współtworzyli świadkowie wydarzeń i historycy przebywający

na emigracji. W latach 70. ub.w. pojawili się pierwsi autorzy z Polski, pod pseudonimami. Zasadnicza zmiana dokonała się po 1989 r., gdy na łamach „Zeszytów Historycznych” pojawiła się cała plejada autorów z kraju. W rezultacie w ostatnich dwóch dekadach istnienia pisma „krajowcy” wręcz zdominowali „Zeszyty Historyczne”. W całym okresie tylko incydentalnie w piśmie drukowali autorzy zagraniczni.

„ZESZYTY HISTORYCZNE” STAŁY SIĘ SWOISTĄ RIPOSTĄ NA PEERELOWSKĄ HISTORIOGRAFIĘ PODDANĄ PRESJI IDEOLOGICZNEJ I CENZURALNEJ

W sumie największą liczbą tekstów opublikowanych w „Zeszytach Historycznych” legitymują się Tadeusz Wyrwa, mieszkający nad Sekwaną politolog i historyk, oraz Piotr Wandycz, profesor prestiżowego Yale University, badacz dyplomacji i wybitny znawca dziejów Europy Środkowo-Wschodniej. Każdy opublikował ponad sto artykułów, recenzji, listów do redakcji. Kolejne miejsca na liście „historyków Giedroycia” zajęli londyńczycy: historyk amator Zbigniew S. Siemaszko i autor książki o politycznych aspektach powstania warszawskiego Jan M. Ciechanowski. Następny na tej liście jest Józef Lewandowski, pomarcowy emigrant i wykładowca uniwersytetów w Sztokholmie i Uppsali. Spośród autorów krajowych największą liczbę tekstów w „Zeszytach Historycznych” zamieścili Grzegorz Mazur z Uniwersytetu Jagiellońskiego i piszący te słowa oraz Andrzej Paczkowski z ISP PAN.

Do najciekawszych tekstów zamieszczonych we wspomnianym tomie IPN należą artykuły poświęcone roli i współ-

pracy z „Zeszytami Historycznymi” Piotra Wandycza, Tadeusza Wyrwy i Józefa Lewandowskiego. Teksty te oparto na wnikliwej kwerendzie źródłowej. Ich autorzy (w kolejności Rafał Stobiecki, Miłena Przybysz i Sławomir M. Nowinowski) sięgnęli do korespondencji Giedroycia ze współpracownikami. Pozwoliło to na ukazanie relacji i kulisy współpracy Redaktora z najważniejszymi autorami „Zeszytów Historycznych”.

Piotr Wandycz

O roli i pośrednim wpływie prof. Wandycza na kształt periodyku świadczy nie tylko liczba jego zamieszczonych tam publikacji lub jego pozycja w środowisku polskich (emigracyjnych) historyków, ale przede wszystkim charakter relacji łączących go z Giedroyciem. Wandycz debiutował na łamach „Zeszytów Historycznych” w trzecim numerze. Jego tekst znalazł się również w numerze ostatnim. W trakcie tej długoletniej współpracy Wandycz publikował na łamach „Zeszytów Historycznych” artykuły i materiały źródłowe, był bohaterem wywiadów, wysyłał listy do redakcji. Uwagę zwraca również jego aktywność recenzencka, obejmująca ok. 40 tego typu tekstów. Jak podkreślił Stobiecki, z obszernej korespondencji obejmującej ok. 650 listów, wynika, że Giedroyc wraz z upływem lat coraz bardziej liczył się z opinią Wandycza, choć nie zawsze gotowy był przyjmować jego rady lub sugestie. Ostatecznie to Redaktor jednoosobowo decydował o kształcie poszczególnych numerów „Zeszytów Historycznych”.

Badacze publikujący na łamach „Zeszytów Historycznych” nie stworzyli jakiegś wspólnoty, jednolitego środowiska historycznego, a co najwyżej pewną zbiorowość jako określona grupa zawodowa. Różniły ich wiek, miejsce zamieszkania, doświadczenie życiowe, zainteresowania badawcze. Jak trafnie zaznaczył Jan Pomorski: „Trudno jest tu mówić o środowisku w znaczeniu socjologicznym czy – tym bardziej – o środowisku historycznym jako kategorii historiograficznej. [...] Był to raczej krąg autorów piszących do »Zeszytów Historycznych«”.

Wraz z wydaniem ostatniego numeru „Zeszytów Historycznych” dla ich czytelników i autorów skończyła się jednak pewna epoka. To też jest wyznacznikiem rangi i znaczenia pisma będącego swoistym kustoszem pamięci narodowej. ■

Co gra „trębacz z Samarkandy”?



**RYSZARD
CZARNECKI**

Pod koniec szkoły podstawowej przeczytałem opowiadanie Ksawerego Pruszyńskiego o trębaczach z Samarkandy. Było piękne i tchnęło egzotyką. Zapamiętałem to miasto na końcu świata – w Uzbekistanie.

Minęło ponad 40 lat. Uzbecki odpowiednik TGV mknie między stolicą – Taszkientem a Samarkandą właśnie. Tą samą, o której prezydent sąsiedniego Tadżykistanu Emomali Rahmon długo mi opowiadał, że to tadżyckie miasto, skarb kultury Tadżyków i nadal w sporej mierze przez nich zamieszkane. Patrząc przez szybę wagonu na krajobraz najludniejszego kraju Azji postsowieckiej. Pędzimy ponad 200 km na godzinę. Błyskawicznie przenoszę się z centrum

politycznego Uzbekistanu do miasta z historią sięgającą 4 tys. lat. Poza spotkaniem z wicegubernatorem i ludźmi z kilku projektów finansowanych przez UE zwiedzam imponujące zabytki. Grupa starszych Uzbeków w tradycyjnych nakryciach głowy entuzjastycznie reaguje na wieść, że jestem z Polski: „Polsza!” – słyszę ciepłe okrzyki w jedy-nym obcym języku, który znają. Wyższa urzędniczka Madżlisu – parlamentu w Taszkencie – przypomina sobie z entuzjazmem, że była w naszym kraju, dokładnie w 1995 r. Najważniejsi politycy w tym środkowoazjatyckim kraju dobrze wiedzą, że to właśnie Polacy – ale też inne nacje z naszego regionu Europy (szczególnie aktywni są w postsowieckiej Azji Łotysze i Bułgarzy) – znacznie lepiej niż Niemcy, Holendrzy czy Francuzi ze „starej” Unii rozumieją sytuację państwa, które powstało z socjalistycznej republiki sowieckiej i które nigdy nie będzie spełniać wszystkich europejskich standardów, bo ich tradycja, kultura i hi-

storia są po prostu inne. Polacy nie chcą być prokuratorami ani sędziami wobec Uzbekistanu i Kazachstanu i nie prezentują też względem nich swoistej postkolonialnej arogancji – cechy charakterystycznej naszych bliższych i dalszych zachodnich sąsiadów.

„Trębacz z Samarkandy” łączy Polaków z krajem, w którym – tak jak w całym regionie – toczy się geopolityczny mecz o wpływy między nami, Zachodem a Rosją. A legenda opisana przez tragicznie zmarłego w dziwnym wypadku samochodowym Ksawerego Pruszyńskiego mówi, że przed wiekami w Krakowie najeżdźca z Azji Środkowej zabił polskiego trębacza grającego hejnał – ale zło wraca i z czasem ci, którzy chcieli podbić Polskę, sami dostali się pod okupację Rosji. Żeby to odwrócić, trębacz z Lechistanu na rynku w Samarkandzie musi odegrać cały „Hejnał Mariacki” do końca. W starożytnej metropolii spotkałem rodaków – też może czekają na hejnał jak ja.

AUTOPROMOCJA



TELEWIZJA

W POLSCE PL

Pilnujemy Polski!

OGLĄDAJ NAS CODZIENNIE



**TERAZ
JESTEŚMY
TAKŻE W**



339 dekodery
Mediabox

121 dekodery
KAON
i Horizon

NA POZYCJI

oraz w internecie:

▶ www.wPolsce.pl ▶ www.wPolityce.pl

GRZYMISŁAWA

**JEJ SPOKOJNE ŻYCIE PRZERWAŁA
GWAŁTOWNA ŚMIERĆ MĘŻA ZAMORDOWANEGO
W GAŚAWIE. PO 1227 r. BYŁA ZMUSZONA
DO UDZIAŁU W WIELKIEJ POLITYCE**



**MAREK
BARAŃSKI**

Grymisława była córką Ingwara, księcia Łucka. Do jej małżeństwa z Leszkiem Białym doszło najprawdopodobniej w 1207 r. Dała mężowi dwoje dzieci: córkę Salomeę i syna Bolesława.

Początkowo nie brała udziału w polityce, uaktywniła się dopiero w 1227 r. po śmierci swego męża. Grymisławie zależało na tym, aby jej półtoraroczny syn przejął w przyszłości spadek po ojcu, jednak pretensje do Krakowa mieli także inni Piastowie. Po pierwsze, był to brat Leszka, Konrad mazowiecki. Do tronu krakowskiego pretendował także wyznaczony jeszcze przez Leszka książę wielkopolski Władysław Laskonogi. Nie jego jednak musiała się Grymisława obawiać. Skłócony z własnym bratanikiem, bezdzietny, gotów był przekazać krakowskie dziedzictwo Kraków Bolesławowi. Niebezpieczny natomiast był Konrad – energiczny i zdeterminowany ojciec czterech synów. Były obawy, że nie dopuści bratanka do władzy.

Jednak panowie krakowscy nie chcieli mieć za swego władcę Konrada, sprzymierzili się więc z Grymisławą. Dzięki ich poparciu księżna zaczęła rządzić w dzielnicach krakowskiej i sandomierskiej. Zwotywała wiece, podejmowała decyzje. Tytułowała się tak, jak jej mąż, „ducissa Poloniae”. Długo jednak nie utrzymała się na krakowskim tronie. Zagrożona przez Konrada, za radą panów krakowskich wraz z synem przeniosła

się do Sandomierza. Gdy tam osiadła, przyjęła tytuł księżnej sandomierskiej. Tymczasem Krakowianie dokonali elekcji Władysława Laskonogiego. Ponieważ jednak Władysław musiał powrócić do Wielkopolski, powierzył Kraków Henrykowi Brodatemu. Henryk rządził w ziemi krakowskiej w imieniu Władysława przy pomocy wojewody Marka Gryfity.

Sytuacja polityczna zmieniała się szybko. W 1229 r. Konrad porwał i uwięził Henryka, a Grymisławę zmusił do wyjazdu z Sandomierza. Henryk prędko odzyskał wolność, uwolnienie go wymogła na Konradzie jego żona Jadwiga. Autorytet księżnej był tak wielki, że Konrad nie mógł się jej sprzeciwić. Henryk powrócił do Wrocławia, a gdy w 1231 r. zmarł Władysław, został przez Małopolan wybrany na władcę Krakowa. Spotkał się on w 1232 r. z Konradem w Skaryszewie, tam doszło do porozumienia. Henryk uznał władzę Konrada w Sieradzu i Łęczycy, natomiast Konrad wycofał się z Sandomierza. Dzielnicą sandomierską została przekazana Grymisławie i małemu Bolesławowi, nad nimi rozłożył opiekę Henryk.

Jednak Konrad nie mógł pogodzić się z utratą Sandomierza. W 1233 r. zaprosił Grymisławę z synem na spotkanie, a następnie własnoręcznie pobił bratową i uwięził ją wraz z Bolesławem w klasztorze sieciechowskim. Mimo to nie uzyskał Sandomierza, nie długo też więził księżną i jej syna. Młody magnat małopolski Klemens z Ruszczy zorganizował ucieczkę. Grymisława nie wróciła jednak do Sandomierza, gdyż Henryk uznał, że tam nie będzie bezpieczna. Oddał jej zamek w podkrakowskiej Skale, ale nie odebrał tytułu sandomierskiego. Zarówno ona, jak i jej syn Bolesław byli książętami sandomier-



**Księżna Grymisława
tytułowała się tak jak jej mąż,
„ducissa Poloniae”**

skimi, choć naprawdę w Sandomierzu najwięcej miał do powiedzenia wojewoda sandomierski Pakosław. Konrad ostatecznie uznał prawa Bolesława i jego matki do Sandomierza w 1234 r. wraz z zawarciem układu z Henrykiem Brodatym.

Ani Grymisława, ani tytułujący się księciem Sandomierza Bolesław nie panowali samodzielnie. Byli oni podporządkowani Henrykowi Brodatemu, a po jego śmierci – Henrykowi Pobożnemu. Jednak po zawartym w 1239 r. ślubie Bolesława z córką króla węgierskiego Kingą znaczenie młodego księcia sandomierskiego wzrosło.

W końcu trzeciego dziesięciolecia XIII w. sytuacja wewnętrzna Polski zaczęła się stabilizować, Henryk Pobożny był najpotężniejszym z Piastów, mógł nawet myśleć o koronie królewskiej. Niestety, w 1241 r. uderzyli na Polskę Mongołowie, wojska Henryka zostały rozgromione pod Legnicą, a sam książę zginął w walce. Klęskę tę natychmiast wykorzystał Konrad. Mógł to zrobić, gdyż Mazowsze nie zostało zaatakowane. Konrad zajął Kraków i władał nim do 1243 r. W tym czasie Grymisława z synem i synową przebywali na Węgrzech. Do Krakowa powrócili dopiero wtedy, gdy Klemens z Ruszczy wraz z innymi Małopolanami wypędził Konrada z Krakowa i z Sandomierza. Od tego czasu Grymisława otoczona powszechnym szacunkiem przebywała rządzonym przez syna Krakowie.

Tajemnica rozszyfrowania Enigmy

Pomysł wizyty w Polsce narodził się w chwili, w której Bertrand zorientował się, że francusko-brytyjskie prace nad rozszyfrowaniem Enigmy zabrnęły w ślepią uliczkę, a wyjście z niej mogło okazać się niemożliwe. Bertrand, gdy wybierał się w drogę do Polski, nie wiedział, na jakim etapie łamania szyfrów Enigmy jest sojusznik. Sam miał ze sobą zdobyte przez francuski wywiad dokumenty dotyczące tej maszyny szyfrującej, które na tym początkowym etapie pracy były niczym „manna na pustyni”.

Okazało się, że Biuro Szyfrów, zorganizowane zaledwie pół roku wcześniej z połączenia Referatu Radiowywiadu i Referatu Szyfrów Własnych, nie ma jeszcze na swoim koncie żadnych sukcesów. Kilka lat wcześniej, pod koniec 1928 roku, uruchomiono w Poznaniu kurs kryptologii. Na poznańskie zajęcia z kryptologii zaproszono dwudziestu najlepszych matematyków. Wykładali trzech eksperci: major Franciszek Pokorny, Antoni Palluth oraz Maksymilian Ciężki.

Po kursie ośmiu absolwentów zaangażowano w pracę nad dekryptażem. Aż pewnego wrześniowego dnia 1932 roku poznańskie biuro zamknięto, a trzech zdolnych kryptologów: Mariana Rejewskiego, Jerzego Różyckiego i Henryka Zygalskiego, zaproszono do Warszawy, gdzie już działało Biuro Szyfrów. Maksymilian Ciężki dostał w nim funkcję zastępcy szefa.

Kierownikiem był Gwido Langer, oficer piechoty CK armii w czasie wojny światowej, a po jej zakończeniu – armii polskiej. W 1929 roku przeniesiono Langerę do Oddziału II, gdzie był zupełnym nowicjuszem. A jednak to jego wybrano na kierownika Referatu Radiowywiadu. W 1932 zapadła decyzja połączenia Referatu Radiowywiadu i Referatu Szyfrów Własnych w Biuro Szyfrów. Uznano przy tym, że Langer się sprawdził w poprzedniej funkcji i powierzono mu stanowisko szefa.

Langer i Bertrand szybko znaleźli nić porozumienia, co nie było bez znaczenia. W pracy wywiadu, w której nie wszystko można powiedzieć i komunikacja często ogranicza się do półsłów-
wek czy niedomowień, to istotna zaleta. „Będę wam towarzyszył, może się przydam w razie nieprzewidzianych wypadków”. Ta deklaracja Langerę miała oczywiście związek z gorącymi wydarzeniami w Austrii. A ponieważ Wiedeń istotnie wrzął, Bertrand w porozumieniu z Arnaud postanowił opóźnić podróż do Polski i tu na miejscu śledzić przebieg wypadków. Kilka kwadransów później siedział w ambasadzie francuskiej ze słuchawką telefonu przy uchu.

– Halo! Panie pułkowniku, czy będzie pan tak dobry i zezwoli nam pozostać w Wiedniu, czy może mamy natychmiast wracać?

– W Wiedniu? Jakim Wiedniu? – pytał pułkownik Gauche, posługujący się pseudonimem „Rudzielec”.

– W austriackim, oczywiście. Chcielibyśmy pozostać tu do czasu przybycia Hitlera, co ma nastąpić jutro rano.

– O, nie! Proszę wrócić natychmiast pierwszym pociągiem.

Bertrand odłożył słuchawkę. Dyskusja z pułkownikiem Maurice’em-Henrim Gauche’em nie pozostawiła wyboru. Luc musiał do Warszawy wracać sam, Bertranda i Arnaua czekał powrót do Paryża.

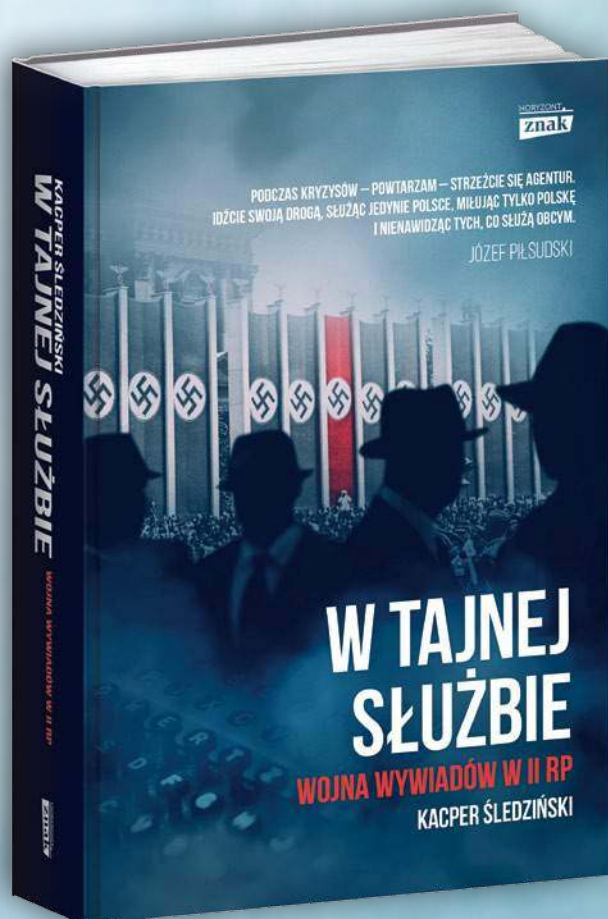
Tymczasem „pierwszy pociąg” odjeżdżał następnego dnia. Na razie jednak musieli znaleźć nocleg, co – jak się okazało – niebawem – nie było wcale takie łatwe, ponieważ wszystkie hotele były zarezerwowane do czasu przybycia Hitlera. Wreszcie udało im się znaleźć wolny pokój, z zastrzeżeniem jednak, że przed ósmą rano należy go opuścić.

Noc była niespokojna. Z ulicy dobiegały krzyki i śpiewy zwolenników Seyss-Inquarta. Wydawało się, że cały Wiedeń buzuje jakąś niezdrową energią. W takich warunkach, mimo zmęczenia kilkudniową podróżą i nerwowym napięciem, trudno było zasnąć. Bertranda nurtowały pytania: Dlaczego pułkownik Gauche kazał im wracać? Dlaczego nie zależało mu na dokładnej relacji? Przecież Arnaud i Bertrand, obaj oficerowie wywiadu, stanowili parę cennych świadków. I co, u diabła, działo się w Austrii?

Lecz nie znalazł na żadne z tych pytań odpowiedzi.

*Fragment książki Kacpra Śledzińskiego
„W tajnej służbie. Wojna wywiadów w II RP”,
która ukaże się nakładem wydawnictwa ZNAK
17 października br.*

*(zamówienia w księgarni internetowej
www.znak.com.pl od 8 października)*



KS. TOMASZ
JACEK SEWERYN

NAJWIĘKSZY NA ŚWIECIE RELIGIJNY OBRAZ
POLSKIEGO MALARZA ROBI OSZAŁAMIAJĄCE
WRAŻENIE. W FOREST LAWN MEMORIAL PARK
CEMETERY W GLENDALE W LOS ANGELES
DOTYCHCZAS OBEJRZAŁO
GO PONAD 20 MLN WIDZÓW

„GOLGOTA” Z KALIFORNIJSKIEGO WZGÓRZA

Chodzi o XIX-wieczne płótno Jana Styki „Golgota”, które od 68 lat jest eksponowane w pawilonie na kalifornijskim cmentarzu. Kto by przypuszczał, że takie gwiazdy jak piosenkarz Michael Jackson, aktor komik Harold Lloyd, aktorka Elisabeth Taylor czy założyciel The Walt Disney Company mogą być pośmiertnie kojarzeni z geniuszem polskiej sztuki, dzieląc to samo miejsce wiecznego spoczynku...

Gigantyczna ilustracja ukrzyżowania Chrystusa – bo o niej mowa – która w Ameryce funkcjonuje pod nazwą „The Crucifixion”, jest umieszczona w specjalnie wybudowanym dla tego obrazu budynku na szczycie wspomnianego cmentarza. Olbrzymia sala audiowizualna otwarta bezpłatnie dla zwiedzających ma 900 miejsc siedzących. Dodatkowo została wyposażona w historyczne eksponaty i obrazy przypominające o polskiej historii, w tym o naszym pianinie i premierze Ignacym Paderewskim. Zwiedzający oglądają prezentację w iście hollywoodzkim stylu. Rozpoczyna się od ciemności, stopniowo w tle narasta

muzyka, niespodziewanie odsłania się kurtyna, eksponując części obrazu, by na końcu, przy pełnym świetle, ukazać jego monstrualną wielkość. Z głośników opowiadana jest biblijna historia Wielkiego Tygodnia – Pasja Chrystusa. Oczy widza podążają za opowieścią narratora: od prawej strony obrazu, poprzez drogę na Kalwarię, do głównego miejsca ukrzyżowania – Golgoty.

Potęga krzyża, piękno obrazu

Widz pewnie mógłby się spodziewać smutnej, przygnębiającej tematycznie prezentacji. Tymczasem autor „Pano-ramy Racławickiej” przekazał w swoim obrazie nadzieję, wiarę w zwycięstwo, w odnowę i triumf cierpienia, które ostatecznie przemienia się w nową jakość życia. Jan Styka zobrazował całe te misterium i teologiczną tajemnicę z niezwykłą precyzją, dbając zarówno o detale, jak i o całość wyrazu. Niesamowite światło od samego początku przykuwa uwagę, zmusza do refleksji i podziwu dla artysty dzieła. Jezus stoi w centrum obrazu, który jest jakby oświetlony z nieba. Od razu nasuwa się refleksja, że tu się dzieje

coś wyjątkowego i doniosłego. Jezus stoi dumnie, na miejscu swojego ukrzyżowania, na Golgocie, spoglądając na krzyż, na którym będzie umierał za całą ludzkość. Spogląda w niebo z akceptacją dla planu „z góry”, który ma się dokonać. Jest sportretowany jako zwycięzca, który niesie nadzieję, a nie jak wystraszona ofiara prowadzona na egzekucję. Setki mieszkańców Jerozolimy i rzymscy żołnierze przyglądają się wyczekująco. W oddali widać miasto Jeruzalem, gdzie wcześniej osądzono i skazano Chrystusa. Nie tylko monstrualna wielkość czyni obraz wyjątkowym, ale również szczegóły w nim zawarte. Sprawne oko obserwatora potrafi dostrzec kilkadziesiąt obrazów umieszczonych w tym jednym, a sam Jan Styka sportretował siebie w postaci św. Pawła. Ponoć inspiracja do sportretowania paschalnych wydarzeń (hebr. pascha – przejście) z życia Chrystusa i historii ludzkości pochodzi od samego Ignacego Paderewskiego. Pianista bowiem podzielił się ze Styką swoim snem, w którym widział zwycięskiego Chrystusa nad nieistniejącą jeszcze Polską. Ten obraz jest niezaprzeczalną, wyjątkową uczcą dla koneserów malarstwa.

Twórca i dzieło

W dobrej sztuce z dzieła emanuje talent i osobowość artysty. Geniusz tego arcydzieła niezaprzeczalnie jest pochodną osobowości Styki. Śledząc życiorys polskiego malarza, zaczynamy rozumieć, dlaczego jego obraz również w 2018 r., króluje na kalifornijskim wzgórzu w USA.

Matka (z domu Fjałkowska) urodziła Jana 8 kwietnia 1858 r. we Lwowie. Od najmłodszych lat rozbudzała miłość do nieistniejącej ciągle Ojczyzny, a po jej przedwczesnej śmierci „babcia Damska” przekazywała zapał i ogień dla spraw ojczystych. W gimnazjum młody Janek otoczony odpowiednimi nauczycielami rozwinął miłość do polskiej poezji, sztuki i wiary. Już wtedy wytworzył w swoim umyśle obrazy religijne. Jak mawiał: „To co jest zadane, musi zmartwychwstać”. Liczne historyczne i narodowe pamiątki rozpały wyobraźnię dziecka. Chodził na nabożeństwa majowe, rozbudzając w sobie miłość i szacunek do Najświętszej Matki i wszystkich kobiet. Natchnienia marzeń i uczuć wyższych konsekwentnie się urzeczywistniały. Szybko stał się popularnym portrecistą, malarzem scen historycznych, batalistycznych i religijnych, autorem obrazów alegorycznych. Niekwestionowany mistrz i twórca czterech wielkich panoram studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu, w Rzymie, a w latach 1882–1885 u Jana Matejki w Szkole Sztuk Pięknych w Krakowie. Styka ubóstwiał Matejkę, pisał o nim jako o ojcu „natchnionym ascecie z głębią ducha, czystością myśli, olbrzymią miłością Ojczyzny”. Po studiach zamieszkał w Lwowie, następnie w Kielcach, od 1900 r. w Paryżu, a od 1910 r. we Włoszech, we własnym domu na wyspie Capri. Był członkiem Akademii św. Łukasza w Rzymie. Uczestnik wielu wystaw, m.in. Paryskich Salonów, cieszył się światową popularnością i sławą.

Przygotowanie do namalowania gigantycznego dzieła lwowski malarz rozpoczął od znaczącej podróży, do miejsca, które pragnął uwiecznić, czyli do samej Jerozo-

limy. Szkice tworzył w Rzymie, tam też jego malarską paletę błogosławił papież Leon XIII. Podczas gdy ukończona „Panorama Racławicka” wyjechała na wystawę do Budapesztu, w opróżnionym budynku Styka przystąpił do malowania drugiego półkolistego dzieła, czyli „Golgoty”. Płótno o wymiarach 59 x 14 m na-



ładowano na statek, Styka był pełen nadziei, że ta eskapada za ocean przyniesie wielki sukces. Nie mógł jednak przewidzieć, że nigdy już nie zobaczy swojego dzieła. Mimo że organizator zapewniał go, iż przygotował odpowiednie miejsce dla zaprezentowania gigantycznej panoramy, nie znaleziono tak wielkiej sali. Na dodatek inne obrazy artysty spaliły się pochłonięte przez pożar ostatniego dnia wystawy. Na domiar złego arcydzieło zostało... zarekwirowane. Nikt bowiem nie był w stanie pokryć znacznej opłaty celnej. Kilkukrotne próby odzyskania płótna nie przyniosły żadnego efektu, tak więc Styka powrócił bez obrazu całkowicie załamany. Zarekwirowane dzieło zaginęło na 40 lat. W 1944 r. zostało przypadkowo odkryte

Portret Jana Styki, obok jego paleta malarska



w jednym z chicagowskich magazynów, zwinięte na telefonicznej beli. Przechowywane w tak skandalicznych warunkach płótno panoramy uległo rozległym uszkodzeniom.

W 1944 r. płótno za bezcen kupił amerykański milioner dr Hubert Eaton.

Przywiózł do Kalifornii, gdzie poprosił syna artysty, Adama Stykę o dokonanie restauracji dzieła, co trwało około dwóch lat. Długo oczekiwany premierowy pokaz miał miejsce w Wielki Piątek w 1951 r. Dr Eaton był jednocześnie założycielem wspomnianego cmentarza Forest Lawn. Miłośnik sztuki, promotor edukacji, naukowiec i biznesmen był przekonany, że cmentarz może być również odpowiednim miejscem prezentowania sztuki, a zawarte w niej piękno tylko pomaga zachować godność pochowanych tam osób. Eatonowi przyświecała idea cmentarza z wizją zwycięskiej nadziei dla żyjących. Wymowa obrazu Styki wkomponowała się w tę narrację.

W latach 2005–2006 obraz został poddany licznym renowacjom przy okazji obchodów 100-lecia istnienia parku cmentarza.

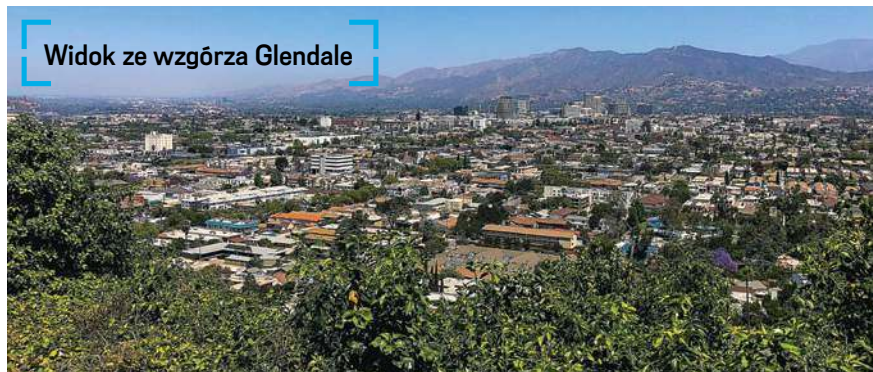
Styka powtarzał: „Kochaj sztukę i nic więcej tylko sztukę, a w niej Boga, Ojczyznę i ludzi!” Odwiedzając dzisiejsze Glendale – Los Angeles, można rzeczywiście na nowo zakochać się w polskości!

ciągnięto w 1895 r., a już 8 lipca 1896 r. ukończona praca uświetniła obchody zjazdu katolickiego, w którym wzięło udział ok. 50 tys. osób. Staraniem Ignacego Paderewskiego dla prezentacji „Golgoty” wzniesiono budynek na Karowej we Lwowie, gdzie zdumiewał, podnosił na duchu, a przede wszystkim edukował tłumy zwiedzających. Rok później dzieło wystawiono w Warszawie, następnie w 1902 r. w Moskwie.

Mają swoje losy obrazy

Dyplomatyczne wpływy Ignacego Paderewskiego otworzyły drogę do USA, aby wielka panorama mogła być zaprezentowana na Światowej Wystawie w St. Louis (1904) w Missouri. Kiedy malowidło za-

Widok ze wzgórza Glendale



RAFAŁ
ŁATKA

W KRĘGU KLIO

W służbie Niepodległej

Sebastian Bojowski, „Nim Hitler runie, śmierć komunie. Wywiad antykomunistyczny Narodowych Sił Zbrojnych pod okupacją niemiecką 1942–1944”, Warszawa 2018, Wydawnictwo UKSW; Miłosz Sosnowski, „Badania nad rodowodem i tożsamością narodową Fryderyka Nietzschego”, Warszawa 2018, Wydawnictwo UKSW; Łukasz Lubryczyński, Karolina Wanda Gańko, „Dorożkarstwo warszawskie w XIX wieku”, Warszawa 2018, Wydawnictwo UKSW; Jan Maria Jackowski, „Książd Jan Gnatowski (1855–1925) na tle epoki. Biografia historyczna”, Warszawa 2018, Wydawnictwo UKSW

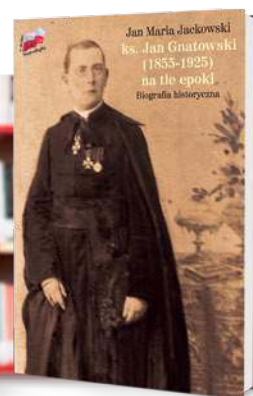
Od prawie dziesięciu lat Wydawnictwo UKSW we współpracy z komitetem redakcyjnym, w skład którego wchodzi najwybitniejsi polscy historycy (m.in. prof. Andrzej Nowak i prof. Jan Żaryn), wydaje wartościową i cenioną serię wydawniczą „W służbie Niepodległej”. Przypadająca w tym roku setna rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości to doskonała okazja, by przybliżyć czytelnikom założenia serii i najnowsze prace, które się w jej ramach ukazały. Głównym celem wydawców było promowanie dorobku naukowego młodych badaczy zajmujących się historią najnowszą, którzy obronili prace magisterskie lub doktorskie na UKSW. W słowie wstępnym do pierwszej pracy wydanej w serii prof. Jan Żaryn, przewodniczący komitetu redakcyjnego, uzasadniał jej powstanie: „Chcemy oświecać od niepamięci polską kulturę, dorobek ludzi, którzy żyli przed nami; chcemy wychować także uczniów, którzy nie zapomną z kolei o naszym dorobku”. Pod tym szyldem ukazało się wiele prac dotyczących nieporuszanych wcześniej zagadnień z zakresu historii najnowszej, przede wszystkim poświęconych dziejom Polski w XX w. Wśród starszych prac warto przypomnieć chociażby książkę Elżbiety Romanowskiej dotyczącą funkcjonowania prokuratury w Polsce Ludowej czy opis dziejów „Solidarności” podziemnej w Szczecinie autorstwa Artura Kubaja.

W br. ukazało się kilka kolejnych prac, na które warto zwrócić szczególną uwagę. Wyróżniają je niewątpliwie podejmowanie nietłuczonych zagadnień z zakresu dziejów najnowszych i wnikliwość badawcza. Na pierwszy plan pod tym względem wysuwa się książka Sebastiana Bojowskiego „Nim Hitler runie, śmierć komunie. Wywiad antykomunistyczny Narodowych Sił

Zbrojnych pod okupacją niemiecką 1942–1944”. Autor przedstawił tytułową i niepodejmowaną dotychczas problematykę, korzystając z nieznanych wcześniej źródeł archiwalnych. Temat umieścił w szerokim kontekście polskiego życia politycznego (zarówno w czasie wojny, jak i jeszcze II RP). Szczególnie cenne są rozważania Bojowskiego dotyczące współpracy struktur wywiadowczych poszczególnych organizacji niepodległościowych w dziedzinie rozpoznania zagadnień komunizmu.

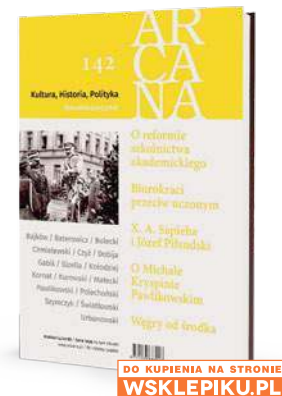
Drugą pracą, na którą warto zwrócić uwagę, jest ta poświęcona badaniu rodowodu i tożsamości narodowej Fryderyka Nietzschego. Jej autor, Miłosz Sosnowski, korzystając z wielu różnorodnych źródeł pochodzących z archiwów rozsianych po Niemczech i terenach dawnej I RP, udowadnia tezę, iż wielki filozof z biegiem czasu oddalał się od niemieckiego poczucia narodowości. Równocześnie Sosnowski dzięki wnikliwości badawczej w przekonujący sposób przedstawia zbliżanie się Nietzschego do polskiej tożsamości narodowej. Sam filozof kilkakrotnie podkreślał, że jego ród wywodzi się z polskiej szlachty.

Oprócz omówionych wyżej prac warto sięgnąć po jeszcze dwa inne opracowania, również opublikowane w 2018 r.: „Dorożkarstwo warszawskie w XIX wieku” autorstwa Łukasza Lubryczyńskiego i Karoliny Wandy Gańko oraz „Książd Jan Gnatowski (1855–1925) na tle epoki. Biografia historyczna” przygotowane przez Jana Marię Jackowskiego. Pierwsza dzięki bogatemu materiałowi źródłowemu i ciekawie przedstawionej ikonografii omawia w interesujący sposób historię warszawskich dorożkarzy, sposób ich działania oraz ich miejsce w społeczeństwie w XIX w. Z kolei opracowanie Jackowskiego przybliża nieznaną szerzej postać ks. Gnatowskiego, kapłana i intelektualisty, autora cenionych powieści fantastycznych.



Dwumiesięcznik „Arcana” nr 141 i 142

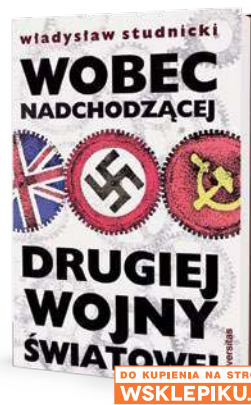
Krakowskie czasopismo „Arcana” od wielu lat wydaje ważne teksty dotyczące historii Polski. Początki pisma sięgają jeszcze okresu solidarnościowego podziemia. Warto szczególną uwagę zwrócić na dwa ostatnie numery. W numerze 141 redakcja pożegnała i jednocześnie przybliżyła dorobek wielkiego sowietologa polskiego pochodzenia Richarda Pipesa. Oprócz dwóch tekstów dotyczących tej tematyki w numerze znalazł się również warty szczególnej uwagi artykuł: „Roman Dmowski i jego wizja Europy narodów na gruzach imperiów (1917–1918)” autorstwa Marka Kornata. Warszawski historyk we wnikliwy i całościowy sposób odtworzył wizję Dmowskiego, wskazując silne i słabe strony rozumowania jednego z ojców Polski niepodległej. Równie interesujący jest numer 142 czasopisma. Znalazły się w nim dwa teksty poświęcone Michałowi Kryspinowi Pawlikowskiemu oraz ciekawy esej ks. Jana Szymczyka o nieodpowiedzialności elit w początkach III RP. Do tego dochodzi publikacja źródłowa wspomnień ks. Tadeusza Kurowskiego na temat Adama Stefana kardynała Sapiehy. To ciekawe spojrzenie na temat życia i działalności metropolity krakowskiego ze szczególnym uwzględnieniem jego relacji z Józefem Piłsudskim. Numer uzupełniają ważne teksty poświęcone pseudoreformie szkolnictwa wyższego Jarosława Gowina autorstwa profesorów Marka Kornata i Janusza Czyża.



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Władysław Studnicki, „Wobec nadchodzącej drugiej wojny światowej”, wstęp i oprac. Jan Sadkiewicz, postłowie Piotr Zychowicz, Kraków 2018, Universitas

Władysław Studnicki był najbardziej znanym i konsekwentnym zwolennikiem współpracy polsko-niemieckiej zarówno w końcowym okresie zaborów, jak i w czasach II Rzeczypospolitej. Nie znajdował pod tym względem zrozumienia u swoich rodaków, dla których jego koncepcje były nazbyt filoniemieckie. Nie znalazł również zrozumienia w 1939 r., gdy przygotował i wydał książkę „Wobec nadchodzącej drugiej wojny światowej”. W proroczy bez mała sposób przedstawił tam przebieg przyszłej „wielkiej wojny” i jej konsekwencje, które dokładnie przewidział. Szczególnie istotna była jego teza, która w całości się sprawdziła, że Wielka Brytania i jej alianci będą płacić sowieckiej Rosji za wsparcie w wojnie wschodnimi terenami Polski. Książka Studnickiego nie dotarła do czytelników, gdyż cały jej nakład został skonfiskowany przez sanacyjne władze. Trafnie zauważył Jan Sadkiewicz, autor wstępu do niniejszego wydania, że zdaniem „sanatorów” nie można było „przewidywać słusznie” i obalać propagandowej wizji polskiego zwycięstwa forsowanej oficjalnie.



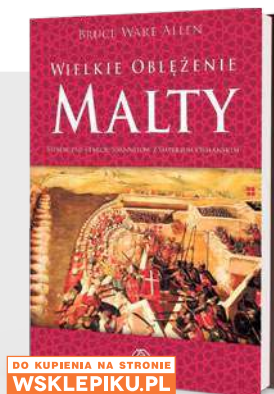
DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Martyna Deszczyńska, Andrzej Nowak, „Kościół na straży polskiej niepodległości”, Kraków 2018, Wydawnictwo Biały Kruk

Dzieje Kościoła katolickiego na polskich ziemiach są nierozdzielnie związane z polską tożsamością narodową. Znaczenie tego związku było szczególnie istotne w okresie walki Polaków o wolność i niepodległość w XIX i XX w. Martyna Deszczyńska i Andrzej Nowak w syntetyczny, ale równocześnie wnikliwy sposób omówili rolę polskiego Kościoła w podtrzymywaniu ducha oporu przeciwko zaborcom, w czasie I i II wojny światowej oraz w okresie komunistycznego zniewolenia. Autorzy przekonująco udowodnili tezę, że „Kościół był wówczas z Narodem”, a polskie duchowieństwo miało swój istotny wkład w walce o polską niepodległość.



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

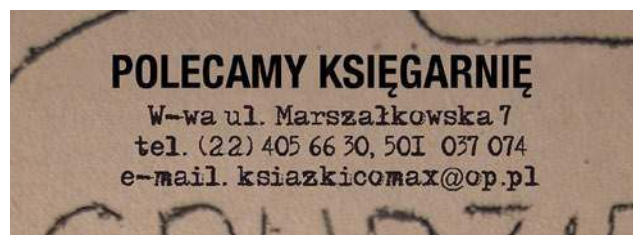
Bruce Ware Allen, „Wielkie obłężenie Malty. Heroiczne starcie Imperium Osmańskiego z joannitami”, Warszawa 2018, Rebis

Na polskim rynku wydawniczym ukazuje się z pewnością zbyt mało stojących na wysokim poziomie prac historycznych dotyczących historii nowożytnej Europy. Warto więc zwrócić szczególną uwagę na książkę

„Wielkie obłężenie Malty”, która tytułowe wydarzenie osadza w szerokim kontekście i w ramach zachodzących procesów historycznych, na czele z rywalizacją dwóch imperiów: habsbur-

skiego Karola V i osmańskiego Sulejmana Wspaniałego. Autor korzysta również z nowych źródeł, dzięki czemu możemy lepiej poznać dzieje obłężenia Malty, kiedy kilkuset jej obrońców odparło 40-tysięczne siły tureckie.

REKLAMA



31/12/17/F

Piastowskie damy



**ELŻBIETA
BRZOSZOWSKA**

Cesarzowa Hiszpanii. Święta, która mimo książęcego tytułu chodziła boso, w płóciennej szaciei pielęgnowała trędowatych. Księżniczka posądzona niesłusznie o zdradę, zamordowana zaraz po urodzeniu syna, zrehabilitowana po latach dzięki ludzaczemu podobieństwu potomka do ojca, która być może stała się inspiracją dla Szekspirowskiej „Zimowej opowieści”. Oto jakże różnymi torami toczyły się losy Piastów i żon Piastów – bohaterek szkiców historycznych Jadwigi Żylińskiej.

Każda z nich zostawiła po sobie ślad w źródłach – mniej lub bardziej wyraźny. Bywały opisywane przez kronikarzy z sympatią i podziwem lub krytycznie, z wyraźną nutą przygany. Pojawiały się

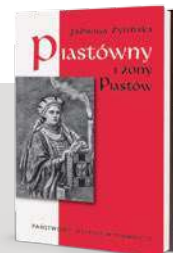
na kartach historii jako żony, córki lub matki, ale też za sprawą własnych wyborów, decyzji i dokonań. Jeśli ktoś sądził, że stanowiły jedynie pełne wdzięku tło męskich rozgrywek o władzę – był w błędzie, a dowody na to wypełniają każdą stronę tej książki. Zbierając pieczołowicie każdy okruszek wiedzy, najbardziej nawet lakoniczny zapis, udało się Jadwidze Żylińskiej stworzyć coś wyjątkowego – barwne, pełne życia portrety kobiet, które na średniowiecznych dworach znajdowały raz chwałę i zaszczyty, innym razem wygnanie i śmierć, a jeszcze innym powołanie i drogę do świętości.

Choć obdarzona wręcz filmową wyobraźnią autorka nie folguje jej beztropko. Źródła, na których opiera swe opisy, przywołuje skrupulatnie, wyraźnie zaznaczając, co wiemy z całą pewnością, a co pozostaje w sferze domysłów i stanowi jej własną opinię. W swej książce nie ogranicza się bowiem Żylińska do roli odtwórczyni chronologii, nie zdaje wyłącznie na oceny dziejopisów – stara się zrozumieć swoje bohaterki – co nie znaczy, że uspra-

wiedliwia każde ich działanie – i formułuje własne sądy. Szuka ich motywacji, powodów podejmowanych decyzji, odwołując się do ich wcześniejszych losów, różnic kulturowych między poszczególnymi dworami, umysłowości tamtej epoki. W efekcie z każdego szkicu wyłaniają się kobiety z krwi i kości – na równi z mężczyznami walczące o zabezpieczenie interesów rodu, świetnie zorientowane w skomplikowanych układach sojuszy, świadome znaczenia politycznych małżeństw, zapisujące się na kartach kronik wspianymi fundacjami, powiększające grono świętych i błogosławionych.

Mamy więc przed sobą cały przebogaty fresk epoki, na którym tym razem królują damy – Piastówny i żony Piastów. ■

Jadwiga Żylińska,
„Piastówny i żony
Piastów”, Państwowy
Instytut Wydawniczy
2018



0 Marszałku dla najmłodszych



**GABRIELA
SIEROCIŃSKA-
-DEC**

Czy można połączyć naukę czytania z przekazywaniem wiedzy historycznej? Zdecydowanie tak! Bardzo ciekawym rozwiązaniem jest seria „Czytam sobie. Fakty” wydawnictwa Egmont.

Oferta skierowana jest do dzieci w wieku 5–7 lat, a poszczególne książki dzielą się na grupy ze względu na poziom zaawansowania w sztuce samodzielnego czytania. Począwszy od „składania słów”, przez „składanie zdań”, aż po „połykanie stron”. Seria liczy już kilkadziesiąt pozycji, a wśród nich nie brakuje tych, które poruszają tematykę historyczną albo opowiadają o znanych postaciach.

Do tych ostatnich należy, wydana z okazji setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości, książka Wojciecha Widłaka „Komendant wolnej Polski” poświęcona Józefowi Piłsudskiemu. Napisała czytelnym językiem historia pozwala na samodzielne poznanie przez dziecko podstawowych informacji z życia przyszłego naczelnika Polski. Punktem wyjścia do opowieści jest spacer Rafała i Hani z wujkiem Ksawerym po Warszawie 11 listopada. Dzieci zaintrygowane dużą liczbą białoczerwonych flag dopytują o przyczynę ich wywieszenia. Rozmowa o wolności staje się pretekstem do poznania fragmentu polskiej historii. Wuj postanawia zaprowadzić dzieci pod pomnik Marszałka i w drodze snuje opowieść o jego losach. Opowiada o miejscu urodzenia Piłsudskiego, działalności niepodległościowej, carskim więzieniu i zesłaniu, aż po wybuch I wojny światowej, utworzenie Legionów Polskich i wojnę

polsko-bolszewicką, a kończy opowieścią o pogrzebie Marszałka.

Na uwagę zasługują pastelowe ilustracje Joanny Rusinek, które przenoszą młodego czytelnika do czasów sprzed 100 lat.

Podobnie jak w innych książeczkach serii na końcu na dziecko czeka nagroda – tematyczne naklejki. Tym razem m.in. takiej treści „Jak ja lubię historię!”. Dodatkowo na skrzydełku okładki znajdują się pytania – mogą być one próbą sprawdzenia zrozumienia czytanego tekstu przez dziecko lub stać się pretekstem do poszukiwania dodatkowych informacji. ■

Wojciech Widłak,
„Komendant wolnej
Polski”, rys. Joanna
Rusinek, Seria „Czytam
sobie. Fakty”, Poziom 2,
Wydawnictwo Egmont,
Warszawa 2018



FILMY TAKIE JAK DAWNE „BITWA O MIDWAY”, „TORA! TORA! TORA!” LUB NOWSZE: „CIENKA CZERWONA LINIA” I „PEARL HARBOR” POKAZUJĄ HEROIZM AMERYKANÓW. JAPOŃCZYCY TO W NICH NIEOBLICZALNI AGRESORZY, ZDOLNI DO SZALEŃCZYCH ATAÓW I ZBRODNI WOBEC POKONANYCH



Japoński heroizm



KAROL MAZUR

Na działania wojenne na Dalekim Wschodzie przywykliśmy patrzeć przez pryzmat kina amerykańskiego. Wprawdzie japońskie produkcje wojenne, jak choćby słynna „Birmańska harfa”, też powstawały po 1945 r., ale miały one przede wszystkim silne pacyfistyczne przesłanie. Nieco inny charakter ma film Junya Sato z 2005 r. „Yamato”, którego bohaterami są japońscy marynarze walczący w obronie swego kraju.

Tytułowy „Yamato” to jeden z największych pancerników, jakie zwodowano w historii całej marynarki wojennej. Ten japoński kolos miał 263 m długości i ponad 65 tys. ton wyporności. Potężnie opancerzony, uzbrojony w dziewięć dział o kalibrze 460 mm i sześć dział o kalibrze 155 mm, był istną pływającą fortecą, zdolną do zniszczenia każdego celu w zasięgu pokładowej artylerii. Niemniej flagowy okręt japońskiej floty nie został w pełni wykorzystany podczas wojny. Z racji zagrożenia ze strony amerykańskiego lotnictwa i łodzi podwodnych był trzymany w oddali od głównych walk. Swoją pierwszą salwę w stronę przeciwnika „Yamato” oddał dopiero podczas bitwy o Leyte u wybrzeży Filipin w październiku 1944 r. Chociaż osiągnął kilka trafień, musiał

natychmiast uciekać przed atakiem torpedowym. Wiosną 1945 r. dowództwo japońskie uznało jednak, że musi do walki rzucić wszystkie posiadane siły. Kiedy Amerykanie rozpoczęli inwazję na strategicznie ważną wyspę Okinawa, klucz do desantu na Japonię, „Yamato” wraz ze skromną eskortą został wysłany w swój ostatni rejs, samobójczą misję zadania jak największych strat potężnej flocie lotniskowców US Navy. Nie mając odpowiedniego wsparcia z powietrza, stał się łatwym celem amerykańskiego lotnictwa, które po kilku falowych atakach zatopiło go 7 kwietnia 1945 r.

Film zaczyna się w kwietniu 2005 r., kiedy do portu na południu Japonii przybywa młoda dziewczyna w poszukiwaniu kogoś, kto zawiózłby ją łodzią w miejsce zatopienia „Yamato”. Jest zdeterminowana, gdyż w rocznicę zagłady okrętu chce rozrzucić tam prochy swego niedawno zmarłego ojca, który był jednym z ocalałych z załogi pancernika. Nikt jednak nie spieszy jej pomóc: trzeba pokonać znaczny dystans w niesprzyjającą pogodę. W końcu lituje się nad nią stary rybak, który okazuje się też jednym z byłych marynarzy „Yamato”, towarzyszem broni jej ojca. Wspólna wyprawa staje się pretekstem do wspomnień o wydarzeniach sprzed 60 laty. W retrospekcji poznajemy losy pancernika i jego załogi w ostatnich dniach przed i w czasie strasznego boju. Twórcy filmu zarysowali charakterystyczne postaci bohaterów, ich sytuacje rodzinne oraz relacje z przełożonymi i kolegami na okręcie. Wszystko oczywiście po to, aby

widz mógł zrozumieć ich dramat podczas ostatniego rejsu „Yamato”. Walka pancernika wypełnia ostatnie pół godziny filmu. Widzimy przede wszystkim stanowiska obrony przeciwlotniczej, masakrowane ostrzałem amerykańskich myśliwców. Japońscy marynarze walczą do śmierci własnej i okrętu.

„Yamato” nie jest dla europejskiego widza filmem łatwym w odbiorze. Jest na pewno za długi (143 min). Rażą zwłaszcza monotonne i przegadane sceny pożegnań bohaterów przed ostatnim rejsiem. Same sceny bitewne nie powalają efektami specjalnymi. Stanowiska ogniowe na pancerniku wydają się „tekturowe”, a okręt „przekomputeryzowany”. Najbardziej jednak może drażnić widza patriotyczny patos, bijący na głowę nawet egzaltację w wydaniu amerykańskim lub sowieckim. Te wszystkie niedoskonałości należy jednak usprawiedliwić kontekstem kulturowym. Wiadomo, jak ważną rolę w japońskiej mentalności odgrywają pojęcia honoru i obowiązku. Dlatego w filmie nacisk został położony na przedstawienie ludzi i ich motywacji, a nie na stworzenie widowiska historycznego.

Z pewnością „Yamato” jest ważną produkcją dla budowania świadomości historycznej samych Japończyków. Oddaje bowiem postawy patriotyczne ich przodków i w jakiś sposób leczy z powojennej traumy. Ważne, że film został pokazany w stosownym kontekście historycznym. Nie ma wprawdzie mowy o japońskich zbrodniach, ale na początku dowiadujemy się, kto rozpoczął działania militarne i jakie były koleje wojny na Pacyfiku. W trakcie filmu nie pojawia się też żaden amerykański żołnierz. W ten sposób Japończycy z pewnością chcieli pokazać, o co, a nie z kim walczyli.

SZCZUR, KTÓRY ZOSTAŁ PSEM^{cz.2}

**JOCK, BOHATER „JOCK OF THE BUSHVELD”,
W SWOIM ŻYCIU PSA MYŚLIWSKIEGO MIERZYŁ SIĘ
W WALCE NA ŚMIERĆ I ŻYCIE NIE TYLKO Z LWAMI
I BAWOŁAMI, ALE TEŻ KROKODYLEM I PAWIANEM**



**MAGDALENA
SZCZEPANIAK**

Miejsce Jocka zawsze było za swoim panem, Percym, choć w dziewięciu przypadkach na dziesięć to Jock pierwszy wyczuwał zwierzyńnię, długo zanim Percy zorientował się w sytuacji. Polowali w buszu gęstym i bujnym, gdzie w pogoni za zwierzyńnią łatwo było zgubić drogę. Nie było ubitych szlaków ani punktów orientacyjnych, wszystko wyglądało podobnie, więc nawet doświadczeni łowcy mogli się zgubić w buszu. Niektórzy odnajdywali się po kilku dniach, inni wcale, jeszcze innych zabijały lwy. Percy słyszał o przypadku, kiedy we wnętrznościach zabitego lwa znaleziono obrączkę zaginionego myśliwego i tak zagadka jego zniknięcia się rozwiązała. Więc kiedy pewnego dnia po długim i zawziętym polowaniu na wółwatego ssaka kudu Percy i Jock stracili orientację, ten pierwszy przeraził się nie na żarty. Jock zadowalał się każdym pościgiem, to był jego żywioł, a Percy gnał za nim. Jednak kudu okazało się zwinniejsze i szybsze. Nie dość, że stracili zwierzę, to i drogę. Nie mieli wody i krążyli w kółko przez wiele godzin.

Innym razem Percy'emu zamarzyła się duża zwierzyńna, taka w rodzaju bawoła afrykańskiego. Tu dygresja. Bawół jest potężnym ssakiem, który ma niewielu naturalnych wrogów poza człowiekiem. Jest zaliczany do wielkiej piątki Afryki, czyli do najniebezpieczniejszych zwierząt na Czarnym Lądzie. Rocznie od ich ata-

ków ginie ponad 200 osób. Uważa się, że bawoły zabijają więcej ludzi niż jakiekolwiek inne zwierzę, w tym lwy i nosorożce. Nieraz obserwowano, jak ranne osobniki zasadzały się na myśliwych i z zawziętością ich atakowały.

Raz więc Percy i Jock natrafili na ślad kilkunasu bawołów – byków, krów i cieląt. Jock szedł przodem, bo jego ruchy były bezszelestne, najmniejszy gest, sugestia uciszenia ze strony Percy'ego powodowało, że pies zastępował w bezruchu. Rozumiali się bez słów, tylko obserwując się nawzajem. W buszu tak gęstym, że trudno było rozróżnić cokolwiek, dostrzegli poruszający się ogon, który zdradził zwierzę. Padł strzał, Jock czekał na pozwolenie na pościg, ale go nie otrzymał, warował więc. A byk zniknął. Percy przypomniał sobie radę znajomego – odnoszącą się do polowania na bawoły – wyśmienitego myśliwego, która brzmiała: „Wyluzuj: strzelaj celnie albo zostań w domu”. Dostrzegli krwawy ślad. Ranny bawół w gęstym buszu – mało gorszych rzeczy mogło ich spotkać w tamtym czasie. Ślady wskazywały na to, że jest poważnie rany, ale nie ma nic złamanego i pozostaje groźny. Dobiegli w dolinę pełną śladów kudu, gnu, ridboka,

buszboka, dujkerów, ale nie zważali na to, ścigali swojego bawoła.

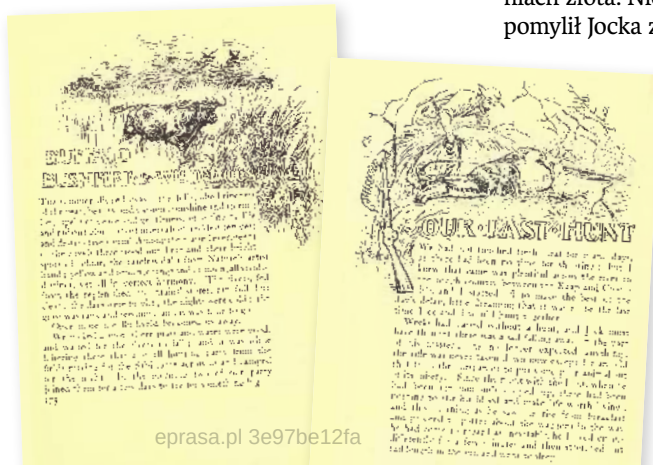
Kiedy dobiegli na wzniesienie, usłyszeli nawoływania rdzennych mieszkańców, którzy wykryli rannego bawoła i chcieli go zdobyć, podpalając busz. Percy nie krył przerażenia. Nie paliła się zwykła trawa, którą często się wypalało, tylko gęsty, niebezpieczny busz. Widzieli zwierzęta, uciekające tak jak oni, w tę samą stronę. Łap Jocka nie chroniły buty, dlatego Percy wziął go na ręce i tak uciekali. Temperatura była nie do wytrzymania. Wykończeni, dotarli do obozu długo po zmroku. Bawół wydawał się Percy'emu częścią innego, nierealnego życia.

Jock w swoim życiu zmierzył się też z krokodylem i pawianem. Był nieustraszony, za pierwszym gadem, ranionym ze strzelby przez Percy'ego, rzucił się do rzeki i ciągnął go za ogon na brzeg, choć wciąż mógł on jednym kłapnięciem paszczy pozabawić go życia.

Z pawianem stoczył walkę na śmierć i życie w obozie, gdzie znajdowały się kopalnie złota, na drodze do Lydenburga. Mieszkał tam zarządca, skorumpowany pijak. Był właścicielem pawiana, którego wystawiał do walk. Tego dnia mężczyzna pił od rana i szukał zaczepki. Kiedy zobaczył psa, zawołał go przyjaźnie, a następnie rzucił w łapy potężnej małpy, uwiązanej na łańcuchu. Pies nie miałby żadnych szans w otwartej walce, ale to był Jock, inteligentny i zaprawiony w bojach. Po długiej walce i jeszcze dłuższych podchodach zmiażdżył pawiana, ciągnąc go za łańcuch, który owinał się wokół jego brzucha.

Jock był już wtedy zupełnie głuchy, co w buszu nie stanowiło dla niego niebezpieczeństwa, ale w obozach, pełnych wozów z końmi, już tak. Nieraz cudem uniknął śmierci pod kołami tylko dlatego, że poczuł wibrującą ziemię. Z tego powodu Percy oddał go znajomemu na jakiś czas, miał zamiar go potem zabrać, kiedy skończyłaby się jego praca przy kopalniach złota. Nie zdążył. Nowy właściciel pomylił Jocka z dzikim psem i zastrzelił

go na werandzie własnego domu. O fatalnej pomyłce przekonał się nad ranem. Znalazł też dzikiego psa, zabitego wcześniej przez Jocka, który po dobrze wykonanym zadaniu wkroczył na werandę – jak zawsze – jako zwycięzca.



PUSTYNNY KRZYŻOWIEC, CZYLI CZOŁG CRUSADER

**CZOŁGI CRUSADER BYŁY ISTOTNĄ SIŁĄ
BRYTYJSKIEJ ARMII W CZASIE KAMPANII
PÓŁNOCNOAFRYKAŃSKIEJ**



**KACPER
GROCHOCKI**

W 1936 r. brytyjska delegacja wojskowa przebywała z wizytą w ZSRS. Na gościach z zachodu duże wrażenie wywarły czołgi szybkie z „rodziny” BT. Anglicy szczególnie zainteresowali się zawieszeniem tych pojazdów konstrukcji amerykańskiego inżyniera Waltera Christie i sami zdecydowali o stworzeniu wozów bojowych wykorzystujących podobne rozwiązania. W ten sposób powstała seria brytyjskich czołgów krążowniczych A13, której ostatnim przedstawicielem był Covenanter.

Okazało się jednak, że budowany przez rząd Covenanter był konstrukcją nieudaną. Mimo że podjęto się jego seryjnej produkcji (niespełna 1,8 tys. szt.), nie został użyty bojowo i służył jedynie do celów szkoleniowych. Jego głównym problemem była jednostka napędowa z niewydolnym systemem chłodzenia.

W 1939 r. William Morris, lord Nuffield, twórca Morris Motor Company, zaproponował brytyjskiej armii stworzenie własnego, nowego czołgu krążowniczego spełniającego w ogólnych założeniach wymogi przedstawione dla Covenantera. Wojsko zaaprobowало ten pomysł, a wóz otrzymał oznaczenie A15 i z czasem nazwę własną Crusader (Krzyżowiec).

Nowy czołg został wyposażony w inny silnik (zmodyfikowany lotniczy Liberty) i dodatkową parę kół jezdnych oraz



przekonstruowaną w niewielkim stopniu wieżę. Uzbrojenie główne stanowiło działo dwufuntowe (kal. 40 mm) sprzężone z karabinem maszynowym kal. 7,92 mm. Pierwsza wersja wozu miała jeszcze dodatkowy karabin maszynowy w małej wieżyczce zamontowanej z przodu kadłuba, po lewej stronie kierowcy. Zrezygnowano z niej w kolejnych wersjach produkcyjnych, była bowiem źle wentylowana i nawet po krótkim prowadzeniu ognia wypełniała się gazami prochowymi. W ostatniej wersji produkcyjnej (Mk III) działo dwufuntowe zastąpiono armatą sześciofuntową (kal. 57 mm), co wzmocniło siłę ognia pojazdu. Opancerzenie miało grubość, w zależności od modelu, od 7 mm (kłapy silnika w Mk I) do 51 mm (przód wieży w Mk III). Wspomniany już silnik Liberty generował moc 340 KM, co pozwalało Crusaderowi na osiągnięcie prędkości maksymalnej ok. 43 km/h na drogach; zasięg wozu wynosił ok. 225 km.

Załoga czołgu pierwotnie liczyła pięć osób, w drugiej wersji cztery, a w trzeciej już tylko trzy – ze względu na większe gabaryty działa sześciofuntowego, które ograniczało miejsce w wieży.

Prototyp czołgu był gotowy w czerwcu 1939 r., a produkcję seryjną rozpoczęto rok później, w listopadzie. Pierwsze czołgi trafiły do oddziałów frontowych stacjonujących w Egipcie w maju 1941 r. Crusader pod względem parametrów technicznych był w tym czasie równorzędnym przeciwnikiem dla większości wozów bojowych państw Osi. Początkowo jednak problemem dla brytyjskich czołgistów nie był wróg, lecz własne maszyny. Ekstremalne warunki walk toczonych w Afryce Północnej wystawiały na ciężką próbę wszystkie pojazdy – piasek, kurz i temperatury błyskawicznie obnażały słabe strony każdej konstrukcji. W przypadku Crusadera kłopoty sprawiał głównie układ chłodzenia silnika, pompa wody, filtry i przeniesienie napędu. Z częścią usterek poradzono sobie szybko, z innymi czołgi borykały się do końca służby. W pierwszym półroczu użytkowania wozu straty z powodu awarii przewyższały straty bojowe.

Z tych powodów załogi miały ambiwalentne odczucia względem Crusaderów. Doceniane były ich szybkość oraz manewrowość, dostateczna też była siła ognia czołgu. Jednak wysoka podatność na usterki i nie najlepszy pancerz niwelowały zalety pojazdu. Niemniej jednak w toku wojny łącznie wyprodukowano blisko 6 tys. Crusaderów i pojazdów na nim bazujących – wozów dowodzenia, przeciwlotniczych, technicznych czy bliskiego wsparcia.

Po zakończeniu walk w Afryce Północnej, gdzie przez pewien czas były główną siłą armii brytyjskiej, czołgi A15 trafiły do jednostek rezerwowych i szkoleniowych, m.in. „uczyła się” na nich 1. Dywizja Pancerna gen. Maczka. W służbie frontowej do końca wojny pozostały pojazdy bazujące na Crusaderach, czołgi zaś zastąpiły już lepsze konstrukcje m.in. Sherman i Cromwell.



**JOANNA
PUCHALSKA**

PANI PADEREWSKA

ADAM ZAMOYSKI W SWOJEJ ŚWIETNEJ KSIĄŻCE O PADEREWSKIM NAPISAŁ: „JEJ POKÓJ MIAŁ W SOBIE COŚ Z POKOJU NACZELNEJ PIELĘGNIARKI I ZARAZEM PENSJONARKI: PODCZAS GDY BIURECZKO WPROST PĘKAŁO OD RACHUNKÓW I PAPIERÓW, ZNAJDOWAŁA SIĘ TAM RÓWNIEŻ KOLEKCJA LALEK, FOTOGRAFII, LEKARSTW I BIBELOTÓW”

Królestwo Heleny Paderewskiej wychodziło daleko poza opisany pokój, znajdujący się w willi Riond-Bosson niedaleko Lozanny. Bo wprawdzie prowadzeniem domu zajmowała się Antonina, siostra Paderewskiego, ale Helena – oprócz troszczenia się o zdrowie i potrzeby męża oraz towarzyszenia mu w podróżach i tournée – realizowała na terenie szwajcarskiej posiadłości swoją

wielką pasję, rozwijając hodowlę rasowego drobiu. Szło jej świetnie, za swoje okazy w latach 1899–1914 zgarnęła ponad 300 nagród. W 1913 r. zaczęła prowadzić drobiarskie kursy dla Polek. Uczennicom zapewniała naukę, nocleg w małym domku w parku i wyżywienie w willi.

Drób bardzo się zasłużył, gdy w 1914 r. wybuchła wojna. Państwo Paderewscy przyjęli wtedy pod swój dach uciekinierów, co wiązało się z koniecznością ży-

wienia ok. 50 osób. Przez pierwsze trzy miesiące spożyto w Riond-Bosson 1,3 tys. kurcząt. Jak pisze sama Helena: „Miały swój skromny wkład w sprawę wolności, wspomogły bowiem wyżywienie naszych gości uciekinierów. Mogę zaświadczyć, że te kurczęta były najcenniejszymi, jakie kiedykolwiek pojawiły się na naszym stole”.

Druga żona drugiego męża

Po raz pierwszy za mąż Helena Roseńówna wyszła za skrzypka Władysława Górskiego. Początkowa przyjaźń z występującym razem z mężem młodym muzykiem Ignacym Janem Paderewskim stopniowo przerodziła się w miłość. Po kilku latach Helena Górską, otrzymawszy stwierdzenie nieważności pierwszego małżeństwa, 31 maja 1899 r. w warszawskim kościele św. Ducha w Warszawie poślubiła przyszłego premiera Rzeczypospolitej, wtedy już znanego pianistę i kompozytora, który od 19 lat był wdowcem. Odtąd towarzyszyła mu wszędzie, brała udział we wszystkich jego przedsięwzięciach. Także wtedy, gdy opuścił Riond-Bosson i zajął się polityką.

Bo przyszła wojna

W Paryżu zobaczyła lalki sprzedawane na pomoc charytatywną ofiarom wojny. Pomyślała, że można by zawieźć do Ameryki takie lalki, wykonane przez polskich artystów, i tym sposobem zdobyć fundusze na pomoc dla rodaków. W przedsięwzięcie zaangażowała się panna Marie, córka Władysława Mickiewicza. Mąż pożyczył na start 10 tys. franków i w ciągu następnych dwóch lat lalki z Paryża podbijały Amerykę. Panna Mickiewicz organizowała kolejne dostawy, a pani Paderewska handlowała wszędzie tam, gdzie koncertował mąż. Był to dla niej kłopot, ale cieszyła się, że pomaga zapewnić byt polskim uchodźcom w Paryżu, którzy lalki robili, a z zysków może kupić mleko dla dzieci w Polsce i realizować inne pożyteczne cele. „Lalki były duże i małe, lalki delikatne i lalki niezniszczalne. [...] Niejednokrotnie z prawdziwym smutkiem rozstawałam się

z jakąś konkretną lalką, tak ją polubiłam”. Tylko na jednym polskim festynie w domu pana Ernesta Fabbri i jego małżonki fundusz pomocowy wzbogacił się o ponad 3 tys. dol.

Biały Krzyż

Jesienią 1917 r. Helena Paderewska założyła Komitet Opieki nad Polskimi Żołnierzami, który miał zapewniać opiekę żołnierzom w obozach szkoleniowych w Kanadzie oraz ich rodzinom w Stanach. Pod koniec tego roku narodził się pomysł, aby utworzyć w Ameryce Polski Czerwony Krzyż, który był znacznie bardziej prestiżową, a przez to skuteczniejszą instytucją. Pani Paderewska złożyła podanie o stosowną zgodę, lecz jej odmówiono, argumentując, że Polska nie będąc suwerennym państwem, nie może mieć swojego Czerwonego Krzyża. Nie powiodła się także próba przekształcenia Komitetu Opieki nad Polskimi Żołnierzami w Polską Pomoc Amerykańskiego Czerwonego Krzyża. Skoro zatem z Czerwonym Krzyżem nie wyszło, założyła Polski Biały Krzyż, który miał się zajmować polskimi żołnierzami w Kanadzie. Później jego działalność rozszerzyła się na Francję, a półtora roku później objęła praktycznie całą Polskę.

Przystanek Niepodległość

Do Polski Paderewscy przyjechali w grudniu 1918 r., a w styczniu 1919 r. Ignacy objął urząd premiera. Pierwsze wybory odbyły się 26 stycznia i 10 lutego Paderewski otworzył pierwszy polski sejm. A Helena rzuciła się w wir pracy organizacyjnej i już w lutym została przewodniczącą Rady Naczelnej Polskiego Białego Krzyża, powstałego dzięki niej także w Polsce. Organizacja szybko się rozrosła i do końca 1919 r. liczyła 69 kół zrzeszających ponad 19 tys. członków. Zaopatrywała szpitale polowe i cywilne w leki, pościel, koce i materiały opatrunkowe. Ludności cywilnej przekazywano odzież z darów, organizowano żłobki i szkoły, niesiono pomoc tym, którzy utracili wszystko. Do końca lata Biały Krzyż założył ponad 50 kantyn pułkowych, kantyny na głównych stacjach kolejowych, jeden szpital z 80 łózkami i jeden sklep hurtowy, w którym żołnierze mogli tanio kupić podstawowe artykuły. Na apel Heleny Paderewskiej Wydział Narodowy Polski, działający w USA, przysyłał dary, które szły na front, do instytucji cha-

rytatywnych w Warszawie i dla ludności cywilnej na terenach objętych wojną. Od Polaków z Ameryki przychodziły całe transporty odzieży i żywności oraz pieniądze. Darczyńcą był też Amerykański Czerwony Krzyż, Kanadyjski Czerwony Krzyż, Żydowski Komitet Rozdzielczy oraz Polonia z Australii.

A jednak nie lubiano pierwszej damy

W natłoku zajęć zawsze znalazła czas na to, by czuć nad mężem. Miała wręcz na tym tle obsesję. Nieraz nalegała, żeby się zdrzemnął, zamiast iść na spotkanie, choć tam obecność jego była niezbędna. Gdy drzemał, odbierała jego pocztę i bywało, że uznawszy pisma za nieważne, chowała je i zapominała o nich, a potem ich roz-

SKORO Z POLSKIM CZERWONYM KRZYŻEM NIE WYSZŁO, ZAŁOŻYŁA POLSKI BIAŁY KRZYŻ

paczliwie szukano. Miała inne denerwujące zachowania, które budziły niechęć. Kiedy узнаła, że spotkanie trwa za długo, wchodziła bez pardonu i fukała na obecnych, że przemęczają jej męża. Dyplomata Jan Drohojowski wspomina, jak wołała do Paderewskiego, który szedł podpisać traktat wersalski: „Inniuniu, mój zwierzaku, czy wzięłeś szalik? Zimno dzisiaj”. Takie kwestie wygłaszane publicznie ośmieszały bądź co bądź, premiera Rzeczypospolitej. Wiele osób uważało, że pani premierowa za bardzo wtrąca się w sprawy państwowe. Minister skarbu Leon Biliński utrzymywał, że to ona „właściwie rządziła w Polsce za męża lub za jego pośrednictwem”. A Jan Lechoń w „Wierszu o złej żonie” napisał złośliwie:

To wstyd, to despekt! hańba!

U samiutkiej góry

Wszystko dzisiaj jest w rękach,

co macały kury.

Niewątpliwie, jak pisze Zamoyski, pałała ofiarą rozczerwonywania działalnością rządu i na niej wyładowywano frustrację, krytykując nie tylko wypowiedzi, lecz też

wygląd i strój. „Mogłaby straszyć dzieci, grać za sceną grzmoty” – sugerował Lechoń w tym samym utworze. Oburzało to Paderewskiego. Podobno powiedział ze łzami do Macieja Rataja: „A co mnie najbardziej boli, to to, że nie szczędzą przykrości mojej żonie, najlepszej istocie, która całą siebie poświęciła pracy nad ulżeniem doli tych, którzy pomocy potrzebują. To jest okrucieństwo, barbarzyństwo. Niech mnie szkalują, ale niech moją żonę zostawią w spokoju”.

Tym bardziej że robiła wiele dobrego

W początkach kwietnia 1919 r. wyjechała z mężem do Paryża na obrady konferencji pokojowej. Stamtąd wysłała do kraju transporty ze składów armii amerykańskiej i darów angielskiego St. John Society, a władze francuskie przekazały wyposażenie medyczne dla armii polskiej i PBK uruchomił w Polsce centralną hurtownię, rozsyłającą zaopatrzenie na front i do placówek wojskowych. Organizowała zbiórki ciepłej odzieży dla armii. Z jej inicjatywy zakładano żłobki i ochronki dla dzieci wysiedleńców – Ochronka i Żłobek im. H. Paderewskiej powstały też w Warszawie. Pani premierowa była także inicjatorką powstania opiekującego się małymi chłopcami Klubu Sprzedawców Gazet w Warszawie i pokryła koszty jego utrzymania w 1919 r. Kierowała też Centralnym Komitetem Pomocy dla Dzieci i szacuje się, że w sumie na pomoc polskim dzieciom przez jej ręce przeszła kwota 500 tys. dol.

Odejście z polityki

W grudniu 1919 r. Paderewski złożył rezygnację i wkrótce wyjechali najpierw do Szwajcarii, a potem do Stanów. Przed wyjazdem pani Helena nabyła z funduszy otrzymanych od Polonii amerykańskiej majątek Julin, w którym powstała Szkoła Hodowli Drobiu i Gospodarstwa Domego wraz z internatem. Zakupiła też posiadłość w Sulejówku na Dom dla Zasłużonych Staruszek, zarządzany później przez Towarzystwo Pomocy dla Inteligencji.

Od 1922 r. podróżowała z koncertującym znowu mężem, troszczyła się o jego zdrowie i o finanse. Co tu dużo mówić, Paderewski artysta miał w niej ogromne wsparcie. I mocno to przeżył, gdy po trudnej dla wszystkich chorobie, wiążącej się z depresją i zanikami pamięci, w 1934 r. odeszła na zawsze.

WIELKA KARIERA FARMACJI

KIEDYŚ KRAŻYŁO TAKIE POWIEDZENIE: JEŚLI KTOŚ CHCE ZAINWESTOWAĆ W DOCHODOWY BIZNES, POWINIEN ZAŁOŻYĆ APTEKĘ, PONIEWAŻ LUDZIE NIGDY NIE PRZESTANĄ KUPOWAĆ LEKÓW, A WRĘCZ SPOTĘGUJE SIĘ ZAPOTRZEBOWANIE NA MEDYKAMENTY



Thot, bóstwo starożytnego Egiptu. Jego imię dało nazwę farmacji



KRZYSZTOF ŻARYN

Można odnieść wrażenie, że wielu przedsiębiorców wzięło sobie do serca tę poradę, bo na ulicach Warszawy apteka powstaje obok apteki. Z tego też względu jednym z bardziej popularnych kierunków studiów, wybieranych równie chętnie jak kierunki medyczne, jest farmacja. To nauka skupiająca wiedzę o lekach, ich przygotowaniu, działaniu na nasz organizm oraz wydawaniu pacjentom. By być farmaceutą, trzeba ciężko pracować.

Podstawy wiedzy, jaką muszą przyswoić aptekarze, sięgają tysięcy lat i dotyczą często bardzo odległych dziedzin – od chemii, przez biologię, po fizjologię. Tu postaramy się ustalić, kiedy ta nauka zaczęła się rozwijać, skupiając się głównie na czasach starożytnych i – o dziwo – średniowiecznych.

Do rozwoju wiedzy na temat leków przyczyniły się wszystkie dotychczas opisywane przeze mnie w tym cyklu dziedziny medycyny. Pierwsza informacja na temat substancji leczniczych pochodzi od Sumerów. Istnieje legenda, która mówi, że pierwszy medykament miał być przekazany przez Gilgamesza umierającemu przyjacielowi, jednak bogowie chcący przejąć „roślinę życia” zesłali węża, by wykraść zdrowotne panaceum. W piśmiennictwie odnaleźć można wzmiankę na temat stosowania

pokrzyku wilczej jagody (rośliny w dużych ilościach silnie trującej) do uśmierzania skurczów pęcherza, napadów ślinotoku oraz kaszlu. Opisywane w jednym z wcześniejszych odcinków konopie indyjskie były w Mezopotamii stosowane jako lek przeciwbólowy.

Bogom Egiptu zawdzięczamy

Nazwa dziedziny wiedzy dotyczącej medykamentów pochodzi ze starożytnego Egiptu. Bóg Thot, bóstwo odpowiedzialne za wstawiennictwo zdrowotne, określany był mianem „tego, który strzeże”, co w staroegipskim języku brzmiało „Ph-Ar-Maki”. Jego imię dało początek pojęciu farmacji – dziś rozpowszechnionemu na



Aptekarka przy półkach z lekami, maj 1941 r.

całym świecie. Wiedza na temat aptekarskiego stanu świadomości Egipcjan pochodzi z wielu odnalezionych papirusów. W dziedzinie medycyny prym wiedzie (opisywany już kiedyś przeze mnie) papirus Ebersa. Oprócz opisu wielu chorób oraz metod ich leczenia możemy w nim znaleźć listę ponad 700 leków, wiele sposobów ich przyrządzania, a także podawania. Były to głównie leki na bazie roślin. Wśród nich występują: siemę lniane, jałowiec, mak. Egipcjanom znane były już maści, pigułki, a nawet czopki podawane doodbytniczo. Każdy lek zawierał opis najlepszej formy podania, często była to sugestia rozpuszczenia go w mleku, piwie lub winie. Można uznać, że poziom wiedzy egipskich uczonych na temat środków zdrowotnych był bardzo wysoki. Ponoć prawie jedna trzecia znanych nam dziś lekarstw stosowana była również w starożytności nad Nilem. Trzeba jednak wspomnieć, że faraonowie i ich medycy mieli również nieco gorsze pomysły. Za środki pozytywnie wpływające na zdrowie uznawano bowiem brud spod paznokci, dziecięcy mocz, tłuszcz hipopotama i wiele innych zadziwiających substancji. Co ciekawe, w dzisiejszym Egipcie znajdują się jeszcze wsie, których mieszkańcy korzystają z „mitycznych” sposobów leczenia pozostawionych im przez przodków. Może nie z tych ostatnich wymienionych... Dużą popularnością cieszą się natomiast starożytne metody ziołolecznictwa i domniemania na temat wpływu roślin na zdrowie.

Asklepios i śmiertelni następcy

Powszechnie wiadomo, że naukę kulturowaną przez starożytnych Egipcjan odziedziczyli i rozbudowywali starożytni Grecy. Podobnie było w przypadku farmacji. To wprowadzili do ogólnego użytku takie słowa jak higiena, panaceum czy apteka. Dwa pierwsze pochodziły od imion córek Asklepiosa, boga sztuki medycznej. Jedna nazywała się Panakeja, druga Hygieja. Ta ostatnia jest przedstawiana z kielichem owiniętym węzem – i taki obrazek możemy dziś odnaleźć w godle aptekarzy. Słowo apteka wywodzi się z kolei od apothekē, oznaczającego składzik, przechowalnię.

Wiedza na temat medycyny w starożytnej Grecji rozwijała się dzięki uczonym, takim jak Hipokrates czy Arystoteles. Jednak jeżeli chodzi o farmakoterapię,



Expozycja w Muzeum Apteki w Heidelbergu z grudnia 2008 r.

jedno z bardziej znaczących dzieł greckich pochodzi od Pedaniosa Dioskurydesa, lekarza, farmakoterapeuty oraz botanika, który żył w Rzymie w czasach Nerona. Popenił on dzieło „O środkach leczniczych”, które w pięciu tomach opisywało różne substancje lecznicze. W bibliotece narodowej Austrii oglądać można najstarszy rękopis tej encyklopedii leków wykonany ok. 500 r. przed Chrystusem. Dzieło to było wielokrotnie przepisywane jako uznane kompendium wiedzy na temat środków medycznych aż do XVII w. Odnaleźć możemy tam opisy roślin, związków i innych substancji, które swoje odkrycie zawdzięczają wielu podróżom, przeżyciom i osobistym doświadczeniom Pedaniosa Dioskurydesa. Ale nie tylko. Jedną z opisywanych roślin była centuria pospolita, którą – jak podaje mit – odkrył centaur Chiron, lecząc rany zadane mu przez Heraklesa.

Do rozwoju farmakoterapii przyczynił się doskonale już nam znany grecki lekarz Galen. Oprócz wzbogacenia metod podawania leków wprowadził również ich podział na te, które mają specyficzne działanie, te, które mają działania główne, ale i poboczne, oraz te, które dają fizjologiczne proste odczucia typu ciepło.

Aptekarska emancypacja

W średniowieczu rozwój farmacji lekko wyhamował, jednak nie aż tak drastycznie, jak w przypadku innych dziedzin nauki. Stało się tak głównie za sprawą

Arabów. Skutkiem ubocznym ich ekspansji na Europę była popularyzacja wiedzy na temat nowych substancji leczniczych oraz metod ich otrzymywania. Nauczali również studentów chrześcijańskich medycyny oraz farmacji. To właśnie w kulturze arabskiej po raz pierwszy uznano konieczność rozdzielenia zawodów, a co za tym idzie – obowiązków, lekarza i aptekarza. Takie rozwiązanie obserwowano w krajach arabskich już w VIII w. W Europie ta specjalizacja ugruntowała się znacznie później, wprowadzona edyktem cesarza Fryderyka II z 1231 r. W miastach średniowiecznej Francji za sprawą rad miejskich uchwalono podobne prawo, które rozdzielało funkcję doktora i technika wykonującego leki. Według statutów zawody te nie mogły ze sobą konkurować, a zakres ich obowiązków i przywilejów został dokładnie spisany.

Początkowo apteki były bardzo skromne, stanowiły jedno pomieszczenie i zwane były kramami aptecznymi. Z biegiem rozwoju nauki i zwiększania liczby lekarzy również apteki rosły w siłę. Pierwsze lepiej rozwinięte powstawały w dużych miastach. Nie były to jednak sklepy w takiej formie, jak znamy je dzisiaj. Kupić tam można było leki ziołowe, ale również inne substancje niezwiązane z medycyną, np. kakao czy alkohole. Taka sytuacja utrzymała się aż do końca średniowiecza. W dalszych latach wprowadzano więcej coraz dziwniejszych produktów, które niekiedy nie miały działania prozdrowotnego, a nawet wręcz odwrotne. Na półkach odnaleźć można było m.in. tytoń i różne słodczyce, np. wytwarzane z lukrecji. Apteka w znanej nam formie powstać mogła dopiero w momencie znacznego rozszerzenia wiedzy na temat chemii, biochemii i medycyny czyli w XIX w.

Zawód farmaceuty jest często niedoceniany jako zawód medyczny. Ludzie uważają sprzedawców za ladą apteki za zwykłych ekspedientów. Należałoby jednak bardziej szanować tę profesję, ponieważ od stopnia edukacji oraz praktyki jej adeptów zależy nasze zdrowie i życie. Oprócz tego farmaceuci mają szeroką wiedzę na temat dostępności oraz działania leków, dlatego mogą służyć nam radą dotyczącą zamienników, często znacznie tańszych niż leki pierwotnie przypisane. Jednak ten tekst zakończyć chcę w podobnym tonie jak poprzedni artykuł. Kupujmy leki z rozwagą i stosujmy je z umiarem i rozsądkiem.

SZANOWNY PANIE ROMANIE!



Archiwum
Akt
Nowych

**„MUSIMY SIĘ WZNIEŚĆ PONAD PARTYJNE INTERESY!”.
LIST JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO DO ROMANA DMOWSKIEGO,
DATOWANY NA 21 GRUDNIA 1918 r., WZYWA DO
WSPÓLNYCH DZIAŁAŃ NA RZECZ OJCZYZNY
W CZASIE KONFERENCJI POKOJOWEJ W PARYŻU**



**KATARZYNA
WYSOCZYŃSKA**

Ci dwaj ojcowie polskiej niepodległości, choć mieli różne wizje państwowości i często się spierali, w tak ważnej dziejowej chwili mimo wielu konfliktów potrafili zjednoczyć siły i wspólnie zadbać o interesy Polski. Obaj wykazali się ogromną troską o ojczyznę, podejmując wspólną reprezentację w rozmowach z Ententą.

Komitet Narodowy Polski (KNP), powołany w sierpniu 1917 r. w Paryżu przez Romana Dmowskiego, był uznawany przez państwa Ententy za oficjalne przedstawicielstwo odradzającej się Polski. W obliczu możliwości współkształtowania nowego ładu po zakończeniu Wielkiej Wojny stał się więc naturalnym reprezentantem Polski na konferencji pokojowej w Paryżu. Stanowisko Polski podczas obrad przedstawiali Roman Dmowski i Ignacy Jan Paderewski. Wybitny pianista miał już ogromne zasługi dla sprawy polskiej; jego memoriał zainspirował prezydenta Stanów Zjednoczonych Thomasa Woodrowa Wilsona do podjęcia sprawy niepodległości Polski w swoim programie pokojowym.

W styczniu 1919 r. Roman Dmowski i Józef Piłsudski zawarli porozumienie, nowym premierem mianowano Paderewskiego, a do delegacji polskiej w Paryżu dołączyli przedstawiciele naczelnika państwa. Delegatów wspierało również grono ekspertów – uczonych i polityków,

m.in. Eugeniusz Romer i Joachim Bartoszewicz oraz cały KNP, który stał się zapleczem prac kongresowych.

18 stycznia 1919 r. w Paryżu rozpoczęła się konferencja 27 zwycięskich państw. Kilka dni później podczas posiedzenia Rady Dziesięciu polskie stanowisko przedstawił Roman Dmowski. To właśnie on wspólnie z premierem Paderewskim złożyli podpisy pod traktatem pokojowym w imieniu Polski. Na lakowej pieczęci dokumentu pozostał odcisk sygnetu rodowego Romana Dmowskiego.

Polityk tak wspominał moment podpisania traktatu wersalskiego: „Nigdy, jak w owej sali, nie odczuwało się historycznej powagi chwili, dla nas, Polaków, poważniejszej niż dla kogokolwiek. Na stole leżał tekst traktatu, który Niemcy mają podpisać, traktatu, który uznaje niepodległe państwo polskie, mocą którego Niemcy zwracają Polsce nie wszystko wprawdzie, co jej zagarnęli w przeszłości, ale prawie wszystko to, czego nie zdołali zniemczyć”.

Ojcowie niepodległości w trudnych sytuacjach i zagrożeniach potrafili ze sobą współdziałać. Dzięki temu osiągnęli sukces – Polska wróciła na mapę! Zajęła powierzchnię 45 tys. km². Otrzymała Pomorze Wschodnie bez

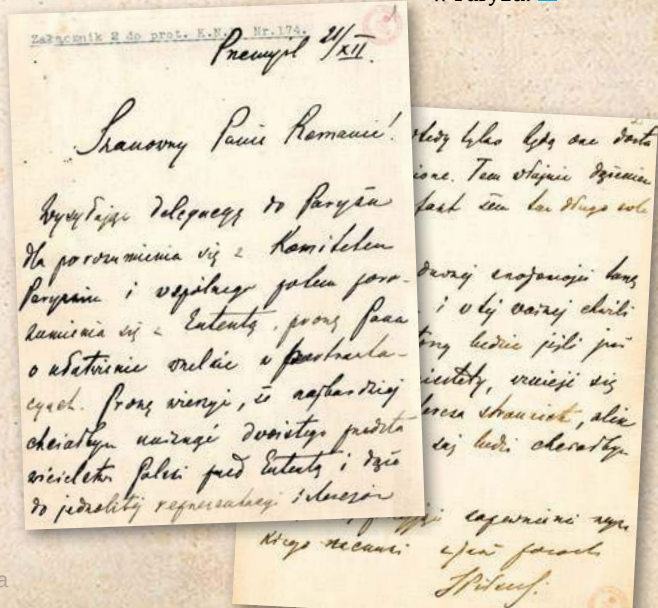
List Józefa Piłsudskiego do Romana Dmowskiego z 21 XII 1918 r. w sprawie jednolitej reprezentacji państwa polskiego w rozmowach z Ententą



Roman Dmowski

Gdańska (utworzone zostało Wolne Miasto Gdańsk) i znaczną część Wielkopolski. Problem przynależności państwowej Warmii, Mazur i Górnego Śląska miał być rozstrzygnięty w drodze plebiscytów.

W Archiwum Akt Nowych – Strażnicy Dziedzictwa Narodowego – znajdują się materiały archiwalne dotyczące ojców niepodległości, akta Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu, a także delegacji polskiej na konferencję pokojową w Paryżu. ■





Z lewej: nauka wkładania maski pgaz. – szkoła podstawowa w Ostrowie Lubelskim, 1977 r.
z prawej: lekcja PO w Zespole Szkół Zawodowych w Wyszkowie, 1974 r.

„NAKRYĆ SIĘ PRZEŚCIERADŁEM” – PRZYSPOSOBIE NIE OBRONNE W PRL

Przysposobienie wojskowe było nauczane w polskich szkołach już pod koniec lat 30., jednak dopiero zimna wojna spowodowała zarówno upowszechnienie szkolenia obronnego w szkołach, jak i jego silne zideologizowanie. Zagrożenie otwartym konfliktem między blokiem państw Układu Warszawskiego a siłami NATO powodowało, oprócz wyścigu zbrojeń, również odpowiednie działania edukacyjne, zwłaszcza w zakresie obrony przed bronią jądrową.

Program zajęć obejmował: szkolenie ideologiczne, musztrę, terenoznawstwo, naukę strzelania, ochronę przeciwpożarową, pierwszą pomoc i zasady obrony przed bronią masowego rażenia. Lekcje te nie były lubiane przez uczniów z powodu propagandowego zadęcia i abstrakcyjnej, wojskowej terminologii. Sprzeciw budziło propagowanie sojuszu z ZSRR i Armią Czerwoną, gloryfikowanie komunistycznej partyzantki (GL i AL), czy sianie lęku przed militarystką NATO, rewizjonizmem niemieckim i imperializmem amerykańskim. Chętnie przedstawiano „środki napadu” z arsenału państw zachodnich, skrętnie pomijając to, że analogiczne zasoby były w posiadaniu krajów bloku wschodniego. Epatowano rzekomym barbarzyństwem armii USA podczas wojny w Wietnamie, kreując ZSRR na orędownika pokoju, pomijając udział imperium zła w wielu lokalnych konfliktach zbrojnych.

Zajęcia były prowadzone zwykle przez emerytowanych oficerów LWP, którzy często jeszcze bardziej zniechęcali uczniów do

przedmiotu. Śmiech budziły niektóre ich sformułowania, jak „siła żywa, tak zwani ludzie”, i to one głównie zostawały w pamięci uczniów. Podobnie było z proponowanymi zasadami zachowania się w razie wybuchu jądrowego. Słynne zalecenie „położyć się na ziemi stopami w kierunku wybuchu i nakryć prześcieradłem” złośliwi uzupełniali „i czołgać do najbliższego cmentarza”. Gwoli ścisłości, sama porada miała swój sens, gdyż biel płótna odbija promieniowanie cieplne, a pozycja leżąca jako opływowa ogranicza skutki fali uderzeniowej. Tym niemniej w razie faktycznego wybuchu wojny atak byłby zaskoczeniem i nie ograniczyłby się do jednej bomby. Porady te raczej miały na celu oswojenie strachu przed tymi niezwykle niszczycielskimi środkami bojowymi niż faktyczną obronę. Mimo to uczniom ćwiczone w zakładaniu masek przeciwgazowych, które miały chronić przed promieniotwórczym pyłem, polecano również wykonywać zastępczą odzież ochronną z folii zgrzewanej żelazkiem. Uczono sygnałów ostrzegających przed atakiem powietrznym i skażeniami oraz odwołujących alarm. Organizowano też próbne alarmy, w czasie których należało szybko i sprawnie ewakuować szkołę. W czasie musztry próbowano formować i zmieniać szyki oraz maszerować „w nogę”.

W wielu szkołach przeprowadzano też ćwiczenia strzeleckie, korzystając ze strzelnic Ligi Obrony Kraju lub też adaptując w tym celu szatnie czy boiska. Broń – zwykle wiatrówki lub karabinki sportowe wz. 48 – oraz amunicję trzymano w ma-

gazynek na terenie szkoły, podobnie jak inne wyposażenie niezbędne do prowadzenia lekcji. Był to w większości sprzęt wycofany z wojska i przekazany do szkół, który w wielu placówkach zachował się do dziś. Pod szkołami budowano też schrony, a na dachach niektórych placówek umieszczano nawet Wieżowe Punkty Obserwacyjne (WPO). Same szkoły, budowane według jednego projektu jako tzw. szkoły tysiąclatki, były przeznaczone na szpitale polowe w razie wojny.

Z całego programu przysposobienia obronnego najbardziej przydatne w codziennym życiu były informacje z zakresu pierwszej pomocy oraz ochrony przeciwpożarowej, nie mogły jednak zaważyć na całościowej negatywnej ocenie zajęć. Podobnie jak lekcje języka rosyjskiego, przysposobienie obronne było uważane za wyraz sowieckiej dominacji oraz militarystki życia społecznego, zatem starano się ten przedmiot lekceważyć, stosując m.in. bierny opór. Sprzeciw budziły zajęcia strzeleckie, szczególnie gdy tarcze przedstawiały ludzi, co traktowano jako próbę uwikłania w przyszłą krwawą wojnę z Zachodem.

Zajęcia z przysposobienia obronnego przetrwały do chwili obecnej, choć w znacznie zmienionej formie. Większy nacisk położono na międzynarodowe prawo konfliktów zbrojnych, pomoc w warunkach klęsk żywiołowych, zagrożenia terrorystyczne, zwalczanie stresu i uzależnień.

KORDZIK SA-MANNA Z SAKSONII



**PAWEŁ
BRUDEK**

**WEDŁUG RELACJI OFIARODAWCY BROŃ ZOSTAŁA ZDOBYTA
NA NIEMCU PRZEZ KAPRAŁA MARIANA SAPUŁĘ PS. MEWA,
W ŚRÓDMIEŚCIU PÓŁNOCNYM 16 SIERPNIA 1944 r.**

W zbiorach Muzeum Powstania Warszawskiego znajduje się niemiecki kordzik paradny (Ehrendolch) SA – Sturmabteilungen (Oddziałów Szturmowych NSDAP), wyprodukowany przez firmę C.G. Haenel Suhl Waffen – und Fahrrad Fabrik (Fabrykę Broni i Rowerów produkującą lekkie maszyny, rowery oraz broń w latach 1840–1945).



**Marian Sapuła
(1923–2006),
kapral 5. kompanii
Batalionu „Kiliński”,
w 2004 r. awansowany
do stopnia porucznika**

Kordzik jest bronią paradną mającą postać obosiecznego sztyletu. Jego pierwotną formą był średniowieczny krótki mieczyk służący do dobijania rannych na poboju – mizerykordia (łac. misereo – okazywać litość + łac. cor. – serce = łac. misericordia, czyli cios miłosierdzia w serce).

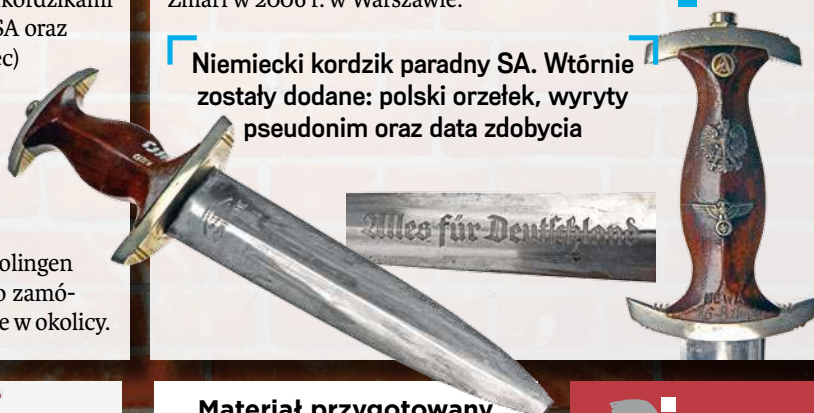
Kordziki dla SA i SS wprowadził szef sztabu SA, Ernst Röhm, który latem 1933 r. przekonał do tej idei Hitlera. Forma kordzika dla obu służb miała się odwoływać do niemieckiej historii. SA-Oberführer von Carlshausen wraz z monachijskim profesorem sztuki Schmidtem wybrali na wzór XV-wieczny szwajcarski sztylet, który znaleźli w bawarskim muzeum wojskowości. W Boże Narodzenie 1933 r. SA-Führerzy otrzymali pierwsze egzemplarze, które nazwano „kordzikami bożonarodzeniowymi”. Na rękojeściach miały orła SA oraz motto „Alles für Deutschland” (wszystko dla Niemiec) na głowni, przy czym całość była napisana czcionką gotycką, poza literą „A” w słowie „alles”. Do dewizy dodawano napis „Ernst Röhm. In herzlicher Kameradschaft” (W serdecznej przyjaźni). Pod koniec 1934 r. już ok. 3 mln SA-Mannów posiadało kordziki. Przysługiwały one tym funkcjonariuszom, którzy wstąpili do SA przed 31 grudnia 1931 r. Producent – firma Solingen – przy ogromnym wysiłku wywiązał się z ogromnego zamówienia, dzięki któremu praktycznie zanikło bezrobocie w okolicy.

Po eliminacji Röhma i uderzeniu w SA („noc długich noży” 30 czerwca 1934 r.) Hitler nakazał całkowite usunięcie słów „zdraycy Röhma” z ostrzy kordzików. Działo się to niekiedy za pomocą brutalnej siły; szlifowano kordziki na kamieniu szlifierskim, by usunąć słowa „In herzlicher Kameradschaft”, inni używali do tego celu pilników. Była też możliwość zwrotu kordzika do producenta, gdzie go przerabiano. Jednak nie wszyscy SA-Manni byli posłuszni rozkazowi; posiadanie kordzika z mottem Röhma świadczyło przecież o wczesnym wstąpieniu do organizacji. Usuwano więc samo nazwisko „Ernst Röhm”, pozostawiając jego dewizę. Egzemplarze takie są po dziś dzień w obrocie handlowym.

Egzemplarz z MPW to wersja, z której usunięto już wszelkie ślady Röhma. Na przednim progu głowni widnieje napis czcionką gotycką „Alles für Deutschland”, na tylnym progu głowni umieszczono napis: Haenel C.G. HAENEL SUHL WAFFEN – u. – FAHRRAD FABRIK. Na drewnianej rękojeści jest metalowy znak SA, metalowy orzeł niemiecki ze swastyką w szponach. Dodano emblematy polskie: na metalowym zamknięciu głowni wyryto odręcznie napis „A.K. 16.08.1944 Mewa”, oraz metalowy znak z orzełkiem w koronie. Poniżej wyryto słowo „MEWA” oraz wydziurkowano datę: „16 8 1944”. Głownia stalowa kordzika ma uszkodzony czubek. Pochwa jest oryginalna czarno-srebrna. Przy kordziku jest metalowy zaczep z dodaną smyczą do paska.

Według relacji ofiarodawcy broń została zdobyta na Niemcu przez kaprała Mariana Sapułę, ps. Mewa w Śródmieściu Północnym 16 sierpnia 1944 r. O Marianie Sapule wiemy, że urodził się w 1923 r. w Warszawie. W czasie okupacji mieszkał w Warszawie przy ul. Żelaznej 27. Od czerwca 1941 r. działał w konspiracji. W powstaniu warszawskim walczył w 173. plutonie 5. kompanii Batalionu „Kiliński”. Trafił do niewoli niemieckiej, był jeńcem m.in. Stalagu IV-B Mühlberg. W 2004 r. został awansowany do stopnia porucznika. Zmarł w 2006 r. w Warszawie.

**Niemiecki kordzik paradny SA. Wtórnie
zostały dodane: polski orzełek, wyryty
pseudonim oraz data zdobycia**



**Materiał przygotowany
przez zespół Muzeum
Powstania Warszawskiego**



Muzeum Powstania
Warszawskiego

WIAZANIE HISTORII

Czy warto świętować nieudane?



**PAWEŁ
KOWAL**

Po kilku latach ostrych sporów historycznych polsko-ukraińskich w zasadzie przywykliśmy, że „tak musi być”. Słysząc co prawda, że powinniśmy zwracać uwagę na pozytywne wydarzenia z historii, nikt jednakowoż nie jest gotów skupiać się na tych „nudnych” historiach. Kto by spontanicznie opowiadał o atamaniu Petlurze albo o przyjaźniach polskich i ukraińskich dysydentów sprzed 1989 r.?

Tymczasem ponad trzy i pół wieku temu ludzie innego atamana – Iwana Wyhowskiego wybrali miejsce pod trzema dębami. „Kozacy lubili taką symbolikę”

– mówi jeden ze współczesnych mieszkańców Hadziacza. Może miał to być gest w kierunku koroniarzy? Do dzisiaj na miejscowych haftach dęb jest symbolem Korony (Polski), kalina – Rusi (Ukrainy), a sosna Wielkiego Księstwa Litewskiego (Litwy). Dęby przetrwały do dzisiaj. Niedaleko od nich postawiono właśnie pomnik twórcom ugody hadziackiej.

Wtedy polana z dębami była zapewne mniejsza, ale i ludzi znacznie mniej na uroczystym podpisaniu ugody, która ze względu na swą wagę dla ustroju Rzeczypospolitej nazywana jest Unią niż na festynie rocznicowej. Unia w Hadziaczu to jak Konstytucja 3 maja jeden z tych pomysłów w naszej historii, co gdyby się udał, dzieje potoczyłyby się zapewne inaczej. Rosja nie doszłaby do takiej potęgi, nie udałoby się jej zdominować Europy Środkowej. Pewnie z czasem trójęzyczna federacja przetrwałaby

się w czwórczłonową – doszłaby jeszcze Białoruś. Czy taka Rzeczpospolita przetrwałaby w całości proces powstawania państw narodowych po I wojnie, czy jak Austro-Węgry rozpadłaby się na kilka mniejszych państw? To już zadanie z zakresu historii kontrafaktycznej.

Dzisiejszy Hadziacz to maleńkie miasteczko na środkowej Ukrainie. Na miejscu, gdzie 360 lat przybył król Polski Jan Kazimierz, trwa wielki festyn. Ludzie napiekli bułek, ciast, nagotowali jedzenia, przynieśli nalewki. Nie ma przedstawicieli rządów, nie ma znanych polityków. Trochę lokalnych władz, zespoły ludowe, chłopaczyska poprzebierani za kozaków, na drzewie wielki portret miejscowego bohatera – Wyhowskiego. Nad polaną dumnie powiewają trzy flagi: litewska, polska i ukraińska. Warto świętować rocznice projektów wielkich, nawet takich, które nie zostały zrealizowane. ■

GÓRNA PÓŁKA

Rotmistrz Sosnowski



**ANTONI
DUDEK**

W maju 1932 r. w gazecie „Berliner Tribüne” ukazał się artykuł pod tytułem „Kim jest rotmistrz Sosnowski?”. Zajęto się w nim polskim arystokratą prowadzącym od kilku już lat w Berlinie mocno rozrywkowy tryb życia. Opisano m.in. kosztowne prezenty, jakimi zwykł obdarzać piękne damy spotykane w berlińskich salonach. Podtytuł tego artykułu („Czy w tajnej misji?”) brzmiał wprost jak donos.

Takowy sporządziła pewna niemiecka hrabina, informując, że poznała matkę rotmistrza, która się zwierzyła, że żyją z mężem w Polsce bardzo skromnie. Tymczasem Jerzy Sosnowski od lat przekonywał niemieckich przyjaciół (a zwłaszcza

przyjaciółki), że to zamożni rodzice finansują jego wystawny tryb życia.

Wydawać by się mogło, że tego rodzaju publikacja powinna zakończyć aktywność każdego szpiega. A jednak w przypadku mjr. Sosnowskiego, kierującego siatką polskiego wywiadu wojskowego w Berlinie o kryptonimie In.3, tak się nie stało. Warszawska centrala pozwoliła mu kontynuować działalność, której dotychczasowy bilans uczynił zeń najsukcesowniejszego wywiadowcę Oddziału II SG WP. Z kolei niemiecka policja uznała artykuł za oszczerstwa brukowca. Przynajmniej oficjalnie. Dopiero w lutym 1934 r. Sosnowski i cztery jego agentki kochanki zostali aresztowani. Skąd zatem wzięła się zwłoka w najważniejszej polsko-niemieckiej grze wywiadowczej okresu międzywojennego? To jedno z wielu pytań, na które próbuje odpowiedzieć w swojej książce Konrad Graczyk.

O Sosnowskim i jego tragicznych losach napisano już w przeszłości sporo,

ale po raz pierwszy otrzymaliśmy książkę opartą na tak gruntownej kwerendzie archiwalnej. Wyłania się z niej daleki od doskonałości obraz służb specjalnych zarówno niemieckich, jak i polskich. Tych pierwszych z racji opieszałości w odkryciu istoty misji słabo zalegendowanego przez centralę Sosnowskiego, tych drugich zaś z uwagi na zlekceważenie imponującego sukcesu swojego oficera, który zdobył najważniejszy dokument Reichswehry, czyli tzw. A-Plan (mobilizacji i ataku na sąsiadów, w tym na Polskę). Także obraz samego Sosnowskiego daleki jest od obrazu rycerskiego oficera patrioty, który w walce ze śmiertelnym zagrożeniem ojczyzny zajął się sekswywiadem. Jednym zdaniem: mało tu egzaltacji, za to dużo o ludzkich słabościach. Po tym można poznać dobrą biografię. ■

Konrad Graczyk,
„Operacja
Reichswehrministerium.
Misja majora
Jerzego
Sosnowskiego”,
Oficina Wydawnicza
Rytm, Warszawa 2017





Ustawianie bohaterów na planie i szkic koncepcji

Orląt Lwowskich to drugi dobrze znany z najnowszej historii Polski, obok powstania warszawskiego, przypadek, gdy w bezpośredniej walce z regularnymi oddziałami wojsk przeciwnika wzięli udział wyjątkowo licznie młodociani obrońcy miasta. W listopadzie 1918 r. Wielka Wojna kończyła się na wszystkich frontach. Pokonane armie Prus i Austrii oddawały posterunki, rozbrajane wojsko opuszczało opanowane ziemie, na których rodziły się niepodległe państwa powojennej Europy. Jesień 1918 r. to czas wielkich zmian i początku walki o kształtowanie granic Polski odradzającej się po mrocznej epoce zaborów. We Lwowie zamieszkałym w większości przez Polaków stanęły naprzeciw siebie siły polskie i ukraińskie. Strzelcy siczowi, Kozacy i regularne oddziały wojskowe Ukraińców, próbując opanować miasto, trafiły na silny opór Polaków. Ponieważ we Lwowie nie było regularnych oddziałów Wojska Polskiego, do walki stanęli cywile: robotnicy, urzędnicy, harcerze, studenci i uczniowie szkół. Najmłodsi na barykadach mieli po kilkanaście lat, bronili miasta, czekając na odsiecz regularnego wojska. Walki trwały kilka miesięcy, aż do

pierwszych miesięcy 1919 r., gdy do Lwowa wkroczyły oddziały pod dowództwem generała Karaszewicza-Tokarzewskiego.

Przy realizacji sesji pomógł Jan Meyer, dyrektor Fundacji Kolejowe Przystosowanie Wojskowe, nie tylko udostępniając teren, ale również budując barykadę dla naszych aktorów. Warto tu wspomnieć, że fundacja skupia się na edukacji historycznej oraz opiece nad zabytkami kolejnictwa i wojskowości, m.in. odnawiając zabytkowy budynek dawnej Kolei Nadwiślańskiej na stacji Warszawa-Praga. Kostiumy wypożyczył Jan Nałęcz z grupy Reko-Waw.

W rolę Orląt wcieliła się trójka młodych, wyjątkowo zdolnych osób. „Za sterami” karabinu maszynowego Maxim zasiadła aktorka młodego pokolenia i studentka ASP Marianna Januszewicz. Amunicję na parciej taśmie podawał 12-letni Filip Zalega, z kolei celny strzał z pistoletu Mauser c96 oddał 13-letni Maurycy Goss, który już miał okazję gościć na okładce „wSieci Historii”. Charakteryzację wykonała niezastąpiona Joanna Wasilewska, a wszystko uwiecznił fotograf Andrzej Wiktor.

JAN NAŁĘCZ, MICHAŁ KORSUN



Filip Zalega z mamą Iloną



Jan Nałęcz – także specjalista od kostiumów

reprasa.pl 3e97be12fa



Fotograf Andrzej Wiktor



Najlepsze
Maximy są
od Grzegorza
Krynickiego
z GRH
Radosław

wSIECI HISTORII



Charakteryzarka Joanna
Wasilewska i Maurycy Goss



Jan Meyer – Dyrektor Muzeum
Dróg Kolejowych w organizacji



Gotowi do działania – (od lewej) Kacper
Tarnowski oraz Fryderyk Palonka Manunza



Aktorka Marianna Januszewicz
– za mundurem panowie sznurem

ŻYWA PAMIĘĆ

UPAMIĘTNIAJĄCE MIESZKAŃCÓW
WARSZAWY POMORDOWANYCH
PRZEZ NIEMCÓW W LATACH 1939-1944
JEDNOLITE PŁASKORZEŻBY Z SZAREGO
PIASKOWCA, WEDŁUG PROJEKTU
ARTYSTY RZEŹBIARZA KAROLA TCHORKA,
SĄ ROZSIANE PO CAŁEJ STOLICY



Na wieść o wybuchu powstania w Warszawie Adolf Hitler rozkazał zabić każdego jej mieszkańca, nie brać żadnych jeńców, a miasto zrównać z ziemią, by w ten sposób stworzyć zastraszający przykład dla całej Europy. W naszej stolicy rozpętało się piekło. Zamroczeni nienawiścią Niemcy dokonywali niewyobrażalnych zbrodni, mordując tysiące bezbronnych cywilów, nie oszczędzając nawet kobiet w ciąży i dzieci.

Mimo blisko 150 tys. Polaków, którzy stracili życie w czasie powstania, i niemal zrównania z ziemią ponad milionowego miasta, zbrodniczy niemiecki plan się nie powiódł. W styczniu 1945 r. do zburzonej stolicy zaczęli powracać jej mieszkańcy. Wierni poległym sąsiadom – spontanicznie, głównie drewnianymi krzyżami, oznaczali miejsca ich śmierci. Od początku lat 50. XX w. władze upamiętniały pomordowanych jednolitymi płaskorzeźbami, wykonanymi z szarego piaskowca, według projektu artysty rzeźbiarza Karola Tchorka. Rozsiane po całej Warszawie są jednym z charakterystycznych elementów jej krajobrazu. Za każdą z nich kryją się długie szeregi na zawsze straconych polskich istnień.

Początkowo wiele z tych miejsc pamięci miało swoich opiekunów – szkoły, zakłady pracy, drużyny harcerskie. Świadczą o tym niewielkie metalowe tabliczki przytwierdzone bezpośrednio do piaskowca, choć obecnie po większości z nich pozostały jedynie otwory po mocujących śrubach. Bez systematycznej dbałości o pomniki ich jasna powierzchnia przybierała zgniłoszary odcień, a napisy zacierał czas.

Do tego roku jedną z zapomnianych i zaniedbanych tablic Tchorka była ta stojąca przy skrzyżowaniu ul. Wolskiej i al. Prymasa Tysiąclecia. W lipcu tego roku stan rzeczy uległ diametralnej zmianie! W krótkim czasie miejsce pamięci wypiękniało – piaskowiec został oczyszczony, napisom przywrócono dawny kolor, okolicę wysprzątano, krawężniki pomalowano na biało, pojawiły się dwa maszty z polskimi flagami i ławeczka sprzyjająca zadumie i wspomnieniu dwóch i pół tysiąca (!) straconych tu Polaków.

Pod jednym z codziennie zapalanych zniczy zostawiłem wizytówkę z prośbą o kontakt i możliwość przeprowadzenia wywiadu. Już kilka dni później spotkałem się z okolicznymi młodymi mieszkańcami Woli, którzy z własnej inicjatywy dbają o kilka okolicznych miejsc pamięci. Miałem możliwość doświadczenia, z jaką dbałością i estymą wymyli oni pamiątkową tablicę w parku Józefa Sowińskiego, zapalili znicze i przyozdobili ją białą – czerwoną wstążką. Jak sami podkreślają, nie robią tego dla poklasku (z tego względu nie ujawniam ich tożsamości), a z szacunku i wdzięczności względem przodków. Nie korzystają przy tym z żadnego wsparcia ze strony organizacji ani miasta, a wszelkie koszty pokrywają z własnej kieszeni. Urzekające jest to, że robotnicza tradycja warszawskiej Woli samoistnie się w ten sposób kontynuuje. Polegli tu mieszkańcy byli głównie ludźmi pracy, a o ich pomniki dbają teraz m.in. cieśla, mechanik i ślusarz. Nisko się kłaniam tym zasługującym na najwyższy szacunek ludziom.

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

NOWY MARSZAŁEK NA ROCZNICĘ ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI



PAWEŁ
ZIELONY

11 listopada 1936 r. z okazji Święta Niepodległości ulicami Warszawy przeszła uroczysta defilada wojskowa. Edward Śmigły-Rydz spoglądał dumnie z trybuny honorowej na poczty sztandarowe podległych mu jednostek wojskowych. Po raz pierwszy występował publicznie w nowej roli.

Dzień wcześniej 10 listopada prezydent Rzeczypospolitej i zwierzchnik sił zbrojnych Ignacy Mościcki nadał mu stopień generała broni, a następnie mianował go marszałkiem Polski i odznaczył Orderem Orła Białego. Buława marszałkowska została ceremonialnie wręczona na dziedzińcu Zamku Królewskiego. Wydarzyło się to w symbolicznym dniu. Osiemnaście lat wcześniej zwolniony z magdeburckiego więzienia Józef Piłsudski przybył pociągiem do Warszawy.

Przemarsz wojska, przejazd czołgów, tankietek i dział musiał robić na zgromadzonych uczestnikach obchodów odzyskania niepodległości duże wrażenie. Tłum rozpościł się na całej długości Krakowskiego Przedmieścia, przez które przebiegał szlak defilady. „Ilustrowany Kurier Codzienny” w numerze z 14 listopada zamieścił fotorelację z tego wydarzenia z tytułem (pisownia oryginalna): „Wspaniała rewja wojsk w dniu święta niepodległości w Warszawie”.

W tej podniosłej chwili 50-letni marszałek mógł snuć ambitne plany na przyszłość. Jego poplecznicy liczyli na to, że w 1940 r. zostanie prezydentem Rzeczypospolitej. Wojna, która wybuchła w 1939 r., zrewidowała wykreowany przez przedwojenną propagandę „kult

jednostki. Wizerunek Śmigłego jako walecznego wielkiego wodza, powszechnie powielany na plakatach ulicznych i portretach w urzędach czy prasie, został brutalnie przekreślony. Ze zbiorowej pamięci wymazano jego wcześniejsze sukcesy na polach bitew i pozytywne zmiany w formacjach, którymi dowodził. Został zapamiętany jako przywódca, który przeprowadził kampanię obronną w sposób chaotyczny, wydał 17 września 1939 r. kontrowersyjny rozkaz niepodjęcia walki z atakującymi zdradziecko Polskę Sowieci, a następnie opuścił swoich walczących żołnierzy, przekraczając granicę polsko-rumuńską.

W 1941 r. uciekł z Rumunii, gdzie był internowany, i przedostał się potajemnie przez Węgry do okupowanej Polski. Próbował dołączyć do konspiracji, odbył spotkanie z płk. Augustem Emilem Fieldorfem i być może nawiązał także w tej sprawie kontakt z gen. Stefanem Grottem-Róstem. Prawdopodobnie 2 grudnia o czwartej nad ranem zmarł wskutek dławicy piersiowej. Odszedł z tego świata rozgoryczony, z poczuciem odizolowania od ośrodków decyzyjnych. Został potajemnie pochowany 6 grudnia na warszawskich Powązkach pod nazwiskiem Adam Zawisza.

Do 1936 r. uroczystości odzyskania przez Polskę suwerenności miały charakter

wojskowy. Od 1937 r. na mocy ustawy z 23 kwietnia podpisanej przez prezydenta Mościckiego Świętu Niepodległości nadano rangę święta państwowego. ■

ARCHIWUM IPN
SEKCJA OPRACOWYWANIA
DOKUMENTACJI
AUDIOWIZUALNEJ



Marszałek Polski Edward Śmigły-Rydz na trybunie honorowej dokonuje przeglądu wojsk. Warszawa, pl. Na Rozdrożu, 11 listopada 1936 r.

**BĄDŹ GOTOWY
ZAWSZE**



Militaria.pl

GDYNIA ŚWIEĆTOJAŃSKA 84 • KATOWICE GALERIA KATOWICKA • KRAKÓW DIETLA 51 • ŁÓDŹ MANUFAKTURA • POZNAŃ POSNANIA • POZNAŃ STARY BROWAR
SZCZECIN AL. PIASTÓW 53 • WROCŁAW OŁAWSKA 16 • WROCŁAW ALEJA BIELANY • WARSZAWA BLUE CITY • WARSZAWA TAMKA 49 • WARSZAWA WOLA PARK